PIĘŚĆ MARCINA WILCZKA

Tegoż autora.

	Rb.	k.
Bies i skarbonka. Powieść	1	50
Kniaź i księżna. Romans z XVIII w. 2 tomy . .	2	20
Pod Mysią wieżą. Powieść współczesna	1	80
W przeklętym domu. 2 tomy	—	90
Zakazana muzyka	1	20

MACIEJ WIERZBIŃSKI

PIĘŚĆ MARCINA WILCZKA

NOWELE RÓŻNE. — AKWARELE. — Z ALBIONU. — NA LAZUROWYM BRZEGU. — MOMENTY PSYCHICZNE. — RZECZY WIELKOPOLSKIE.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — POLISH BOOK IMPORTING Co, INC.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1912.

I.

NOWELE RÓŻNE

PIĘŚĆ MARCINA WILCZKA

LEKCYA ETYKI.

Wszedłszy do pokoju, Lucyan Iłowicz rozwiązał zaraz czekającą na stole paczkę książek i odczytał ich tytuły z zajęciem literata, poczem dopiero odrzucił słomkowy kapelusz, musnął wątłą, bieluteńką dłonią przyczesane, jasne włosy, wypukłe czoło, wyciągnął machinalnie wąs, przysłaniający twarz przywiędłą o ładnej karnacyi i rozsiadł się w trzcinowem krześle. Mimochodem zlustrował nieco opylone, żółte obuwie, bronzowe pończochy i kratkowane bockersy i, zadowolony w estetycznem poczuciu linii swej nogi, podjął jedną z nadesłanych książek.

Słońce stało jeszcze wysoko nad Tatrami, ale obszerna, drewniana klatka przepojona była rozmarzeniem popielatego pomroku, bo ponad frontowe okna zakopiańskiej willi wyrastał ze świerkowej ściany daszek, ocieniający wązką werandę, a kilka ścigłych smreków stróżowało nad nią z powagą służbistych, ciemnoumundurowanych gwardzistów. Przez okna rozwarte gościnnie wchodziły balsamiczny spokój, rześki oddech gór i wonne tchnienie lata, panującego

miłościwie nad skalnym, juhaskim światem, grożącym świętokradzko niebiosom maczugami turni zuchwałych. I ze snopami złotych promieni słało na osiedla cudne ukojenie.

Przerwały ciszę dwa żywe głosiki dziecięce i łoskot bucików po deskach werandy, wtargnęły do kurytarzyka, przecinającego willę na dwoje, i zatonęły w głębi drugostronnego pokoju. A niedługo potem wsunęła się do sypialni literata przystojna dziewczyna, ubrana niby »najhrubsza gaździna« w błękitny, aksamitny gorset, cieniutką, śnieżną koszulę z bogatemi wypustkami na ramionach i w pomarańczowej chustce na żółtych włosach.

— Podać ci erbaty? — spytała śmiało dźwięcznym głosem.

— Nie — bąknął Iłowicz. — Już piłem w kawiarni. Ale mogłabyś zrobić kilka papierosów.

— Wto buł w kawiarni?

— Ach! — rzucił z uśmiechem zagadnięty i mówił niedbale: — Jak zwykle, pełno bab, żądnych hołdów, czterowierszów do sztambuchu, autografów, a mianowicie śmiechu, czułych słówek, gorących spojrzeń i t. d. Nie zabrakło oczywiście tej ordynarnej pół-Francuzicy, pospolicie »Mademoiselle Kaśka« zwanej, wydętej nieprzyzwoicie aspiracyami do »czystej i prawdziwej« sztuki. Innej nie używa. Tylko paryski puder!... Była także nasza operetkowa hrabina, kulawa Owicka, no i nieprzebrana rzesza dzierlatek, flirtówek i wszelakiego kalibru panien na wydaniu, których »wiele za wiele«...

Podparłszy się pod boki, Jantka słuchała słów Lucyana, który zwykł był spowiadać się góralce ze wszystkiego z rozbrajającą szczerością, i uśmiech drgał wokoło jej malinowych warg, a potem, zabierając się do robienia papierosów przy ubocznem oknie, wychodzącem na las smreków i szemrzący potok, zauważyła półgłosem:

— Powidz, Lucek, cy ty o nos dzieuchach tako godos do onych kapelusowych pań?

Na to Lucyan zwrócił na nią wyraziste oczy i zastanowił się, czemu nigdy w rozmowach z kobietami swej sfery nie prześmiewał się z wiejskich dziewuch. Czemu? Czy boska prostota dzieci natury przejmowała go bezwiedną czcią? Rozbrajała buduarowego sceptyka, przemawiając tonami fujarki wprost do nagiej duszy artysty?

Oplótł Jantkę długiem spojrzeniem, w którem płonęła iskra podziwu i żądzy. Podniósłszy się powoli, podszedł do niej, ujął głowę dziewczyny w dłonie i, odchyliwszy ją w tył, zamknął gorącemi ustami jej siwe, chłopskie, migdałowe oczy.

— Serdecko moje... — szepnął przez zęby namiętnie, owiany ciepłem lic krasnych, brzoskwiniowych.

A ona rozróżowiona, rada, z lubością w piersi, broniła się słabo:

— Ostow mnie teroz, Lucek... Idź se. Do syta mos mej gęby. Kiej papierosków mom ci narobić...

Gdy Lucyan odsunął twarz od niej, dwie klawiatury bielutkich zębów łysnęły z poza rampy ust i w uśmiechu dodała:

— Jesce uwidzi nos w oknie wtóra z twoich paniów i bedzies mioł kłopot...

— Alboż to one o tobie nie słyszały? — zaśmiał się Lucyan.

— Słysały i miłują mnie — hej! — kieby pieski dziada kościelnygo. Nie boćkaj mni tylo! — broniła się jeszcze, uszczęśliwiona w tryumfie nad kapeluszowemi paniami. A gdy przylgnął znowu ustami do jej lic pachnących, wyśpiewała słodko, jak do maleństwa:

— Idź se tero, Luciuś, zajzyj do dzieciów. Tak se ślicnie zabawiają temi klocyskami, co my je kupili w Sukiennicach, az trudno od nich odjąć ocy.

Iłowicz wziął kilka papierosów z pod palców frajerecki i zajął znowu miejsce w trzcinowym fotelu. Zagadnął ją w sprawie swych osieroconych dzieci którym Jantka oddawała się tak serdecznie, jak ich ojcu, zaczem podjął na nowo książkę.

Lecz niebawem dziewczyna ozwała się od okna:

— Ej, idzie panna Józia Owicka!

Lucyan odwrócił niedbale głowę w stronę okna, drwiący uśmiech zaigrał w kącie zmysłowych warg, ale nie rzekł słowa.

Tymczasem Jantka podeszła cicho, na kierpcach, nabijanych gwoździkami, do jednego z frontowych okien i, wtuliwszy się w fałdy kretonowej firanki, spozierała niepostrzeżenie na jednę z mnogich wielbicielek rozgłośnego, znakomitego pisarza, która posuwała się ślimaczo piaszczystą aleją smreczaną,

wspierając się na ciupadze i strzelając uporczywie okiem w okna willi.

Wlokąc się krok za krokiem, ciemna, drobna postać kulawej, przybita do ziemi ogromem drzew wyniosłych, wtopiona w plamy głębokich cieniów leśnych, zdała się dźwigać jakieś brzemię. Jednakże Jantka widziała jeno białą, owalną twarz, namaszczoną madonowym wyrazem wniebowziętości i ciemne, duże oczy, odźwierciedlające tajemnicze przezrocza głębin morskich.

— Dy ty pono namówiłeś se to dziwcencisko na spacer?! — zawołała.

— No — odparł z góralska literat z uśmiechem.

— A po co, kiej nie rod jom widzis?

Lucyan wzruszył ramionami.

— Nudzi mnie tak — cedził — że ostatecznie obiecałem pójść z nią pod regle. Gwałtem zachciewa jej się spacerów we dwoje, długich rozmów o przyrodzie, sztuce, poezyi, życiu i Bóg wie o czem, rozmów, które w gruncie rzeczy nie są niczem innem, jak targowaniem się o serce. Bo o czembądź panna myśli, myśli zawsze tylko o miłości lub raczej o małżeństwie, co zresztą w kołach filisterskich utożsamia się cudownie... Z kobietami przeto nie warto wcale rozmawiać o niczem, okrom o małżeństwie, amorach, modach i kuchni. A chociaż rozprawy na temat miłości są niewyczerpane, jak morze, chociaż o miłości niepodobna powiedzieć głupstwa (bo jest to tak bezdenne, dziwne głupstwo, że każde głupstwo da się do niego przylepić), więc przy gawędach takich można

drzemać bezpiecznie, wszelako przeje się to, mdli, jak nadmiar konfitur.

— Pudzies ś niom? — spytała, obyta z monologami autora Jantka, przechodząc do zajmującej ją kwestyi.

— Ani mi się nie śni!

Jasność oblała twarz dziewczyny.

— Lubis-ty trosecke ten dziewcyne?

— Ah, lubię ją dosyć, przenoszę o wiele nad inne. Ma prześliczne oczy, jak tom poezyj. Zresztą zdolna; ma talent, zapał, nieźle maluje, ale...

— Kulawo.

— Strasznie ułomna, chuderlawa, schorowana.

— Takiś ty to! Juz nawet haw kulawym dzieuchom psewrocos po głowach!

— Na to tylko mają głowy — dowcipkował Lucyan — aby mężczyźni im w nich przewracali. Na nic innego!

— Ha! ha! — zaśmiała się Jantka i po chwili rzekła, oplatając go miłosnemi wejrzeniami: Prowda bo prowda, bez twój hyr [1]) serca dzieuch strasznie k'tobie se obracajom...

Stała pod ścianą ze skrzyżowanemi na plecach ramionami, wyprostowana jak ułan, rosła, ponętna, dzika kozica i zadowolenie sytej miłości własnej grało w niej na nutę zbójecką. On ją lubował ponad wszystkie wzdychające damy, z nią nie znał śpasów, przy niej spowiadał się ze wszystkiego, co miał na sercu.

---

[1]) Rozgłos, sława.

Kochał ją nie bez lato, nie bez zime, ino juz bez trzy roki.

W istocie Iłowicz, przy niej wyzuty z arlekinowych gałganków światowych, wolny od draperyi i masek, był sobą i kochał ją, bo w jej źrenicach przeglądał się cały, jak w kryształowych wodach górskiego potoku.

Zerknąwszy znowu z poza rąbka firanki, Jantka ozwała się:

— Cni jej se. Ocy do cna wypatsy, a chodzi i chodzi...

Chodząc tam i napowrót, panna Owicka utęsknionem, drżącem gołębio sercem chwytała każdy szelest, mogący zwiastować zbliżenie się człowieka, którego kochała bodaj już, nim go poznała. Bo w wątłem, ukrzywdzonem jej ciele mieszkało serce, torturowane głodem uwielbienia poddańczego, krańcowego. A z kart pism Iłowicza wyłaniał się aromat lubczyku uwodny, aż stanęła przed jej samotną i na samotność skazaną wyobraźnią dziewiczą posągowa a kipiąca życiem postać z czołem chmurnem i górnem i w sanktuaryum wrażliwej duszy wymodelowała ją sobie z subtelnością tworzącej artystki, wypieściła na piersiach kobiecości, wykołysała w snach rubinowych, oświetliła tęczą pragnień nieokreślonych.

A gdy go ujrzała, gdy przemówił do niej i popatrzył w nią wymownemi oczyma bałamuta, zdało jej się, że zstąpił do niej z cherubinowych wyżyn posłaniec niebios z kwiatem paproci i nie wiedziała już wcale, czy widzi go takim, jakim jest, czy takim,

jakim znała go dotąd w egzotycznym świecie swego ducha. Pod upojnym czarem realności niewyszkolony jej zmysł krytyczny padł bezsilny i chodziła przy jego boku na stokach górskich, jak we śnie po kwietnym kobiercu i żyła pragnieniem: istnieć w promieniach jego osoby, patrzeć nań, mówić z nim, tylko z nim, tylko z nim.

Lecz on nie przychodził. Może zaskoczył go gość jaki nie w porę? Nie! Z otwartych okien wiało milczenie. Raz pochwyciła uchem głosiki dzieci i śmiech piastunki, którą podobno łączyło z Iłowiczem coś więcej prócz dzieci. Chusta Jantki mignęła przy oknie jego pokoju i coś ukłuło ją w serce. Ale czyż chłopka mogła być towarzyszką duszy artysty?...

Nie przychodził. Może bawi się z dziećmi, może zaczytał się, zapomniał spojrzeć na zegarek...

Spozierając raz po raz w stronę willi, ujrzała szarego kotka, który łaził po rampie werandy, niby skradając się, a potem przykucnął, jakby do skoku. W nagłem postanowieniu panna Owicka minęła kilka smreków, dzielących willę od drogi, i stanęła przy końcu werandy, opodal »jego« okien, przymilając się do kotka giestami i przyzywając go pieszczotliwie:

— Kotek!... Ci-ci-ci...

Spostrzegła ten manewr Jantka i, tłumiąc pusty śmiech, szarpnęła Lucyana za rękaw.

A on, sam śledząc kroki rozkochanej panny, z donżuanowskim uśmiechem w duszy, polecił jej z cicha:

— Pomyśl i pozbądź się jej jakoś z karku!...

Tymczasem kotek okazał się nieczułym na umizgi panieńskie i przysiadł ospały.

We drzwiach korytarza wykwitła wszystkiemi barwami zgrabna sylwetka góralki i zakrólowała nad otoczeniem.

— Coś ten kotek prawie do wos nie kce... — rzuciła z szerokim uśmiechem.

Jakby harapem smagnięta, twarz artystki oblała się szkarłatem, a potem powlokła trupią bladością. Oczy rozwarły się na Jantkę w jakiemś błędnem przerażeniu. I wstyd przywalił ją jak głaz, ferment podniósł się w duszy, chaos zakotłował w głowie i gryzący ból wpił się w nią wściekłymi zębami. Głowa opadła nizko i zacichła, chwiejąc się niby kwiat podcięty, panna Owicka ruszyła z miejsca na drżących nogach.

Poszła.

Od zachodu, z ponad czoła Osobitej padał grad słonecznych strzał ukośnie między szeregi drzew przydrożnych i świetlane smugi płynęły nad ciemną, złamaną postacią kobiety.

A przez okna willi trysnęły śmiechy.

— Dobrze!... Doskonale! To ci się udało, daję słowo! — wołał rozbawiony Lucyan do Jantki, która w świetle jego przechwał czuła się dumną ze swej pomysłowości, ze siebie. I pochwaliła się, że panna Owicka zapomniała wobec niej języka.

A potem on powrócił do książki, ona do tytoniu. Lecz nie przestała wyzierać przez okno na drogę, gdzie nikły cień artystki chwiał się wśród pniów

smrekowych. I nagle przykuł jej wzrok do siebie, rozbudził w piersi góralki inne tony.

W liniach wątłej postaci wyczytała złamanie, uprzytomniła sobie owo upiorowe wejrzenie, które teraz dopiero zionęło w nią mróz i zaciążyło jej na duszy. Jakby przyszło na nią jasnowidzenie, odczuła w tym momencie czystem, prostaczem a wrażliwem sercem czerń pognębienia i morze łez, które unosić musiała w piersi ta kobieta znieważona w uczuciach tkliwych, kopnięta. Jantka ujrzała teraz wszystko oczyma nagiej duszy.

Jęk współczucia ozwał się w niej i podniosła wzrok na Lucyana z wyrazem wyrzutu za to, że użył jej za narzędzie, którem zadał bezwzględny cios kobiecie. Zdjęło ją coś, jakby odraza do niego, coś, jakby obawa głucha przed tym mężczyzną, który, zraniwszy boleśnie kochające serce, odszedł obojętny, nieczuły, w górny świat książkowy. Pojęła rozumem serca, że kto nie umie uszanować szczerego uczucia, ścielącego się u nóg swych, stokrotnie go nie wart. I przeszył ją dreszcz lęku o siebie.

— Słuchoj, Lucek — ozwała się — bez co kozołeś mijom odganiać.

— Nudzi mnie, mówiłem ci — bąknął Lucyan zbywająco.

— A cemu to tom kobietom w ocy tylo patsys? Cemu je wodzis?... Serce jom tero ozbolało strasecnie, niebożątko. Uksywdziłeś jom...

Ugodził w dziewczynę zdumionem spojrzeniem i odwrócił głowę.

Zmilczał.

Jantka patrzała na niego, jakby nie pojmując, jak taki »ceper, taki fajny pon« mógł tak postąpić i po chwili, wychodząc z pokoju do dzieci, wyszeptała jeszcze:

— Ej, uksywdziłeś jom...

NAGRODA.

— Znowu wybierasz się gdzieś na wieczór!? — rzuciła cierpko pani Celina Masińska w progu sypialni, na widok męża, wydobywającego z szafy smokingowe ubranie, i w szafirowych jej źrenicach łysnęła iskra gniewu, nozdrza zgrabnego noska wydęły się, ręka zawisła na moment w geście odpornym.

— Jakto »znowu«? Przecież... — zaczął bronić się z pokorą pan Hipolit.

— Dokąd idziesz?

— Do Dewalów.

— Naturalnie! Jakby to było, abyś nie miał pójść na wieczór do Dewalów! Bez ciebie nie obyłoby się u nich na raucie... Pachną ci magnackie salony, pochlebiają względy. A gdybyś miał choć źdźbło godności osobistej, nie postałaby twoja noga tam, gdzie nie proszą twej żony! Nie proszą... Jakbym była jaką aktorzycą z pod ciemnej gwiazdy. Nie pochodziła z lepszego pnia od nich!... Ale ty nie dbasz o mnie, nie czujesz nawet, że ci to uchybia. Nie czujesz...

— Ależ, moja Cesiu! — bąknął pan Hipolit, ser-

decznie znużony domowemi rozprawami w tym tonie i, nie podnosząc oczu na żonę, ciągnął:

— Wiesz chyba, czem byli i są Dewalowie dla mnie...

— Wiem, oczywiście, wiem: protektorami pana historyka, który musi pokłonić się dobrodziejom.

— Bynajmniej! Mówi przez ciebie złość — żachnął się literat, jakby dotknięty żądłem osy. — Protektorami? Ciekawym... Gadasz byle co.

— Jeśli nie, to proszę cię, wytłomacz mi, w czem objawia się ich przyjaźń dla ciebie. Piękni mi przyjaciele, którzy ci w niczem nie pomogą!...

Pan Hipolit ściągnął brwi i westchnął ciężko.

— Nie oczekuję pomocy... Łączy nas zażyłość, mianowicie upodobania literackie. A są to ludzie, których się ceni, których się chętnie widuje.

— Bez żony!

— I ty raz na zawsze jesteś proszona. Gdybym miał na stosowną toaletę...

— »A ponieważ nie mam, pozostanę w domu«, powiedziałby inny małżonek i postarał się o to, aby żonę, wiecznie doglądającą dzieci i kuchni, przynajmniej raz na rok ubrać po ludzku.

— Ach!... — rzucił pan Hipolit enigmatycznie i oplótł postać żony długiem spojrzeniem. Zlustrował brudny jej fartuch, zaszarganą suknię z odartą nieco falbaną, zatłuszczony stanik, roztargane, płowe włosy, które suchemi kępkami okalały ładne, lecz zorane trochę czoło pani Celiny.

Niby od starej garderoby, wiał od niej jakiś obra-

żający poczucie estetyczne zapaszek zaniedbania, opuszczenia. Zły uśmiech drgnął wokoło jego warg — uśmiech, który mówił: »Ubrać ciebie, która nie przestrzegasz nawet czystości!...« Miał na ustach słowo reprymendy, gdy wtem rozległ się dzwonek i pani Celina zwróciła się do wyjścia.

Zanim znikła, cisnęła mężowi przeszywające, sztyletowe spojrzenie i w piołunowej rezygnacyi utkane:

— To życie!...

Długo grał mu w duszy ton, w jaki uderzyła, a gdy rozwiał się ferment urazy, akord zbuntowanej jej duszy ozwał się w nim żałosnem echem. Nie winił jej, nie zżymał się, nie biadał nad dolą, jaką mu zgotowała.

Ujrzał we mgle przeszłości swą ładną, różową, miłą, umysłowo rozbudzoną dziewczynę jasnowłosą, którą prowadził do ołtarza przed jedenastu laty, opromieniło go wskrzeszone, złote wspomnienie i skonało w beznadziejnej toni ołowianej rzeczywistości. I wezbrał w nim żal głuchy do »tego« życia, które obiecującą hożą istotę odarło z wdzięków młodości, znieczuliło na schludność, zepchnęło w pieczarę obskurantyzmu, pogrążyło w prochach pojęciowej i duchowej pospolitości.

Tak, to było »życie«, uwite w tuman szaroty bez wyjścia, toczące się z turkotem po grudzie codziennej prozy, wciskającej się wszystkiemi szparami w głąb duszy, kołaczące się między chronicznym niedoborem kasowym a kłopotami familijnymi — życie spłowiałe,

wyzute z różowych blasków świątecznych, obniżające skalę ducha, oszpecające słabe dusze.

Nie tyle ona była winna, ile »to życie«...

A przecież jakże innym, kwiecistym szlakiem mogły potoczyć się dni jego!...

Jak tęcza, roztoczyło się nad jego głową urocze, bezprzedmiotowe wspomnienie cudowną wstęgą. Przesłał mu hen, daleko, ciche westchnienie i — począł ubierać się z gorączkowym pośpiechem.

. . . .

— Zaręczam pani, nigdzie nie dzieją się tak zabawne rzeczy, jak na ziemi — kończył z uśmiechem anegdotę wyfrakowany pan Zygmunt Sowiecki, wchodząc z salonu do zacisznego gabinetu weneckiego przy boku przystojnej damy w najnowomodniejszej toalecie.

— Gdy kto, jak pan, posiada talent odnajdowania wesołych rzeczy wszędzie i zawsze — zauważyła pani Wanda, muskając go zdobywczem spojrzeniem.

— Talent taki odnaleźć w sobie łatwo... przy pani, u źródła wszechradości, szczęścia — cedził, zmrużonemi oczyma ślizgając się po obnażonym karku i plecach przystojnej szatynki.

— Pyszne ramiona! — szepnął przez zęby, niby do siebie.

A ona nagle odnalazła w sobie interes dla artystycznego otoczenia, pochyliła się nad empirową gablotką, w której rozpościerały się pod szkłem pier-

ścienie, bransolety, zauszniki, klamry i okucia bronzowe i inne starodawne kosztowności. Ale nic bodaj nie widziała; w przysłonionych oczach migotał blask, pełen pikanteryi i uciechy.

Pan Zygmunt wyprostował się, podobny do koguta na swych długich, dość cienkich nogach, dźwigających ciężki kadłub. Poprawił machinalnie krawat, czerniący się nad śnieżną tarczą koszuli, zerknął w przymknięte drzwi i, korzystając z chwili, oplótł palcami ślicznie utoczone jej ramię z lubieżnym wyrazem sybarytycznego, nalanego oblicza. Wpił się w nie jakby zębami, rozkoszując się dotykiem jej ciała, jego ciepłem i miąższością.

Pani Wanda, spłoszona, odwróciła się w mgnieniu oka, odsunęła się od niego o dwa kroki i, patrząc we drzwi, wyrzekła półtonem:

— Żona pańska idzie...

— Nie idzie... jedzie jutro na wieś...

— A pan?

— Oczywiście zostaję... tam, gdzie pani. Będzie pani jutro na wyścigach?

— Zapewne... Negliżuje ją pan bardzo.

Na ponsowe oblicze clubmen'a wytrysł serdeczny uśmiech.

— Nie przypominam sobie — począł zwolna — abym był kiedy korzystał z nauk, rad i wskazówek innych ludzi. To nieładnie korzystać ze zdobyczy bliźnich... Ale jednak zastosowałem dosłownie jednę receptę życiową stryja, który mi niegdyś mówił: »Żeń się i idź za popędem swego serca...«

— Ha! ha!... I pan idzie?...

— Tak, idę... Przyjadę jutro do pani. Może po wyścigach, dobrze?

— Po wyścigach obiecałam się do pani...

We drzwiach ukazała się siwowłosa pani domu z Masińskim i dwiema damami.

Uśmiechy odosobnionej pary zgasły.

— Ot, klatka, którą panie pragnęły obejrzeć — ozwała się pani Dewalowa, zwracając się do uroczej, ciemnowłosej kobiety, która, wszedłszy, spokojnem a zimnem wejrzeniem ugodziła w twarz pana Zygmunta — swego męża.

Nikt nie umiałby orzec, czy odgadła, co rozgrywało się przed chwilą w altanowej, różanej atmosferze weneckiego zacisza.

Przysłoniła źrenice i cedziła spokojnie:

— To artystyczna bomboniera... Te zielonkawe, pastelowe barwy...

— Polecam uwadze pani — wpadła pani Wanda z karmelkową intonacyą — tę gablotkę. Mąż pani zachwycony weneckiemi mozaikami.

— Nikt nie objaśni państwu tego lepiej od pana Masińskiego — rzekła gospodyni domu. — Zna on tu każdy szczegół i opowie paniom z pewnością piękniej ode mnie...

Po chwili pani Dewalowa oddaliła się za panią Wandą i panem Zygmuntem, którzy, rozłączeni, wmieszali się w obozowisko, rozproszone po salonach pałacowych.

Pan Hipolit został sam z panią Konstancyą So-

wiecką i jej siostrą, odcięty od głośnych, rozjarzonych sal, jakby wyniesiony poza ramy codziennego bytowania i świata.

Wszystko zaprzepaściło się gdzieś, zagłuchło, więc odczuwał niezakłócenie każdym, napiętym boleśnie nerwem obecność pani Konstancyi — tej białej, ponętnej kobiety, która nie była mu obca, która przesunęła się kiedyś przez szlak dni jego, jak gwiaździste zjawisko, wskazujące mu drogę na wyżyny.

Po jedenastu latach spotkał niespodzianie ówczesną pannę Konstancyę — milionową pannę, która upodobała sobie młodego, »wiele obiecującego« historyka i chciała wyjść za ubogiego, nie błyszczącego niczem w »świecie« człowieka. Chciała oprawić go w złote ramy, otworzyć przed nim podwoje do wygładzonej, świetnej przyszłości. A on, nosząc wówczas w sercu obraz Celiny, związany z nią słowem, przeszedł obok niej bezmyślnie, sennie...

Naonczas wydała mu się pozbawioną kobiecego wdzięku, poprostu niełądną, teraz — ogromnie pociągającą, ślicznie w liniach ukształtowaną i rozwiniętą kobietą. Małżeństwo i macierzyństwo sprawiło zadziwiającą metamorfozę. A ubrana świetnie w głębokie szafiry, koronkami przysłonione, z których wykwitał nieskazitelny biust o tonie ciał Botticellego, pachnąca irysem i egzotycznym czarem wykwintnego środowiska — tak o całe niebo odmienna od Celiny, nieciła w nim dreszcze pożądania.

Wskazywał, objaśniał kolorowe mozaiki drzewne,

pokrywające ściany, delikatne, zielonkawe *panneaux*, misternie strugane figurki oryentalne, z nisz wyrastające, ogromne, pyszne wazony etruskie, patyną starości powleczone kandelabry, które jakiś doża zrabował gdzieś na Wschodzie. Mówił jak papuzi cicerone, nakręcany automatycznie, a głos jego chwilami drżał, wiązł w krtani i rwał się, bo spodem słów kołatały się sprzeczne uczucia i refleksye, pochłaniające całą jego istotę.

Błądził wzrokiem około jej krągłych bioder, upajał się dyskretną linią gorsu, zawisał na płomiennych jej ustach, szukał na straży ich osiadłej muszki figlarnej, którą zapamiętał. A każdy wdzięk jej bolał go niemal fizycznie; odczuwał go bowiem w przeciwstawieniu do opuszczenia powiędłej żony. I naodwrót kontrast i ból potęgowały intensywność zachwytu.

Chwilami milkł i pytał się:

— Czy ona jeszcze pamięta?... Czy mnie poznaje i... uznaje?... Co sobie myśli?... Czy żałuje?...

Pragnął czytać w jej twarzy, lecz pani Konstancya unikała jego pocisków ocznych. Na rysach rutynowanej salonowo damy spoczywała maska niezbadanego spokoju.

Jednakże z istotnem zajęciem osoby, rozmiłowanej w przedmiotach artystycznych, oglądała wszystko uważnie, raz w raz rzucając inteligentną uwagę, pytanie. A gdy stanęli przed dawną, świetną edycyą dzieła wielkiego Tassa, wywiązała się rozmowa na temat odradzającej się trwożliwie sztuki introligator-

skiej — rozmowa, która wypłoszyła siostrę pani Konstancyi z gabinetu.

W toku wymiany zdań splotły się promienie ich źrenic i urwali nagle, stracili wątek rozmowy.

Padła między nich przeszłość i mistyczną nicią spoiła dusze. Lica jej wyróżowiały, rozkwitły, ożyły w muzyce rozpętanego wspomnienia, w dreszczu błogiego niepokoju.

On zbladł marmurowo, tak silnie szarpnęły go skłębione uczucia, tak silnie ugodziła weń świadomość tego, co samowolnie postradał, i tego, co w zamian za szczęście, u nóg leżące, wyłowił z potoku życia. Głęboki cień żałości zachmurzył mu czoło i patrzał na nią, jakby z głuchej otchłani na majaka cudnego, przynoszącego mu znane echo wiosny, gdy z pełnią nadziei w piersi wstępował dopiero po wymajonych powodzeniem stopniach do nęcącego pałacu życia.

Zacichli, bo mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. Wreszcie pani Konstancya ozwała się:

— Jak pan serdecznie zajmuje się temi rzeczami!...

— To naturalne. Ale pani...

— To tak przyjemnie wypełnia życie choć w części...

— I... wynosi w świat lepszy, koi zawody życiowe, pozwala zapomnieć o tem, co dolega...

Pochyliła głowę, zamknęła się w sobie i stanęła obok nich cisza jakaś święta, jak wtedy, gdy dusza zbliża się do duszy.

— Może... — wyszeptała wreszcie w zadumie.

Potem nagle pokraśniała, ocknęła się.

— Ale chodźmy do salonu! — mówiła i ruszyła naprzód.

A on porwał ten rumieniec, przycisnął do rozradowanej piersi. Odgadł bowiem, że i ona zestawiła w duszy to, co jej życie dało, z tem, co dać mogło, i że pożałowała...

. . . .

Noc rozpostarła swe kiry nad aleją Ujazdowską i cmentarna cisza z dyademem blasków latarnianych na czole zakrólowała dookoła. Niekiedy tylko mroźny wietrzyk zrywał się w zaroślach parkowych, wybiegał na pusty, długi deptak, błąkał się tu i owdzie wśród rzędów służbistych drzew, strącając ostatnie, zżółkłe liście, pędząc je przed sobą z szelestem smętnym wiklin i sitowia. Skostniałe lipy, jakby zwęglone, wyciągały czarne jak żagwie ramiona na wsze strony, w niemej zaklęte rozpaczy, i listki jak łzy kapały z nich, niesione gdzieś wolą wichru — przeznaczenia.

Rozległ się odgłos kroków.

Pan Hipolit wracał do domu powoli, a przy nim wlokła się melancholia...

Szedł powoli w wydrążone korytko, najeżone tysiącem szpilek, dźwigając na barkach ciężar szarego bytowania, u nóg kajdany obowiązku, depcąc po zwiędłych liściach młodzieńczych pragnień i rojeń.

Nigdy nie odczuwał jeszcze tak głęboko kolców walki o byt, rozdźwięku z blizkimi ludźmi, udręczenia i zgiełku swarów domowych. Nigdy nie zrealizował tak jasno swej doli.

Runęło nań ogromne, śmiertelne zmęczenie...

Szedł powoli w tuman cieniów i dumał nad tem, że mógł był obecnie zajmować katedrę historyi, kroczyć po kwiatowym kobiercu życia, oddać się takiej pracy, jakiej umysł jego wołał, działać dla celów, które ukochał. Mógł był, gdyby... wtedy był pokochał kobietę, która teraz wydawała mu się tak ze wszech miar godną kochania, gdyby nie był dzielił go od niej węzełek zadzierzgniętej sympatyi z Celiną, dane słowo i poczucie, że rozporządził swą osobą. Ach, to »gdyby!...«

Chichot ironii życia przeszył go lodowatym dreszczem.

Inaczej pan Zygmunt. Dla milionowej panny rzucił uwiedzioną dziewczynę i poszedł śmiało, z fantazyą urodzonego epuzera po róże uciech. Za nieuczciwość, za kłamstwo wziął w nagrodę szczęście...

A on? On uczciwy?...

Szedł powoli przed siebie, znękany swem wczoraj, chmurny przeczuciem jutra. Nie mógł odnaleźć logiki w biegu kolei ludzkich.

Nie pojmował, że, odsuwając od siebie w tych okolicznościach miliony, był wierny swemu ja, bronił się od upadku, od najcięższego grzechu przeciwko samemu sobie — od najcięższego z grzechów. Nie pojmował, że wszystko, co się stało, stało się z przed-

wiecznego rozkazu, zapisanego ręką przeznaczenia na kamiennych drogach światów.

Nie pojmował, więc zwrócił się do siebie z gorzkim wyrzutem, i szept syczący, rozdzierający, uleciał z szumem powiędłych liści:

— Jakim ja był głupi!... jaki bezecnie głupi, że byłem uczciwy!...

COŚ WESOŁEGO!

(SZKIC).

— Piłeś wczoraj trochę, bratku, ej! piłeś!... Niewiele, ale za wiele. Dymi się ze starego łba! A tobie nie wolno zaprószać mózgownicy, zanieczyszczać machiny wytwórczej, bo nie stać cię na próżnowanie, panie artysto!... — peroruje nad sobą stary literat przy biurku, muskając dłonią lśniącą łysinę. — Każdy przyzwoity filister podchmieli sobie raz kiedyś i popuści pasa, ale ty, bratku, nie należysz do porządnych ludzi, bo nie masz pasa... Nie masz warsztatu, ni pługa, ni kamieniczki. Tylko ot głowinę... łysą, spracowaną. Oj, jak zmęczoną!...

W toku perory pan Wojciech zapada w stan znieczulenia, w tuman półsnu duchowego. Przymglony wzrok ślizga się bezmyślnie po posępnym murze, spłukanym przez deszcze, przegniłym, wałęsa po oknach z taniemi firankami, ziewających wieczystą nudą — po owym parawanie przeciętnego podwórza warszawskiego, wgniatającym ludzi w śmietnik dusznego istnienia, przysłaniającym widok na niebo, zie-

mię, na świat. Niby w mrocznym szybie, gdzieś pod ziemią uwięzło tu robactwo ludzkie w legowisku, świecąc sobie wzajemnie w oczy bezbarwnością i trywialnością maszynowego bytowania.

Jeszcze pan Wojciech mruczy coś pod furmańskim wąsem, ale kazanie wlecze się coraz więcej, jak tasiemiec, urywa, kończy. Kulisty łeb opada, sennością podcięty, na brudnawy kołnierzyk, na piersi. Ciche sapanie, potem zgoła nieprzyzwoite chrapanie wydobywa się z nodrzy, niby z chrapów wielbłąda.

A w momencie przesilenia między konserwującym snem a rewolucyonizującą jawą z rozchylonych warg spada szept bezbarwny:

— Coś wesołego!...

Tak orzekł redaktor. Obiecał zaliczkę za »coś wesołego«. Wskazał przytem na świeży tom »Nowel humorystycznych«. Były one wprawdzie, jak mówił, paplaniną, natchnioną przez kabotynizm i śmierdzącą knajpę pseudocygańską, lecz dość, że chwalono je, czytano. Ot, co uchodziło w świecie za »dobre«. Więc coś w tym guście dla ludzi bez gustu — coś wesołego.

Aby tedy wykrzesać z siebie nieco wesołości, pan Wojciech podpalił trochę w mózgowym piecyku i ten prolog do akcyi twórczej miał być najweselszą częścią literackiej imprezy.

Bo lubo sam przefiltrował tkanki mózgowe, ukołysał nerwy do pewnego *bien-être* z dna kielicha, jak dyablik strzela *veritas.* Niesforne myśli, które chciał zestrzelić na wytknięty punkt, rozlatują się, jak spłoszone z żerowiska ptaki, i krążą gdzieś, kracząc i kracząc.

Chciał pracować, bo musiał pracować. Ujął się w żelazne ryzy tak, iż przygważdżał się do biurka na kilka godzin codziennie. Bywało zrazu, darł ćwiartki, borykał się z wszechludzkiem, ukochanem lenistwem do wysiłku myślowego, lecz z turnieju wychodził pegaz zwycięzko i szybował z nim ponad głogi trosk osobistych.

Uśmiecha się doń pióro autorskie, sterczące niby lanca ułańska w czarnej szczotce, gotowe do harców po papierze, ale dnia tego pan Wojciech patrzy na nie osowiały i zgrzyta:

— Coś wesołego...

Pisywało się kiedyś wesołe rzeczy! Pisywało naonczas, gdy człek miał przed sobą daleką perspektywę życiową i jakiś bezkresny szmat zielonej nadziei. Gdy na dźwięki oberka nogi drżały do hołupców, na widok ładnej buzi krew wrzała w żyłach. Gdy w piersi grały i fujarki i skrzypki, mieszając się z brzękiem ostróg rajtarskich, szumem skrzydeł husarskich i szczękiem kling szlachetnych. Grało się ludziom wesoło, a oni radowali się swojską nutą, śmiali głośno, serdecznie. Jeszcze wtenczas ludzie umieli śmiać się głośno... A dziś? Gdzieżby tam... Miasto śmiechu cyniczne chichoty, miasto konceptu zgrzyt satyra, miasto zdrowej rubaszności — pornografia. A bohaterem nad pogrzebane bohatery — detektyw! To znaczy spryt, panie dobrodzieju...

Spryt! Bajeczna rzecz. Największa cnota. A ty, panie Wojciechu, nie chciałeś się nigdy poniżać do sprytu, jeno byłeś uczciwy, pracowity... A na uczci-

wość zupełną stać tylko bogatych ludzi, u biednych zaś zwie się to poprostu głupotą... Więc teraz za karę niebios zzuj ciężkie buty etyki, sprowadź z Paryża paczkę pieprzyku czerwonego, pożycz sobie grzechotki pierrota francuskiego, dzwonków błazeńskich angielskiego klowna, czelności od buduarowego kabotyna i wielkości od kabaretowej gwiazdy! I pisz... coś wesołego!

A nie zapomnij wpierw zgwiznąć sobie galeryę klakierską! Nim jeszcze coś powiesz, musisz zmusić ludzi do słuchania. Więc urabiaj sobie opinię w »salonach«, by klika oczekiwała głosu twego, jakby Mesyasza. Roznoś wielkość i sławę imienia swego, gdzie trzeba, chociaż na nią nie zasłużyłeś i zapracować nie myślisz. Ucz się łowić ryby w mętnych wirach towarzyskich, dobijaj się o wybitną rolę w głupiej komedyi życia. Kłam, jak artysta, chociażbyś pisał jak szewc. Dziś mają kurs blaga, tupet, magnetyzm osobisty i spryt. I nic na świecie nie ma większego powodzenia nad — — powodzenie. Odłóż zatem pióro, odziej się pięknie, idź między ludzi i mów im... coś wesołego.

— Cha! cha!... — zagrało w duszy pana Wojciecha; wsparł na ręku stary łeb, co miał ochotę walić w jakiś mur twardy, i popadł w wiry bezprzedmiotowych myśli.

Aż spostrzegł psa wyliniałego, który łaził po ciemnem podwórku, węsząc tu i owdzie, skradał się do śmietnika, niby do stołu biesiadnego, chyłkiem,

snać lękając się, by go kto nie kopnął, nie odpędził. I tak szukał ochłapów i gnatów.

Nagle uderzyło pana Wojciecha dziwne jego z tym kundlem podobieństwo losu i uśmiech jakiś wykrzywił mu twarz, jakby miał na duszy coś wesołego.

I myślał:

— Ty psie szczęśliwy! Jakże zazdroszczę ci, ja — król stworzenia! Tyś bogacz!... Masz budę, w niej trochę barłogu i niezamąconą ataraksyę mędrców greckich... Wolno ci tam leżeć, dumać o wszechnędzy człowieka i... masz gdzie leżeć. A ja nie mam gdzie złożyć skołatanej głowy i »umieram tem, że umrzeć nie mogę...« Ty, szczęśliwcze, możesz zdychać spokojnie, a ja, psia krew, ja... muszę pisać coś wesołego!..

Pies czmychnął...

Chmara dzieciaków umorusanych wyskoczyła na podwórze. Za nią ukazał się dziad bez kaptura, łysy, z rozczochraną brodą, może trochę do pana Wojciecha podobny. Dźwigał brzydkie pudło — katarynkę.

Ozwał się zgrzyt. Sapnęły zakatarzone od wieków piszczałki, chrapliwe dźwięki wydobyły się ze spracowanych płuc, uderzyły o mury, wypełniły studnię kakofonicznym hałasem, od którego puchną uszy. Rozległy się jęki przedpotopowej aryi czy dramatu ćwiartowanych wnętrzności.

Literat zerwał się, wściekły na »starego trutnia«. Cisnął mu na bruk miedziak i huknął z okna:

— Grajże chociaż... coś wesołego!

UKRYTY SKARB.

Już pusto było w kawiarni.

Opodal wejścia błąkał się wymokły garson, oddając się gwałtownemu rozdzieraniu ust, na wzór sennego krokodyla.

Przy jednym z opuszczonych, marmurowych stolików w głębi gawędziło jeszcze dwóch małomiejskich notablów: pięćdziesięcioletni pan Tomasz, zajmujący się wszystkiem potrosze, a niczem w szczególności, i, dzięki temu, uchodzący powszechnie za »jednego z najwybitniejszych obywateli«, i młody, ambitny członek palestry, Jarosław Rzęcki, pisujący w miejscowym »Dzwonie« sprawozdania z okolicznościowych przedstawień teatralnych i nowości literackich. Radząc do późna na jakiemś zebraniu *de publicis*, wstąpili do kawiarni przepłukać gardła i pofolgować jeszcze niepohamowanym językom.

Przerwał im rozmowę zgrzyt drzwi. Wraz z podmuchem miłego, nocnego chłodu letniego wstąpił młody blondyn w pelerynie, z walizką w ręku, i zwrócił się do garsona.

— Daję słowo, Janek Nieszawski! Skąd on się tu bierze? — zawołał do towarzysza pan Tomasz.

— Rzadki gość! — zauważył z przekąsem adwokat. — Za ciasny tu świat dla takiego kulturalnego osobnika!...

— To, to! Buja po świecie. Patrzy na nas z góry!

— To samo napisałem w »Dzwonie« o jego powieści albo raczej bezczelnej satyrze na nasze stosunki. Dostało mu się za to ode mnie po nosie! Pamięta pan? A nadto wytknąłem mu nieprawdopodobieństwa w fabule, uderzający brak poczucia prawdy życiowej. Jeżeli nas ma za ciemnych, zaśniedziałych, zaściankowiczów, to...

— Witam panów! — ozwał się młody głos i przybysz wyciągnął dłoń do dawnych znajomych.

Snadź wniósł z sobą iskrę nowego życia, bo rozmowa potoczyła się w szybkiem tempie i niebawem druga butelka wina stała na stole. Chwilami jakiś błysk wesołości migotał w źrenicach pana Jana, który, zapadając w zamyślenie, przygryzał koniec wąsika.

— Jeżeli pan zamierza jechać dalej o piątej z rana — mówił dociekły pan Tomasz — to po jakiego dyabła zatrzymujesz się pan te kilka godzin? Może jaka dawna znajomość?... Kobietka?

— Nie. Spodziewałem się zastać tu kolegę szkolnego. Zresztą...

Przybrał tajemniczą minę.

— Co takiego?

— Długa historya...

— Założę się, że wchodzi w grę kobietka.

— Bynajmniej. Coś... poprostu... dziwnego... nadzwyczajnego...

Rozciekawione źrenice wlepiły się w poważną twarz literata, który po pauzie począł zcicha, z ogromnem namaszczeniem:

— Zatrzymałem się jakiś czas w Berlinie. Chcąc przywieźć jaki upominek dla siostry, wstąpiłem onegdaj na Friedrichstrasse do sklepiku wschodnich, czyli fałszywych brylantów. Prócz panny składowej, zastałem tam rozmawiającego z nią... Araba. Najprawdziwszego Araba. Nie z warszawskich Nalewek, lecz z samego Dar-es-Salam, ze wschodnio-afrykańskiej kolonii niemieckiej. Przybył do Berlina z trupą cyrkową i... wężami. Chciał zbyć w tym sklepie coś niecoś ze swych wschodnich cacek. Notabene, kupiłem od niego śliczny wschodni figiel, który mam w walizce. Uderzyła mnie przepiękna, jakby z bronzu ulana twarz jego, cudne, wyraziste oczy, a szczególnie bezbrzeżna melancholia, rozlana na rzeźbionych misternie rysach...

Pan Jan wychylił kieliszek wina, zapalił papierosa i mówił dalej z przejęciem:

— Skoro tylko wszcząłem z nim gawędę, począł mi się skarżyć łamaną niemczyzną na swe opuszczenie wśród obcych. Łzy kręciły mu się w oczach, gdy mówił o Berlińczykach, na każdym kroku gapiących się nań, jakby na raroga, o bezczelnych, namolnych ulicznikach, wyśmiewających się w żywe oczy z jego ciemnego oblicza i białego stroju. A potem opowiadał mi o oryginalnych stosunkach, panujących w jego egzotycznej ojczyźnie, nad brzegami oceanu Indyj-

skiego. Wziąłem go z sobą na kolacyę. Pod koniec miłej rozmowy... Ale... nie wiem, czy mogę zdradzić panom tajemnicę...

— A o co chodzi, panie Janie!?

— Wie pan przecież, z kim...

— Niezawodnie. Mam przed sobą dwóch najzacniejszych obywateli miejscowych, których nieskazitelny... Ale jednak!... Niezwykła sprawa...

— Może pan być pewnym...

— Muszę wpierw wziąć od panów słowo honoru, najuroczystsze, że, co powiem, zostanie między nami.

— Słowo!

— Słowo!

Literat pogrążył się na chwilę w obłoku zadumy. A chwila ta wydała się godziną. Wreszcie, upewniwszy się, że garson nie słucha, mówił szeptem spiskowca:

— Pod koniec rozmowy Arab ozwał się do mnie: »Pan jeden w tem mieście zbliżył się do mnie, jak do człowieka, mówił ze mną, jak z przyjacielem... Dziękuję za to i... pragnę się panu czemkolwiek odwdzięczyć... Ja posiadam w sobie moce wyższe, jakich niema żaden iman... moce, któremi panuję nad światem wężów i gadów... moce tak wielkie, jak mahatma hinduski... Czytam w głębinach istot, na mlecznych drogach kosmicznych światów...« Ton jego głosu przejmował mnie, jak dźwięk z poza grobu płynący. Ujął moją rękę, zapatrzył się w linie dłoni i między innemi tak mówił: »Wkrótce będzie pan w mieście nad małą rzeką... Pół mili od tego miasta stoi nad rzeką stary, samotny dąb... O pół łokcia od tego dębu,

ku wschodowi, znajduje się w głębokości półtora łokcia wielki, ukryty skarb...

— Nie może być... — szepnął bez tchu pan Tomasz.

— ...Skarb w żelaznej skrzyni... kosztowności prawie królewskie, sztaby złota, perły... cudowne...

Umilkł, przejęty wielkością swego odkrycia, i słuchacze ucichli, jakby zaklęci. Otworzył się przed nimi fascynujący widok na jakiś świat czarodziejski.

— Dąb?... Samotny dąb?... — szepnął wreszcie do siebie pan Jarosław.

— Jest, panie! Jak Boga kocham, jest! — wybuchnął uradowany, jak dzieciak, pan Tomasz. — O kilkanaście kroków od owego lasku świerkowego, odosobniony, tuż nad rzeką. Tego pan nie wiedział?— zwrócił się do pana Jana. — I dlatego przypuścił nas do tajemnicy.

— Więc jedźmy! — zakomenderował literat obcesowo.

Słońce wstawało. Świat budził się, skąpany w kryształowych przezroczach, owiany tchnieniem lata, uśmiechnięty.

Jan, siedząc na murawie nadrzecznej, upajał się krajobrazem młodego dnia, grą barw na sklepieniu, a oni tymczasem, zrzuciwszy surduty, kopali zawzięcie w pocie czoła, niemal wydzierali sobie motykę. Gdy jeden pracował, drugi, przykucnąwszy, wpijał się chciwym wzrokiem w otwierające się wydrążenie.

Gdy Jan w drodze zaproponował, aby połowę skarbu przeznaczyć na cele dobroczynne, zrazu dwaj

obywatele zgodzili się na to półgębkiem, raczej tylko w zasadzie, ale zaraz poczęli rejterować i stanęło na tem, że podzielą się skarbem na równe części.

Po upływie pół godziny Jan spojrzał na zegarek, potem powiódł okiem po spoconych twarzach towarzyszy i rzekł:

— Wyjdzie to panom na zdrowie... Lepiej, aniżeli ślęczeć w zadymionej knajpie i gadać.

Podniósł się na nogi i podszedł do nich.

— Panie mecenasie, pamiętam pańską krytykę mej powieści... Chciałem panu dać dowód namacalny, że mam poczucie prawdy życiowej. A mając je, można w ludzi wmówić lada głupstwo. Dlatego skomponowałem naprędce dość idyotyczną historyę o nieistniejącym Arabie i nieprawdopodobnym skarbie. I pan sam dał się wziąć na plewy!!... Ha! ha!

Zarżał wesoło, jak źrebak i, wodząc oczyma po dwóch osłupiałych obliczach, dodał:

— Nie w ziemi, lecz w sobie niech panowie szukają ukrytych skarbów... Życzę panom, abyście dogrzebali się czegoś więcej, prócz piasku... Ale czas na kolej! Czas, zabawili nas... Kłaniam się...

WŚRÓD GROBÓW.

— Marysiu!... Jest tam Marysia?

— Niema.

— A gdzie?

— Ady była tu co dopiero.

Grabarz Bączykowski dźwignął się z wygniecionego fotelu, w którym drzemał po wieczerzy i, powłócząc pantoflami, zwrócił się do kuchenki.

— Znów się wymknęła! — mruknął, stanąwszy we drzwiach schludnej izdebki, piaskiem żółtym wysypanej, jasno oświetlonej.

Żona jego pomywała statki. Tęgie ramiona, obnażone po łokcie, i zgrubiałe ręce poruszały się żywo, a sędkowata postać, złamana wpół nad ławką i stojącą na niej misą, zarysowywała się na jasnem tle wybielonej ściany dużą, czarną plamą w kształcie dyni.

— Nie pilnujesz jej — zauważył mąż spokojnym tonem, wolnym od przymieszki gniewu, a gdy za całą odpowiedź Weronika wzruszyła ramionami wzgardliwie, urwał, myśl jego odbiegła, wzrok zapadł w mar-

twotę i spoczął na starym kocie, który zasypiał, rozciągnięty wzdłuż doniczek, przysłaniających szyby.

Dziwne to były oczy, drzemiące a mądre, marzycielskie a przenikliwe, popielate, wyblakłe, a jasne, jak śnieg w blasku księżycowym. Ile razy wejrzał na kogo bystro, wzniecał subtelny dreszcz lęku, gdyż obejmował ludzi szerokim promieniem srebrzystego blasku, niemal oplatał ich w bawełniane smugi światła, tryskającego z głębi nieco wklęsłych oczu, i wwiercał się iskrą aż do posad duszy. Lecz wnet źrenice gasły. Niby mgłą zaszłe, nie przyjmowały wrażeń z otaczającego go świata — gubiły się w bezkresnej oddali, w zaświatach. I płynęła z nich zaduma, jakąś myślą przewodnią natchniona.

W milczeniu, bez ruchu, stał Walenty długą chwilę, aż spragniona rozmowy żona ozwała się raźnie:

— Widziałam na targu Borzykową. Nie może strawić, żeś się nie wstawił do konsystorza za jej córką, tą błędną, co to rzuciła się pod pociąg.

Grabarz poruszył się niespokojnie, bąknął przez zęby: »Z tą Borzykową!« — machnął ręką, jakby opędzając się od namolnej muchy. Po długiej pauzie dopiero wybuchł:

— Co ona wiecznie chce ode mnie, ta głupia! Dobrze jej gadać: »Wstaw się!« A czy to mogę z czystem sumieniem zaświadczyć, że Franka nie była niespełna rozumu? Hę? Ja mam świadczyć! Widzicie ją!

— Ona się zaprzysięga, że Franka miała dobrą

głowę do ostatka, dopiero naraz, jak ją kawaler odjechał, tak to na nią przyszło, a to głównie bez to, że była w odmiennym stanie.

— Tak czy siak, dobrze w głowie nie miała, bo nie byłaby tak skończyła. Bies ją opętał.

— Ale jednak Borzykowa tak prosiła...

— Głupia Borzykowa myśli, że ino iść do konsystorza i już! Jak przepis, to przepis. Na święconej ziemi takich chować nie wolno. Konsystorz musi się trzymać tego, co nakazał Kościół święty.

— Żal mi dziewczyny. Ja się tam Borzykowej nie dziwię...

— Nie pleć! — huknął na nią mąż. — Na coby ludzie żyli przykładnie, gdyby chowano ich pospołu z takimi, co się z Bogiem nie pojednali i dyabłu duszę zaprzedali?... Spokój w grobie zakłóciłbym moim nieboszczykom, gdybym pozwolił na to, aby samobójczynię obok nich pogrzebano.

— Mądrala! — rzuciła dotknięta żona i, ocierając ręce w ścierkę, ciągnęła krzykliwie: — A nie wiesz, że niedawno tego młodego hrabiego, co się zastrzelił, pochowali jednak na świetej ziemi? Już może nie wiesz, kogo grzebiesz na swym cmentarzu!

— Chowali! Chowali, bo wiedzieli czemu, a wy, baby, co wiecie? Będą się wynosić nad konsystorz! Może wy zaczniecie dawać przepisy przewielebnemu duchowieństwu! Gęby macie wyszczekane, ale rozumu ani krzty!

— Kiej pochowali przystojnie tego panicza, czemu nie mogli sprawić pogrzebu, jak się należy, France?

— A cóż to przyszło z tego owemu paniczowi? Pochowali go, jak przystoi, a jednak snadź dusza jego nie ma spokoju na drugim świecie...

— Nieraz i dusze tych nie mają spokoju, co pojednali się z Bogiem. Sam opowiadasz, jak pokutują...

— No, tak, ale, jeśli dusza Franki czysta, to i tak ma spokój, choć nie dostała się na katolicki cmentarz.

— Ta-ak? — spytała Weronika i w osłupieniu rozwarła usta. — Jak może zażywać spokoju i wejść do nieba dusza samobójcy, nie pogrzebanego na święconej ziemi?

Zamilkli oboje, uwikławszy się w problemat.

Weronika wlepiła źrenice w poważne oblicze męża z oczekiwaniem, a on milczał zachmurzony, aż począł głośno myśleć:

— Do nieba Franka nie poszła — to pewne. A do czyśca... pono także nie, bo czyściec nie wieczny, więc kiedyś jednak dostałaby się przed oblicze Pańskie. Niebo zaś dla samobójców na wieki zamknięte...

— Więc wpędziłeś Frankę do piekieł! A gdybyś się był wstawił za nią...

— Skończ z tem! Ona zawsze swoje... psia... — huknął wzburzony, a gdy ochłonął, dorzucił:

— Pan Bóg ją osądził, a nam się nie wtrącać do tego, jeno dbać o zbawienie własnej duszy.

Oddalił się do głównej izby. Rzuciwszy się w fotel, przysunął bliżej lampę, która w błękitnej porcelanie ze złoconymi brzegami panoszyła się na stole,

oświetlając dobrze nizki pokój, przeładowany meblami i upstrzony jaskrawymi obrazami Świętych Pańskich.

Odsapnąwszy raz i drugi, jakby po mitrędze, grabarz sięgnął po książkę i począł szukać w niej lektury. Sztywne jego palce niezgrabnie i powoli przewracały kartki. Przytem sympatyczna, słowiańska twarz rozchmurzyła się, wygładziła, i osiadł na niej łagodny ton powagi, który spotęgował się, przeszedł w osłupienie niemal ekstatyczne. Ręka spoczęła bez ruchu, oczy oderwały się od książki, i znowu obłok zadumy otulił go, wyniósł w sferę zjawisk, nieuchwytnych zmysłami. Tymczasem żona jego dreptała zcicha po kuchni. Brzęk liczonych pieniędzy dał się słyszeć, poczem zapanowała cisza.

Nagle rozdarło ciszę warknięcie. Przez cienkie ściany domku wtargnęło gwałtowne szczekanie. Pies brząknął łańcuchem, rzucił się gdzieś dalej i ujadał, ujadał wściekle, aby wreszcie, mruknąwszy raz i drugi, przycichnąć.

Grabarz ocknął się.

— Gdzie Marysia? — zagadnął żonę.

— A czy ja wiem?

— Nie wiesz, gdzie się podziała?

— Nie mogę dziewczyny uwiązać. Nie zginie.

— No, tak, nie zginie... ale prawie co wieczór gdzieś smyknie. Żywa dziewucha, jak skra... Onegdaj plątał się po szosie ów buchalter. Coś kręci się koło niej. Takiej dziewczyny nie można dość mieć na oku.

— E! — rzuciła Weronika, wtaczając się do

pokoju. — Ma ona swój rozum... Niech się dziewucha poweseli, nim pójdzie za mąż. Potem to jeno pracuj, pracuj, jak wół, licz grosze.

— Blacharz Mroczkiewicz nie na żarty przystawia się do niej. A ma pieniądze w banku. Chce kupić kamienicę i otworzyć duży interes. To byłby zięć! Taki nie patrzy teściowi na kieszeń.

— To czemu nie przyjdzie i nie gada? Na wieczornicy, choć tańczył z nią i oczu sobie bez mała nie wypatrzył, jakoś mu z nią nie szło.

— Bo Marysia tylko patrzy za buchalterem, z nim gada, z nim się śmieje, z nim wywija najskładniej po salce.

— Ślicznie tańczy. A grzeczny!... — zauważyła kobieta.

Grabarz pomyślał chwilę, potem podniósł się żwawo, wcisnął zimową czapkę na siwizną przyprószone włosy, wziął kij i znikł z pokoju.

Domek stróżował u głównego wjazdu nad dość długą aleją jesionową, która żwirową wstęgą biegła na pagórek, gdzie krzyż Męki Pańskiej rozpinał ramiona, odrzynając się czarno na smutnem sklepieniu niebios.

Noc jesienna osłaniała cmentarną ziemię wilgocią nasiąkłym całunem.

Walenty wyszedł przed bramę, wysłał długie spojrzenie w błotnistą szosę podmiejską, nacentkowaną migotliwymi blaskami rzadkich latarni.

Nasłuchiwał moment, poczem zawrócił i puścił się aleją.

Zapłakane jesiony oplątały długimi cieniami znajomego sobie dobrze gościa, który i o tej porze niekiedy budził je ze snu zgrzytem żwiru. Jakby chciały powstrzymać, usidlić w warkocze śmiałka, który szedł w bezdeń cmentarnej, ołowianej ciszy, zakłócać odpoczynek nieboszczykom.

Księżyc wyjrzał i znikł pod ogromnem słańskiem obłoków spiętrzonych, wydętych, poszarpanych. Znużone biegiem chmury zwinęły żagle i usnęły, podobne do unieruchomionych, zakrzepłych fal morskich. Po ciemno-plamistych zwałach obłocznych przepływały łudne, sine pasma, a zbocza ich lamowały perłowa macica i cudne, niepokalane śniegi. Jedna tylko seledynowa polana wyzierała radośnie ze śnieżnej pościeli. Gwiazdka migotała na jej dnie, a księżyc, ukryty w puchy, sączył sine blaski na nią, na stoki obłoków, na świat, na groby.

Pomrok kamiennym ciężarem smutku przygniatał żałobną ziemię, a ów krzyż czarny, królujący z wyniosłości nad obozowiskiem grobów, nad drzewami, zdawał się szeptać: »Memento«...

Słowo to dreszczem lodowatym przenikało atmosferę, wpijało się w straszną ciszę.

Ale grabarz jest u siebie. Wśród grobów, jak ogrodnik wśród kwiatów, czuje się w swym świecie. Zna każdy nasyp, każdy szmat darniny, każdy kwiat, krzyż, nagrobek, każdą płytę i figurę, zdradzającą się srebrzystym połyskiem to z prawej, to z lewej strony alei. Idzie dużymi krokami, wspierając się na lasce.

Zboczywszy w prawo, zwalnia. Coraz to inne groby tarasują mu drogę. Grzęznąc między nimi w rozmiękłej ziemi, omija bluszcze, wianki bukszpanu lub nieśmiertelników, okalające zbocza, odgarnia pręty jesionów i gałęzie akacyi.

Grabarz Bączykowski nie boi się duchów, które błądzą nocą po jego cmentarzu. On je zna tak dobrze, jak groby i nieraz woli z nimi rozmawiać, niż z ludźmi.

Brnie dalej w zarośla.

— Śpią — mruczy pod wąsem, przystając i szukając oczyma znajomych cieni. — Śpią... Przywykli do ziemi, zżyli się z towarzyszami. Mnogo was tu dookoła! Każdy był z was inny, jeden szedł tą, drugi ową drogą, a każdy znalazł swą ścieżynę do Nieba... Bogu chwała na wysokości.

Grabarz wstępuje na cmentarz »ubogich«, szmat współzapadłych grobów, niby mrowisk, nędzną zielenią nakrytych.

Nie znać tu ręki ludzkiej, niema napisów, nazwisk, tytułów, herbów, niema »westchnień«, ni »próśb o modły«. Gdzieniegdzie tylko oset lub krzew kolczasty wystrzela przygodnie, kwiatek polny wplata się w trawy, krzyż przegniły słania się ku ziemi. Na uboczu akacya-samotnica sterczy, jak na odwachu.

Szary tłum bez nazwiska i tu zgromadził się razem; za życia wspólną dzielił dolę i po śmierci legł na jednej niwie. Lecz tu jaśniej, przestronniej, kupki ziemi więcej do siebie zbliżone, nie rozdzielone ni odstępami, ni sztachetami. Smugi jakieś, z oparów

poczęte, płyną nad cmentarzyskiem, niby szereg mar powłóczystych.

Z cichą modlitwą na ustach grabarz posuwa się na skraj cmentarza, obramowanego ciernistym żywopłotem, który w jednem miejscu tworzy ostry kąt, dzieląc święconą ziemię od nieświęconej.

Gdy, zapominając, po co tu przyszedł, grabarz staje, dolatuje jego uszu szelest i zmieszane szepty. Walenty wstępuje na jeden z grobów, spoziera ponad wałem krzewiny w cmentarz samobójców — nizinę zapadających się lub zapadłych nasypów, gdzie legła Franka wśród łoża innych tragedyi.

Dwie sylwetki: on i ona splatają się w czarną grupę, dyszą w długim uścisku, goreją w ogniu, odurzającym do bezprzytomności.

— Już muszę do domu. Puść mnie! — szept kobiecy wyrywa się z rozfalowanej piersi.

— Maryś! — odzywa się wyraźniej głos męski, a w jednem tem słowie drgają tony namiętne, błagalne. — Maryś, jeszcze całusa...

— Już muszę, Tadziu... Stary będzie mruczał... Dobranoc.

— Przyjdziesz jutro tam?

— Nie można.

— Musisz, nie wyżyję bez ciebie. Wtedy powiesz staremu. Zezwoli.

— Gdyby ojciec dał mi na założenie sklepu! Kiedy taki skąpy. Dosyć napracowałam się u Stągniewskich. I ja tak potrafię. Już muszę, Tadziu! Pewnie już późno. O! dla Boga! Dosyć, Tadzinku...

Walenty zamienia się w ucho, łowi szmery, lecz napróżno. Ciekawość podnieca gniew, który rośnie w nim i prze go do czynu.

— Maryś, złoto, przyjdziesz jutro...

Ona pocałunkiem zamyka mu usta, szepce: »Nie można«, pije słodycz, upaja się, lecz raz po raz wydziera.

— Słyszałeś!...— rzuca nagle w twarz kochanka.— Jakiś szelest!

Serce wali jej młotem w piersi.

— Gdyby nas kto zobaczył!

— To pewnie myszy...

Cień mężczyzny przesuwa się wzdłuż żywopłotu, skrada się do furty, łączącej oba cmentarze

Grabarz przyśpiesza kroku, miotany gniewem odmyka szybko zasuwkę, gdy nagle...

Co to?!... Boże!... Franka... Franka, jak żywa... taka czarna, zakapturzona... na grobie.

Jakieś »ach!« urwane, jak krzyk ptaka w odlocie, bije w pierś grabarza i zda się dyabelskim chichotem.

Franka! Po co? Czemu zapiera mu drogę?...

Śmiertelny przestrach wali się na głowę starego, trupia siność przegryza lica. Oczy stają w słup, wlepia błędny wzrok w piekielne zjawisko, maska, napiętnowana tragizmem, drga konwulsyjnie, a drgawki, jak mrowie, biegną po całem ciele, chwytają za gardło, zapierają oddech, uginają pod nim nogi.

Grabarz pada na kolana.

— Przebacz! Przebacz... — łka, dzwoniąc zębami.

Chce coś mówić, błagać, stopy jej całować, lecz tylko jęk bolesny rozdziera ciszę i kona powoli na trawach.

Klęczy, drżące ręce splata do modlitwy i skamieniałe oblicze wznosi ku córce.

— Ociec! Co tu ociec robi!

Marysia dźwiga go z ziemi, podtrzymuje, cuci potokiem słów, zdjęta obawą już teraz tylko o niego.

— Ady ociec! Co się ojcu stało?

Powoli przytomność poczyna świtać w zmąconej głowie.

— To ty! — ulatuje z jego oddechem.

Przygarbiony, jakby po pracy nad siły, postępuje ciężko obok córki z twarzą zmąconą, mroczną, i szepce jękliwie:

— Boże, mój Boże!...

– O! la Boga, jakem się wystraszyła! Myślałam, że...

— Cicho bądź, Maryś — przerywa ojciec. — Nic nie mów! Nie budź jej!... Już dobrze... chcesz, to weź sobie tego buchaltera. Nie bronię.

— O! Tatusiu!

Dziewczyna całuje go w ramię, oplata ramieniem czule, bo niepewna jeszcze, czy dobrze słyszy. A stary ciągnie:

— Jak chcesz... Każdy musi sam szukać swej drogi do nieba. Każdy sam, nikt za niego nic nie zrobi. I ty sama... Jak chcesz...

— Byle mi ojciec dał na otwarcie sklepu, jak Stągniewskich.

— Dobrze, jak chcesz. Dam ci, tak mi Panie Boże dopomóż... Szukaj swej drogi do nieba.

Bezwiednie dziewczyna przyśpiesza kroku. Coś ją gna naprzód, rozpiera, porywa. Jakaś fala radości życia gra w jej łonie tysiącem tonów. Chciałaby biedz do matki, do »niego«, do słońca, wołać na cały głos, śmiać się za miliony, wyrzucić nadmiar szczęścia.

Puszcza się jak sylf lekka i w powietrze wzbija się fanfara radosnego okrzyku. Z krwi młodej wyrwana leci jak król-orzeł dumna, bezwzględna, wyzywająca wszystkie moce, i płoszy cienie, mary. Aż jasno robi się dookoła.

I cmentarz korzy się przed akordem tryumfującego życia.

BŁAZEN.

Ha-lala-i-ti! — zapiał kogucim głosem błazen przy wyjściu z areny.

Potężny, przyprawny nos, fioletowej barwy, wystawał jak ogórek na mięsistej twarzy, biały, workowaty kostyum, nakrapiany czarnemi kulami, zawijał się i powiewał wokoło jego kształtów, a maleńki kapelusz w formie cylindra, na bakier zwieszony, tańcował za każdym ruchem nerwowo na gumce przy rudym czubie peruki. Ramiona, niby śmigi wiatraka, zakreślały w powietrzu koła, gdy składał pożegnalny ukłon, łamiąc się wpół, lecz potem raz jeszcze zbliżył się do swego lilipuciego, karego kucyka, który prawie nieustannie kiwał łebkiem, targnął go za ogon, uniósł w górę, kazał mu przyklęknąć, aż z powtórnem: »ha-lala-i-ti!« zanurzył bałwochwalczo koniec peruki w piasku i znikł z przed oczu widzów wśród gromkich oklasków.

Po krótkiej pauzie rozległ się dźwięk dzwonka i tęgi siwek, ubarwiony szkarłatną uzdą i płytą na grzbiecie, wypadł cwałem z poza kotary, a za nim

lekka, jak puch, piękność cyrkowa w baletowym stroju wzbijała się wysoko w susach wpośród grupy wygalowanych masztalerzy i hałaśliwych klownów z gazą powleczonemi obręczami.

Tymczasem w stajniach zapanowała cisza. Niekiedy tylko szelest tratowanej kopytami słomy, brzęk łańcucha lub parsknięcie konia przerywało senny spokój. W półświetle zrzadka rozsianych latarek, widniały niewyraźne najróżniejszej krwi konie. Nikły blask drgał na lśniących grzbietach gniadych i ciemno-kasztanowatych wierzchowców, posrebrzał mleczne grzywy dostojnych arabów i kładł się jasnemi plamami na silnych, słoniowych nogach gigantycznych perszeronów. Poza tą pstrą galeryą zaś drzemały w mniejszych ogrodzeniach osły, kozy i psy, w poczet czworonożnych artystów cyrkowych wchodzące.

Nagle zabrzmiał głos błazna: »Dzielny Fifi!« i promień życia wtargnął do mrocznej szopy z odgłosem stąpań i stukiem drobnych kopyt kucyka, który podreptał zwolna do swej przegrody, a wszedłszy, czekał, aż pan jego, zdjąwszy nos i minimalny cylinder, nie podrzuci mu wiązki siana. Jakby nie mogąc jej się doczekać, zaczął trącać go nozdrzami, trzeć swe uszy o jego nogę z pieszczotliwością kotka, spragnionego towarzystwa.

Gdy konik, powitawszy siano parsknięciem, zabrał się do zasłużonej wieczerzy, klown, podparłszy się pod boki, spoglądał długo z pewną dumą na maleńkie jak cacko stworzenie, zbudowane harmonijnie, co zaledwie sięgało powyżej jego kolan. I klepał go

po muskularnym karku, muskał aksamitne, krucze włosie, mrucząc pod nosem:

— Hę? smakuje ci? Grubas!... Krzywdy nie masz, co?...

Wreszcie usiadł na wiadrze, wywróconem dnem do góry, rozpiął biały strój pod szyją, rozsunął kryzę i czerwoną chustą przetarł oblicze. Z kieszeni, ukrytej gdzieś w fałdach, wynurzyła się manierka z wódką, łyknął raz i drugi i, wsparłszy się łokciem na kolanie, złożył na ręku swą głowę zgrabną, jakby wyrosłą z pnia, z karku o potężnych, niby postronki, mięśniach.

Tak siedząc, jakże odmiennie przedstawiał się od owego głupkowatego pajaca z areny! Przyprawny nos, dziwaczne, czarne linie, przekreślające policzki i czoło wokoło oczu, napiętnowały twarz jego bezczelnością wścibskiego idyoty, przejętego poczuciem swej godności, tymczasem teraz czarna, niedbale zmazana szminka, osadziwszy się na brwiach i pod oczyma, uwydatniała i podnosiła świetny, demoniczny połysk ciemnych źrenic, a oczy, jak czarne plamy z jarzącemi się w pośrodku gwiazdami, wynurzały się dobitnie z śnieżno-białego oblicza o pięknej karnacyi. Na rysach jego rozlała się ponura zaduma; pogrążył się w myślach, zapewne w czarnych myślach, zimny i surowy, kryjąc w sobie może łuczywo szalonej namiętności. Lecz cóż mogło zachmurzyć jego czoło? Sowita zapłata, obfita kuchnia i wódki dostatek wystarczały przecież, aby stworzyć dlań raj na ziemi, pominąwszy już oklaski, towarzyszące mu zawsze,

ufność w pięść atlety, poczucie swej doskonałości na arenie, oraz wybitnego stanowiska w gronie cyrkowców.

Myślenie u takich, jak on, jest prostą funkcyą organiczną! Skąd przeto ta zmiana?... Czy podobna, by poza zasłoną zwierzęcego istnienia kryły się odcienia jakichś śmielszych pragnień, nadziei i popędów, by na dnie tej cielesnej bryły dźwięczały struny duszy, chociaż w przybliżeniu tak potężnej, jak jego tors granitowy? Dość było patrzeć na niego, aby nie wątpić — bo cała elegia bólu i niemej skargi wyzierała z głębin jego oczu.

Więc błazeńska mimika, mimo wszystkie pozory szczerości, była zdawkową sztuką wytresowanego rutynisty i maską, zakrywającą czeluście, pełne wulkanicznych ogni? Może wmawiał w siebie, jak w widzów, że ta farsa jest istotnie zabawną? A śmiejąc się ku rozweseleniu tłumów, co śmiały się w odpowiedzi i... płaciły, chciał zagłuszyć na chwilę jęk smutnego serca? Może...

Wkrótce dał się słyszeć stuk butów i brzęk ostróg i na wybrukowanym chodniku stajni pojawiła się wysoka kobieta w oliwkowej, obcisłej amazonce, przy boku jaskrawo umundurowanego oficera jazdy belgijskiej. Gdy, rozmawiając żywo, przechodzili powoli obok ogrodzenia kucyka, amazonka rzuciła gniewliwe spojrzenie w stronę błazna, nieruchomego, jak statua, potem odwróciła głowę z dąsem na swej przystojnej twarzy. Wsparłszy ramię na ramieniu towa-

rzysza, spozierała w twarz jego i z rozchylonemi wargami słuchała jego konceptów.

— *Dieu! que c'est drôle!* — wołała, zanosząc się od śmiechu.

Żaden ruch jej nie uszedł uwagi błazna, oczy jego przeprowadziły ją wzdłuż stajni, a gdy znikła, zatopiły się w przestrzeni. Lecz wtem strzeliła z nich błyskawica wściekłości, pięść zacisnęła się konwulsyjnie, tors wyprężył i zdało się, że skoczy lamparcim susem, poczem jednak ton posępnej rezygnacyi legł znów na jego rysach.

Po upływie kilku minut wszakże »la belle Clotilde« powróciła — sama, ale błazen na jej widok ani drgnął, tylko zwiesił głowę jeszcze niżej, tak, że czerwona peruka sterczała na niej, niby grzebień koguci.

Klotylda zbliżyła się wprost do niego.

— *Jack!* — ozwała się wyniośle podniesionym głosem, uderzając szpicrutą po sukni. — Raz na zawsze zapowiedziałam ci, abyś nie wałęsał się przed memi oknami i nie wysiadywał tu, niby zbój. Dość mam tego szpiegowania! Kto ci tu kazał czyhać i wytrzeszczać oczy, ty głupcze? Dżek, moja cierpliwość ma granice, zapamiętaj to sobie!

Błazen nie poruszył się.

— Czy słyszysz? Zakazuję ci tych wybryków idyotycznych! Dość tego, rozumiesz?... Słuchaj-no, Dżek — zaczęła łagodniejszym tonem po chwili, trącając srebrną gałką szpicruty perukę pajaca. — Daj mi trzy luidory, proszę cię. Śpieszno mi. Nie każ się

błagać o taką drobnostkę, Dżek. Ach! — wybuchnęła wzburzona, zaciskając zęby. — Jak nie cierpię tych ceregieli! Dżek, słyszysz?!...

Milczenie było jego odpowiedzią.

— Czyś pijany, czy też nie dość pijany? Dawaj mi te pieniądze i basta! Czy zastawiłeś w lombardzie swój język, ty... ośle?... Dżek! — powtórzyła kilkakrotnie coraz głośniej, natarczywiej, z twarzą oblaną szkarłatem, a nie otrzymawszy ani słowa odpowiedzi, smagnęła go szpicrutą przez plecy i wrzasnęła w furyi: — Głupi błaźnie!... Mówię przecież do ciebie!

Błazen nie dał znaku życia.

»La belle Clotilde« stała przed nim w milczeniu, podtrzymując ogon sukni, z licem w ogniu, piersią falującą, tupiąc nogą w bezsilnym gniewie, który w końcu rozbił się o skałę nieczułości. Ponowiła atak.

— Dżek, Dżek! — szeptała, zniżając głos, że brzmiał niemal nutą pieszczoty. — Czemu przybierasz te nieznośne miny! Potrzebuję tych pieniędzy zaraz.

Nie podnosząc oczu, błazen wreszcie poruszył się, sięgnął po słomkę z końskiego posłania i, wsunąwszy ją pomiędzy zęby, mruknął zcicha:

— Dla niego?...

— Cóż cię to może obchodzić? Zresztą, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć — tak. Szczęście mu wczoraj nie sprzyjało. Gdy się odegra, zaprosi cię na wino.

Na to on potrząsnął głową przecząco.

— Więc wyobraź sobie, że to dla mnie te pieniądze. Proszę cię o nie. Zwrócę ci wszystko razem.

Za całą odpowiedź klown znowu poruszył peruką.

— Nie chcesz, abym ci oddawała? Tem lepiej. Ale, Dżek, nie zwlekaj tak długo! Boże, jakiś ty okropnie nudny!

Krew zaczęła grać w jej żyłach, ale się opanowała.

— Chciałbyś zjeść ze mną dzisiaj kolacyę? — spytała po namyśle.

Błazen wyjął z ust słomkę, złamał ją we dwoje powolnym, wymownym giestem i odrzucił, a ruch głowy mówił krótko: nie!

— Nie chcesz? — szepnęła zdumiona. Wypuściła z ręki suknię, przysiadła u stóp jego i, kładąc mu rękę na kolanie, ciągnęła:

— Zaprzestań tych grymasów, nie bądź taki głupi! Wiesz, że cię lubię. Pożycz mi pieniędzy, a po spektaklu...

Chciała ująć dłoń jego, gdy on nareszcie podniósł na nią oczy bardzo spokojne, zimne i wymowne i odsunął jej rękę stanowczym ruchem, z jakim łagodny brytan odpędza napastującego, warczącego psiaka, poczem, wydobywszy z kieszeni skórzany woreczek, wysypał jego zawartość na jej łono i wyrzekł głosem ochrypłym:

— Masz, idź!

— Po widowisku...

Byłaby ścisnęła jego rękę, gdyby szybko nie był jej cofnął.

— Idź, mówiłem: idź! — wykrztusił przez zęby, wzburzony, prawie bez głosu.

Zgarnąwszy pieniądze, »La belle Clotilde« podniosła się opieszale, trochę nachmurzona i, przeszedłszy stajnię, zatrzymała się u wyjścia, wołając:

— Dżek! Dżek!...

Napróżno czekała słowa lub spojrzenia. I ruszywszy pogardliwie ramionami, znikła.

A on popadł w zadumę, z której wyrwał go dopiero kucyk, gdy, wyciągnąwszy kark poprzez ogrodzenie, począł ciągnąć go zębami za rękaw.

— Fifi, chodźże do mnie!

Maleńki ogier chrapnął, potrząsł grzywą gwałtownie i zabrał się do podważania najwyższego drąga, zatkniętego po obu stronach w drewniane słupki. Trącał go nozdrzami dopóty, dopóki drąg nie spadł na słomę, poczem, zamiast skoczyć, przelazł zwolna, noga za nogą, przez niższe szczeble, jak to zwykł był czynić na arenie ku niemałej uciesze galeryi. Wsunąwszy się niezwłocznie pomiędzy kolana swego pana, oparł swój czarny łebek na jego ramieniu i tak stał z przymrużonemi ślepiami.

Dziwny, prawie patetyczny wyraz zagościł na ponurem obliczu klowna, w oczach jego zakręciły się łzy radości, jaka rozczula młodą matkę, gdy jej niemowlę po raz pierwszy wyciąga ku niej rączęta.

— Fifi, mój Fifi! — szeptał błazen z twarzą do karku konika przytuloną. — Mój mały, kochany, jedyny...

Głos mu się urwał i zaczął okrywać ciepłe jego nozdrza gorącymi pocałunkami. A nieruchomy Fifi strzygł uszkami ciekawie i wachlował zwolna długim, pięknym ogonem.

Na arenie tymczasem »La belle équestrienne« odbierała zasłużone oklaski za swą jazdę *à la haute école*, dzieląc je ze swym gniadym trakeńskim wierzchowcem — zawsze pewna sympatycznego przyjęcia ze strony poruczników kawaleryi, którzy, jakby pełniąc służbę, stali wzdłuż wjazdu, gdzie zielonkowate i amarantowe ich mundury wplatały się w dwa szeregi granatowo przyodzianych groomów i stajennych. Pomiędzy nimi dominowała postać rotmistrza Réné z monoklem w oku i zwykłym uśmiechem wewnętrznego zadowolenia na chudem, kościstem obliczu.

Bystry, niepospolity znawca koni, zajmował się rzeczywiście czy pozornie każdym nowym wierzchowcem i biegunem, każdą cyrkową nowością. Lubo prawie bez majątku, należał do grona oficerów, najwystawniej żyjących. Nikt też nie ugaszczał tak sutemi kolacyjkami, nikt nie obdarzał woltyżerek i baletniczek tak chętnie bukietami i koszami wina. Z pełnej szkatuły każdy czerpać potrafi, ale z pustego bodaj jedynie alchemik, jak Réné, naleje szampana. Jakoż wszędzie było go pełno, wszyscy przepadali za niezrównanym, nieprzebranym w konceptach koleżką. I Klotylda, wyjeżdżając z areny i kłaniając się z gra-

cyą, wyróżniła go i za salwę oklasków obdarzyła spojrzeniem łaskawem i poufałem.

Program zapowiadał z kolei »nieśmiertelne (!) *salto mortale* przez osiem koni«, i otóż znowu Dżek wtoczył się zawadyacko z białą, stożkowatą czapką na peruce, ze stereotypowym uśmiechem błazna, wrzeszcząc i piejąc w niebogłosy.

Przez kilka minut ustawiał trzy konie, jednego przy drugim, z komiczną gestykulacyą, to garść piasku ciskając na czupryny masztalerzy, to inne płatając im figle, to popisując się z najprzeróżniejszemi akrobatycznemi sztukami, aż drepcząc i przedrzeźniając skromną, bojaźliwą panienkę, zbliżył się do elastycznej odbitki. Cofnął się, wyprężył, w ogromnym skoku runął na jej skraj, wzbił się, jak piłka, w kłębek zwinięty, zakreślił w powietrzu jeden i drugi koziołek i... stanął na ziemi uśmiechnięty.

Raz po raz więcej sprowadzano koni, aż dzięki niestrudzonym mięśniom, akrobata przekoziołkował nad kłębami ośmiu. Ale i teraz zapał jego nie ostygł.

Krzyknął po dwa konie jeszcze, niezależnie od programu.

Zagrzmiały brawa, ale pomiędzy stajennymi, zaskoczonymi tym rozkazem, wywiązała się narada; nie było bowiem więcej na ten cel wytresowanych koni. Ostatecznie wszakże Dżek postawił na swojem; wyciągając w górę dwa palce, wrzeszczał:

— Dwa, jeszcze dwa, wy gapie! Nie dwa osły, jak wy! Dwa konie!

Aby wypełnić nieuniknioną zwłokę, błazen stoczył się z odbitki, stanął na głowie, wierzgając nogami, a potem przebiegł pod brzuchami spokojnych szkap na drugą stronę cyrku. I z rzekomym wysiłkiem zaczął windować się po ogonie na pierwszego z rzędu konia, a wygramoliwszy się na kłąb jego, przybrał najdzielniejszą minę tryumfatora — z farsy.

Teraz rozpoczęły się sztuki z czapką, którą podrzucał wyżej i wyżej, tak, iż spadała to na głowę, to na plecy, to na stopę.

Podrzucił ją znów — niezgrabnie skoczywszy na arenę, podniósł i muskał ją dłonią, śmiejąc się sam do siebie i zerkając wokoło, aż niespodzianie, z błyskawiczną szybkością cisnął ją hen, daleko, w powietrze.

Czapka zakreśliła duży krąg i wypadkiem — albo może nie wypadkiem — uderzyła w twarz ulubionego oficera.

Wielki śmiech błazna zabrzmiał w cyrku.

— Błazeńska gęba! cha, cha!...

Na to nadbiegli masztalarze, wiodąc dwa konie, które wszakże, nieprzywykłe stać w zbitym szeregu, za dotknięciem innych prychały i wierzgały... Wpierw jeden, potem drugi przestępował niespokojnie, aż wszystkie dziesięć zaczęły poruszać się nerwowo.

Dźwięki kapeli ucichły, angielski groom napominał jeszcze konie: *steady*, *steady*, *now!* — i raz jeszcze, jak z procy, strzeliła w górę biała postać

pajaca, lecz — runęła na kłąb ostatniego z koni; Dżek stoczył się, zarył twarzą w piasek areny...

Dziki okrzyk, zgiełk, zamieszanie, panika pomiędzy widzami, popłoch między stajennymi i końmi, a ot tam, na piasku, leżała niekształtna, nieruchoma bryła: garść białych płócien, wymalowana, wykrzywiona maska — nieżywy błazen.

GWÓŹDŹ.

I.

Gwóźdź!!

Złota błyskawica padła w pieczarę mózgu, rozdarła głębokie mroki duszy, w siny jęk zakutej, i ogromna radość szarpnęła stalowem ciałem dwudziestodwuletniego skazańca, gdy — wracając z dziedzińca więziennego pod krogulczem okiem dozorcy, dzwoniącego nieustannie pękiem kluczów — spostrzegł w załamaniu schodów rzecz nieprawdopodobną: gwóźdź.

Cud stał się jakiś... Snadź archanieli niebiescy ulitowali się nad »niewinnym«, porzucili na jego drodze ów gwóźdź, skierowali wzrok jego na ten przedmiot nikły, a cenniejszy nad wszystkie skarby i korony świata.

— Chryste Panie, gwóźdź!...

Szept zachwytu drgał na posiniałych wargach pod obuchem rozprzęgającego wszystko odkrycia i, niby prąd elektryczny, przeszyła go świadomość ja-

kiejś przeogromnej wartości tej małej, żelaznej sztabki, co boskiem losu zrządzeniem zajaśniała niespodzianie gwiazdą szczęścia.

Zerwał się piorunem do zrozumienia. Odwrócił się — spojrzał.

Ujrzał plecy dozorcy, spozierającego wstecz, szukającego oczyma przyczyny szmerów w głębi pustego dziedzińca.

Zgiął się w okamgnieniu, porwał gwóźdź i, przyśpieszając kroku, wsunął go drżącą febrycznie ręką za pazuchę — za zgrzebną, niebieskawą koszulę, wtulił pod pachę i — odsapnął, zmęczony.

Szum huczał mu w głowie, wichura jakaś, niby stokonna czarownic kawalkada, niosła przez umysł rozedrgany chichoty pijackie, grzmoty, wiwaty. Taka dzika, rozuzdana radość grała w nim fanfarę tryumfu, kipiała fermentami tajfunu. Z dna rozpaczy wzniósł się raptem błyskawicą na krawędź niepoznanych światów radości. Jakby zautomatyzowany, szedł po długich, głuchych krużgankach pruskiego więzienia, stanął przed swą celą w pozycyi służbistego żołnierza, przekroczył jej próg, głuchy na brzęki kluczów, na łoskot zapadających drzwi opancerzonych.

Osunął się na stołek. Błyski płynęły smugami po rysach bladego, nerwowego oblicza o wydatnej szczęce, i uszczęśliwienie promieniowało z niebieskich źrenic. A przez skarbowaną, mglistą szybę zakratowanego okna spadało z pod pułapu sine, sklepowe światło na płową głowę i włóczyło się po kątach wązkiej a wysokiej klatki, niby po głazach sarkofagu, pełnego ga-

dów plugawych i jadem zatruwającej zgnilizny. Włóczyło się mdłe, jesienne, niby bezszmerne widmo, zrodzone z mąk piekielnych, jakie przeżyły storturowane dusze w tych murach, stokrotnie przeklętych.

Hi! hi! Głupi dozorca! Nie spostrzegł!... Ha! ha! Nikt z ludzi nie przypuszczał, że najwyższem na ziemi dobrem jest oto ten gwóźdź, który czuł na ciele swem, jakby luby talizman szczęścia, który wyzłacał zczerniałą duszę mordercy słońcem najcudniejszej nadziei...

Z rozprzęgających się wirów szalonego rozradowania wyśliznęło się zagadnienie: gdzie ukryć ów skarb, ukochany odrazu z kurczową namiętnością wszystkiemi włóknami serca. I skamieniał w cichem, mocnem zastanowieniu.

Gdzie wetknąć gwóźdź? W łóżko?... Jak zwykle za dnia, wisiało ono na hakach plackiem do ściany śnieżnej przymurowane. Niepodobna pokusić się o wtłoczenie ręki w zbitą warstwę posłania, o ukrycie gwoździa w sienniku lub w poduszce, gdyż każdej chwili dozorca gotów zajrzeć cichuteńko do jego celi przez »oko Judaszowe«, krągłą wklęsłością znaczące się na ciemnej płycie drzwi. Zresztą łóżko to rzecz największe w więzieniu budząca podejrzenie. Wreszcie, mogli przenieść go do innej celi i inne wyznaczyć posłanie.

Wzrok skazańca pełzał w krzepkiem skupieniu po wywoskowanych deskach podłogi. I w nią nie mógł z tej samej przyczyny wbić gwoździa, a pod

pachą nosić go nie chciał z obawy, by dozorca, szczególnie skazanego na śmierć mający na oku, nie kazał mu nagle rozebrać się, nie począł przeglądać workowatego, płóciennego odzienia. Taki dozorca pruski to wprawdzie nie szczwany lis, ale w podejrzliwości wytresowana bestya.

Nagle Jan Rzęda podniósł się, zbliżył, jak złodziej, na palcach do drzwi i nadsłuchiwał. Następnie otworzył szafkę, wiszącą na ścianie, uchylił jej drzwiczki tak, iż nikt dostrzedzby nie mógł, co robi. Z zapartym tchem sięgnął szybko po dużą kromkę chleba razowego i utopił w niej gwóźdź cały. Poczem zamknął szafkę — z uśmiechem.

Gdyby mieli przesiedlić go do innej klatki, nie zabronią mu przecież zabierać z sobą chleba...

Ale co dalej?... Pytanie to oplotło go obręczą, wciskało się do niego wszystkimi porami i wnet zawładnęło nim całkowicie. Siedząc przy stoliku, do muru przykutym, nad dużem pudłem pierza, do darcia przeznaczonego, zapadł się na dno zadumy wytężonej, wpił myślami w cel swój, przyświecający cudnie w piekielnej nocy.

Jak gwóźdź ten ma stać się narzędziem, wiodącem do zbawienia — nie miał zrazu jasnego wyobrażenia i nastąpił w nim powolny opad radości. Jednakże, bez chwili zwątpienia, bez jęku rozpaczy trzymał się swej deski ratunkowej. Rozprężyły się w nim wszystkie moce, stężały w żelazo, granitowa odwaga stawiła czoło niebosiężnym zaporom i skrystalizował się cały w brylant woli, światu urągającej...

Odtąd brylant ten lśnił życiodajnym blaskiem nadziei... Gwóźdź ten musi stać się i stanie kluczem, otwierającym mu drogę do wolności, do życia...

II.

Szelest... Kroki...

Krew ścina się mrozem w żyłach skazańca, okropny strach przelatuje po kościach, piętnuje lica skurczem upiorowej maski.

Może to nadchodzi inspektor i z nim biegnie straszna wiadomość... Może to kapelan więzienny, jako pierwszy zwiastun nieszczęścia, aby pozostać z mordercą noc ostatnią, przygotować go na śmierć i o świcie poprowadzić pod miecz katowski...

Teraz, gdy posiadł drogocenny gwóźdź!...

Lecz nie! Kroki oddalają się, milkną. Nie! Jeszcze nie!.. Skazany dziesięć dni temu Jan podpisał prośbę do cesarza o ułaskawienie — przeważnie dlatego, by tym sposobem uzyskać zwłokę, wydrzeć losowi jeszcze chociaż kilkanaście dni bytowania na ziemi. Niemniej tliła się w nim iskierka słomianej nadziei i tulił ją do serca miłośnie, aczkolwiek wiedziało całe więzienie, że cesarz Wilhelm nie zna litości, nie daje pardonu. Wbrew wszystkiemu bowiem w zdrowym, silnym organizmie płonęła żywiołowa, od życia nieodłączna nadzieja, podnosiła się niby wysłonecznione opary bujnych łąk i żył żebraczym jej odblaskiem — wierząc, jeśli już nie w serce cezara, to w — cud, który musiał stać się koniecznie. Musiał — nic przecież nie

zdoła chyba uśmiercić oceanu życia, co tętniało w nim niepożyte, wulkaniczne. Musiał — bo on chciał...

Czas posuwał się żółwio, niby ślepy, zdychający koń po roztopach, objuczony ciężarem skończonej obojętności na wszystko, a Jan dnia tego nie mógł doczekać się nocy. Wzdychał do niej, jakby obiecywała mu schadzkę miłosną.

Nieznacznie szarota, panująca zawsze w celi, pogłębiała się w tonie, mrok skradał się i bratał z ciszą grobową, wnosząc do duszy mordercy balsam chwilowego ukojenia.

Uciszyły się zmienne fale uczuć, zastygły i z obwisłemi ramionami, z przymrużonemi powiekami spoczywał na twardym stołku — wybladły od przejść, zawiędły w bezsłonecznej atmosferze. Owisł na ścianę, jak konar złamany, zagasł i wydał się podobnym do niewielkiej, niedbale porzuconej figury woskowej, w groteskowe odzianej worki, do pajaca, co wygrał swą rolę.

Ukąsiło go nagle przypomnienie... Spłoszyło pokój i obraz mordu, streszczony i tragiczny, przesunął się, niby wstęga krwawa, przed oczyma duszy.

Było to jakieś niepojęte, wściekłe szaleństwo... Wcielony do batalionu muszkieterów w miasteczku wielkopolskiem, sypiał w koszarach obok Niemca, niejakiego Gerlacha, z którym co niedziela zwykł był chodzić do podmiejskiej gospody i zabawiać się wesoło.

Czemu w ów zgniły, podły wieczór późnej jesieni powzięli oni taką niechęć do majętnego gospodarza z pobliża, który, odnosząc się do żołnierzy niechętnie,

szukał z nimi sprzeczki — tego dokumentnie wymiarkować nie mógł, albowiem na dnie swej istoty nie znajdował doń najmniejszej urazy. Do nikogo z ludzi nie żywił wówczas gniewu. Dość, że podpili sobie »zdrowo«, ognie gorzały w jego żyłach i, gdy, wyszedłszy z knajpy, Gerlach szepnął mu na ucho: »sprzątniemy tego łotra, ma moc pieniędzy«... — czuł, iż byłaby to istotnie nadzwyczajna zabawa: ukryć się w zarośla, niby na forpoczcie, przyczaić, napaść na nieprzyjaciela, pokonać go w zapasach, obrabować, jak to bywa na pobojowisku, i — hulaj dusza! Coś niby ćwiczenie polne! Jeno bez karabinu, ale z żywym człowiekiem, jako przedmiotem obławy...

Uznał, że Gerlach świętą miał słuszność, stając w obronie stanu żołnierskiego. Rozbudził w nim »honorność« i poczucie krzywdy moralnej skłębiło się z żądzą hulanki i jakąś dziką namiętnością bez nazwy.

Psia krew, była to nielada zabawa! Zapał morowy rozpierał go, buńczuczność hajdamacka unosiła, fantazya rycerska grała w nim, kiejby na wojaczce. Ktoby się był doń zbliżył — to w mordę, ażby juchą się zalał. A Gerlach bąknął: »tyś chwat — tyś Polak«. Może nie chwat? Może nie Polak, ha! ha!...

Więc jak wypadli z krzewów, to jakby dwa lamparty. Uprzątnęli się z gospodarzem w mig. Raz, dwa, trzy — i po wszystkiem. Dziad w czubie miał porządnie i nogi ciężkie. Ani zipnął. Zawlekli go na pole, porzucili na miedzy w zaroślach, ale w kieszeniach znaleźli tylko dwie marki!

Przed sądem Gerlach szwargotał bez miary, na

wyścigi z adwokatem. Spędzał coś na Jana, zabijakiem zwał go niepomiernym. Za Janem gardłował rzecznik, co sam chciał. A on... cóż miał powiedzieć?...

Dyabli wiedzą, czemu się to tak stało?... Nikogo przedtem nie zabił, nie przeczuwał nawet, że może w tem być jakowa przyjemność. Zabił gospodarza — trudno przeczyć, ale nie chciał... Nie, niby to chciał, ale jednak, tak po prawdzie, to nie...

Żal mu trochę było chłopa, bo nic złego nie zrobił. Stawiał się, jak to czasem przy kieliszku, ale nie tak znowu, by krwią ręce mazać — dla głupich dwóch marek. A chociażby dla tysięcy, to interes paskudny. To też jedno mógł powiedzieć i na krzyż poprzysiądz, jako w katolickiej wierze chowany przykładnie, że był niewinnym...

Stało się to, jakby w niego czart wstąpił, złości okrutnistej nalał do serca cały półkwaterek i popchnął go na bezdroża... Niech kto mówi, co chce, był niewinnym.

Co tam było zresztą sędziom długo prawić? I tak wiedzieli z góry, co z nimi zrobić — mordercami. Skazali ich pokrótce i poszli sobie.

Dopiero wtedy żal pogłębił się w jego sercu — nie tyle, że mordował, ile tego, że w pośpiechu śladów krwi nie zatarli i dali się ująć, jak do cna głupie basałyki. Ale niczem była żałość wobec strachu przed śmiercią, której widmo ujrzał teraz przed sobą, nieprawdopodobne a okrutne, której dłoń trupią czuł na ciemieniu... Uciec przed tem widmem! Ach, uciec!...

Dzwon uderzył raz i drugi, rozniósł po murach fale ponurych dźwięków, noc więzienną obwieszczając.

Na korytarzu powstał zaraz gwałtowny brzęk, hałas, rozhowor. Posługacze biegali, dozorcy zamykali cele na klucz, tu i owdzie zapadały drzwi z głuchym łoskotem, który niebawem odleciał, pierzchał przed ciszą cmentarną.

Noc. To znaczy siódma. Jasno było jeszcze w celi. Jan spoczywał pod niebieskawem pokryciem bez ruchu i czuwał, śledząc półokiem mdlejące, ostatnie blaski.

Wreszcie czerń zalała jego trumnę. Uniósł głowę bez szelestu i wytężył słuch.

Tłumione kroki nocnego dozorcy zbliżały się do drzwi. Latarka bryznęła światłem w głąb jego celi i zasunęło się okienko. Dosłyszał leciuteńki brzęk klapki blaszanej. Zaparł oddech i znowu zamienił się w ucho.

Jak cień cichy powstał z posłania, zbliżył się do szafki, wydobył kromkę chleba, a z niej swój klejnot — gwóźdź. Nakrył łóżko derką bufiasto tak, iż zdawać się mogło, że ktoś w niem śpi, poczem wlazł pod nie, skulony.

Jakieś myszy poczęły nocne swe roboty, gryzły coś ukradkiem. Ustawały na chwilę i znowu podejmowały ciche zgrzytanie, aż wreszcie — późno już było — trzask lekki zadrgał w ciszy i — wszystko zagłuchło.

Serce zadygotało Janowi młotem. Niby mara, z głębin tajemniczych wynurzył się i szybko wlazł

w łóżko. Nadsłuchiwał długo, nim począł rozpruwać gwoździem siennik.

Wsypał w niego dwie garście próchna, z pod deski wygrzebanego.

Po raz wtóry światło latarki, niby prąd lilipuciego reflektora latarni morskiej, spatrolowało celę mordercy i znów Jan wsunął się pod łóżko. A skoro świt zajrzał do celi, kulkami chleba pozalepiał skrupulatnie szpary i dziurki, jakie pootwierały się w miejscu wyjętych gwoździ. Miał ich sześć! A każdy z nich był umiłowanym skarbem.

III.

Akacya, stojąca za murem, dziedziniec więzienny oskrzydlającym, przystroiła się w zielone, śliczne zawiązki liści.

I to było dla więźniów jedynem objawieniem wiosny — tej wiochny cudotwórczej, co wyłoniła się na świat w roztoczy uśmiechów złotych, rozlała kwietne wonie nieuchwytnych szczęśliwości, zapominając jeno o cmentarnym labiryncie więziennym. Stroniła od nieszczęścia, uciekała od wyrzutków społeczeństwa, jęczących pod tyrańską władzą Czasu.

Zielone pączki nie wabiły zagasłych oczu owych figur szpetnych, często pokracznych, kretyńskich, które codziennie popołudniu przechadzały się ze splecionemi w tyle rękoma, składając się na dziwny korowód, symetrycznie rozprzężony, a spleciony niewidzialnym łańcuchem — wspólnej niedoli i milczenia.

Jedynie Jan, zamiatając nogami deptak, unosił nieraz głowę, spoczywał oczyma na uśmiechniętej obiecująco akacyi, na symbolu życia, biegł za gołębiami, fruwającymi swobodnie, i — zgrzytał zębami, jakby chciał przegryźć kajdany żelaznej przemocy, przykuwające go do rydwanu śmierci. I prężyło się w nim poznane już raz pragnienie mordowania — mordowania tych ospałych, zatyłych dozorców, co z pałaszykami przy bokach, z rewolwerami na piersiach czuwali nad zbiorowiskiem, kręcącem się w bezmyślnym karuzelu — gotowi za lada ruchem podejrzanym nacisnąć dzwonek elektryczny w murze, zaalarmować ludzi i strzelać. Żyły występowały mu na czole, jak postronki, krew biła w skroniach, twarz nabierała wyrazistości marmurowej maski. Z niewysłowioną, dziką radością byłby mordował tych bałwanów i wył, wył — z rozkoszy.

Towarzysz jego, Gerlach — powiesił się w celi, utonął w wirach mąk i strachów śmiertelnych, on zaś zatryumfował nad nimi, napiął wszystkie swe moce w cudownej miłości życia i przygotował się do karkołomnego skoku — w wolność.

Jeszcze czekał... Od czasu samobójstwa Gerlacha obostrzono nad nim dozór. Wprawdzie zachowywał się tak beznagannie, minę przybierał wobec dozorców tak pogodną, że nie założono mu na ręce kajdanków. Nadto udawał, że nie wie o końcu Gerlacha, nie obawiano się przeto, by przykład podziałał zaraźliwie. Jednakże w ciągu dnia zaglądał ktoś do celi co

chwila, a nocą dozorca raz po raz wchodził i spozierał na śpiącego.

Lecz ta okoliczność, właśnie pozornie niefortunna, była dla jego planów korzystną. Dzięki temu bowiem wiedział, jaki dozorca sprawuje nocną służbę i mógł przewidzieć, gdzie mniej więcej znajdować się będzie w trzypiętrowym gmachu w dwie, trzy minuty po wyjściu z jego celi.

Raz w ciemnościach nocy zawrzał w nim znowu głód krwi, strzeliła mu myśl do głowy, by zamordować dozorcę, porwać pęk kluczów i z ich pomocą wydostać się na wolność. Myśl wspaniała, ale — głupia, gdyż za najlżejszym łoskotem nadbiegłby drugi dozorca, chodzący w innej części gmachu, rozbudził dzwonkiem odźwiernego, uśmiercił go pałaszem lub kluczami, z którymi w żadnym razie więzień nie byłby dał sobie rady tak szybko, jak należało.

Nie! W głębinach samotności, w podziemiach opuszczenia, w szponach strachu rozrosła się prostacza jego dusza i nietylko odnalazł w sobie granity mocy i na nich oparł się, jak na opoce, lecz wysubtelnił się nerwowo i obmyślił plan ucieczki z wyrafinowaną przebiegłością lisa, co, otoczony zajadłą sforą, przystaje i myśli, jak wymknąć się z zaklętego koła.

Czekał nocy, w której cela parterowa, pod jego komórką położona, będzie opróżnioną. Musiało to zaś nastąpić lada dzień, gdyż zamykano w niej albo świeżych przybyszów na kilka godzin tylko, by przygotować dla nich inną, na dobre wyznaczoną celę, albo

też więźniów, mających jedynie kilkodniową karę do odsiedzenia.

A, wracając z przechadzki po dziedzińcu, mijał tę celę i wówczas mógł zauważyć, czy dozorca wpuszcza do niej jaką z poprzedzających go figur.

Czekał i przechodził tortury oczekiwania.

Ot, wszystko ma »w porządku«, a lada dzień spaść może, jak młot na głowę, odmowna odpowiedź z cesarskiego gabinetu, poczem zakują go w kajdanki, nie wypuszczą więcej na światło dzienne i postawią u drzwi jego nieustanną straż. I ogolą mu kark i przyodzieją w śmiertelną koszulę i skrępują mu ręce i — cisną go... pod miecz...

Ach, zimno! Mróz okropny ślizgał lubieżną dłonią okrutnika po ciemieniu mordercy, spływał po krzyżu pacierzowym. Noc spadała przed oczy, noc, co kończy wszystko...

Nieba! Nareszcie w drugą sobotę kwietniową cela dolna opustoszała...

Zdało się, jakby milczenie ust jego wyolbrzymiało, zlodowaciało na wieki, jakby dusza jego zapadła się w najskrytsze szczeliny jego istoty, przylgnęła tam, jak gad, by nikt nie podejrzywał jej istnienia, ani — myśli palącej się w tej duszy brylantowo.

I stał się filarem mocy tytanicznej, wyrastającym zuchwale, dumnie ponad więzienie, ponad świat i jego porządek i chichotała w nim pijacko zgraja czarownic rozpasana, aż trzęsły się boki... Ha!... ha!... Ha!... ha!...

Skoro uderzył dzwon wieczorny, Jan niezwłocznie legł na sienniku, próchnem wyładowanym, i spoczywał

bez ruchu, acz żył w nim każdy nerw, każdy atom i drgał potężną żądzą życia.

Zgrzytnął klucz we drzwiach. Ukazała się w progu postać siwego dozorcy z samokontrolującym zegarem pod szyją i latarką na piersi. Wężowy strumień światła wtargnął w nurty ciemnicy. Stary urzędniczyna patrzał i słuchał — poważny, cichy, widmowy.

Po chwili drzwi zasunęły się i odgłos kroków zamarł. Wśród ciszy królewskiej Jan uniósł głowę, dźwignął się na posłaniu i złodziejską ręką wydobył z wnętrza poduszki gwoździe. Związał je, umotał ich głowy szmatką, oddartą z chustki, na szyję przeznaczonej. A swój pierwszy, najsilniejszy i najukochańszy gwóźdź pieścił w garści, jakby od niego wstępowały weń prądem magnetycznym ufność i siła i wygładzały duszę falą balsamiczną.

Zegar na poblizkim zborze wybił jedenastą. Bolesna niecierpliwość ukąsiła więźnia i poczęła toczyć, jak stonóg. Przygryzł wargę do krwi, by nie jęczeć, nie skowyczeć, nie szlochać.

— Jeszcze nie!! — wołał głos ostrzegawczy i szeptał: — Jeszcze ludzie na ulicach... Nie zaniedbuj niczego, czekaj do północy!... Dopiero gdy młotek pocznie bić dwanaście razy... Kto wie, może zegar będzie ci pomocą, przykuje uwagę starego dozorcy i przygłuszy trochę »wszystko«...

Czekał, raz wraz zapierając oddech i wysyłając słuch w stronę zegara. Niepokój i niecierpliwość dygotały w nim, niby wahadło, i na chwilę rozprzęgły się metalowe, napięte struny, objęła go słabość nie-

mowlęca. Stoczył się w wody rozłkanej pokory, tarzał w myślach u nóg oprawców, żebrał we łzach litości, przysięgał coś bełkotem opętańca. Strumień dobroci przelewał się przez starganą duszę, a w nim syczały węże szatańskiej nienawiści. Błagał i groził...

Wtem zegar zadźwięczał: raz, dwa... i uśmiech jakiś czy wonny podmuch nadziei zwiał z duszy minorowe i morbidne akordy.

Czas posuwał się naprzód... Za godzinę będzie on stąd daleko. Pobiegnie pustą uliczką na przedmieście, zapuka do kolegi i przyjaciela, golibrody, który z pewnością udzieli mu odzieży i da kilka złotych. Na jego rowerze podąży do jednej z zamiejskich stacyi i tam przydybie pociąg berliński...

Prędzej! Prędzej!... Dzwoniąc zębami, modlił się do tyrana więźniów, do żółwiego Czasu, jęcząc: pędź! pędź!...

— Raz, dwa... trzy — odrzekł zegar, uderzył w piersi Jana, który zatrząsł się, stężał konwulsyjnie i wezbrał przeogromnem oczekiwaniem.

Brzęk kluczów doleciał z poza drzwi, światełko zamigotało płochliwie i znikło. Kroki oddalały się leniwie.

Spokój marmurowy wstąpił w Jana. Wszystkie moce jego zestrzeliły się w jeden spazm energii, w jedną iskrę zapalną, wołającą do czynu.

W mgnieniu oka zeskoczył z posłania i wrzucił na siebie wierzchnie odzienie. Zdarł prześcieradło, przywiązał je jak najsilniej do żelaznej nogi łóżka, węzełek z gwoździami trzymając w zębach. Wsunął

pod koszulę swój gwóźdź zbawczy, przeznaczony do obrony i na »każdy wypadek«, potem wyjął deskę z podłogi, zarył się głową w otwór wygrzebany i z wściekłym pośpiechem począł walić pękiem ostrzy w mur parterowego pułapu.

— Raz, dwa, trzy... cztery — jęczał zegar przeciągle.

Szeleściał tynk opadający, sypały się szczątki cegieł, aż nagle...

Huk zahuczał, zadudnił, rozleciał się basowym, złowrogim tonem po całym gmachu więziennym. Jakby kto cisnął ogromną balę bawełny.

Co? Gdzie??...

Alarm, przestrach, oszołomienie.

Stary dozorca stanął, jakby wryty i błyskawicą oślepiony. Zerwał się do biegu, goniąc...

— Gdzie? Gdzie?! — wrzeszczał w duszy bezradnie, nie mogąc odgadnąć, skąd rozległ się huk. Był wszędzie i nigdzie.

Jakby w obłędzie, przebiegł korytarz i skoczył na dół, po kamiennych schodach, łopotaniem butów przygłuszając brzęk szyb, lecz w krużganku zastał pustkę i ciszę. Stanął w nim ogłupiały i... znów pobiegł na piętro...

A tymczasem Jan wdrapał się już, jak kot, na okno dolnej celi i przysiadł na grubej, blaszanej ramie roztrzaskanej górnej szyby, otwierającej się na wewnątrz, niby klapa. Przysiadł, wtłoczył się między okno a kraty, nie bacząc na krew, sączącą się obficie

z czoła i ściekającą wzdłuż twarzy rozognionej, strasznej.

Wyrwał z ust zadyszanych węzełek i złączonėmi ostrzami gwoździ począł z nazewnątrz rąbać w cegłę tam, gdzie osadzona była poprzeczna sztaba. Walił w mur z dzikim pośpiechem, z furyą szatanów, zapamiętywał się. Nie wydrze krat, nie wypruje z głębi muru, lecz obluzuje tak, iż dadzą się odeprzeć i otworzy się przestrzeń, przez którą prześlizgnie się, jak wąż. Musi, musi...

W rozwydrzonem zniecierpliwieniu pochwycił sztabę w dłonie i, nogą zapierając się o drugi jej koniec, zatrząsł nią, zaszamotał z zenitowym wysiłkiem wszystkich mięśni. Ból rąk przemieniał się w piekielną jakąś podnietę; doznawał w nim coś z rozkoszy burzycielskiej, jaką poznał wówczas tam, w tę noc jesienną...

Pot lał się z pod czupryny, mieszając się z krwią. W szalonym wysiłku lodowaciał cały i znowu przeobrażał się w ogień, w stal nieubłaganą. I tak mocny, jak tytan, mocował się z żelazem, z przemocą, ze śmiercią.

Piekło! Czyżby nikczemny kruszec silniejszym miał być od jego imperatorskiej woli?

Raz jeszcze oszalały furyat zwalił się naporem żywiołu na zimną sztabę żelaza, wyzywając w niej do walki świat, co ferował mordercze wyroki — do walki na śmierć i życie.

Zaharczało mu coś w piersiach, jęk niby przedzgonny wydobył się z nich żałośnie, lecz bryłki

rozłupanej cegły poczęły spadać po murze z szelestem...

Zadrgało mu w dłoniach rusztowanie krat.

Zwycięstwo!

Spadł na dziedziniec. Pod bosemi, zbolałemi stopami miał miły chłód brukowych kamieni.

Sekunda. Odetchnął raz pełną piersią i nowy prąd mocy rozpromienił jego członki.

Zgubił gdzieś pęk gwoździ! Mniejsza! Zrobiły swoje. A na piersiach, powyżej paska od spodni, czuł »swój« gwóźdź, swój amulet.

Kilka kroków dzieliło go od potężnego muru, tłuczonem szkłem pokrytego, do którego przytulała się lilipucia, solidna budka odźwiernego, stróżująca u ogromnej bramy.

Bez namysłu, wszystko stokrotnie uplanowawszy, rzucił się, jak chart, do tego domku. Podskoczywszy, uchwycił się gzymsu dachówek i wdrapał na wierzch.

Wokoło lewej łopatki palił go jakiś ognisty, szczypiący plaster. Krew! Snadź starł sobie skórę, przeciskając się pod sztabą. Bagatela!

Lazł pod górę na czworakach, przypełzał do czuba kopuły, pełen radości wzrastającej wyżej i wyżej, uderzającej jak wódka do głowy zbójeckiej.

Wtem zaskrzypiały podwoje więzienne i rozległy się szmery głosów. Dwa światełka strzeliły na martwy dziedziniec.

Zbieg zsunął się szybko plackiem pod szczytową część muru i, przysłonięty wypukłością przebytego

dachu, leżał niewidzialny dla oczu dozorców, niby porzucona płachta.

Podniosła się w nim czujność. Nie strach. Szczyt muru, dzielącego go od wolności, miał przecież tuż przed sobą. Sterczał on na wysokości metra, dziecinnie łatwy, śmieszny. Jeden żabi skok, a zawiśnie brzuchem na jego brzegu i potem...

Wtopił się słuchem w przestrzeń podwórzową.

Noc leżała na otoczeniu tak wielka, jakiej nie było od początku świata — noc herkulesowych zapasów jednostki z okutym w żelazo porządkiem gromady ludzkiej.

Dozorcy poszeptali między sobą, popatrzyli na bramę i rozdzielili się; jeden ruszył w prawo, drugi w lewo. Obaj szli wzdłuż murów więziennych, oświetlając latarkami okna cel parterowych.

Gdyby Jan zdradził zaraz swą kryjówkę, wypadliby za nim na ulicę i strzelili. Więc cichuteńko oderwał tors od dachu, uniósł głowę, obliczając skok.

Śmiech Twardowskiego wrzał w jego piersi, świadomość wygranej grzmiała pysznym wiwatem na cześć wolności.

Światło latarni ulicznej błysło mu w źrenice i zawtórzyło okrzykiem niebotycznym: Wolność! Wolność! Wolność!

Tryumf woli! Tryumf mocy!

Skulił się w kuczki, rozciągnął, niby pajac na gumie, rzucił na mur i — zawisł...

Zawisł, przewieszony przez ostatnią, śmieszną zaporę — nie na skorupach, lecz na gwoździu — swym

własnym, który, zatańczywszy w skoku pod całkiem luźną koszulą, zwrócił się ostrzem do ciała i przybity, wiercił się cały w wnętrzności...

Jak tonący, Jan zachwycił się rękoma o szkło, rozdarł dłonie, rozkrwawił. Jeszcze próbował drapać się na szczyt, uciekać, lecz gwóźdź przeciął strunę woli, zadał cios śmiertelny chceniu.

Jęk tragiczny spłynął z wargi, ból chwycił go w wściekłe szpony, dreszcz przeleciał po grzbiecie. Koniec...

Nim dusza powlokła się kirem, nim spadł ze szczytu nadziei trupem, łysnęła przed jego oczyma larwa tryumfującego przeznaczenia, bryzgającego pianą szatańskiej ironii...

Ironii losu, której było na imię: gwóźdź...

Gwóźdź Przeznaczenia...

II.

DWIE AKWARELE

GODZINA FLIRTU.

— Dzień dobry, sąsiadce!

— ...sąsiadowi.

— ...pięknej.

— ...brzydkiemu.

— Wątpię?

— W co?

— Nie w pani urodę.

— Ani we własną brzydotę.

— Nie wątpiłbym w nią, gdyby pani nie zaszczycała mnie chęcią powalenia mnie do swych nóg.

— Pyszne, ha, ha!... Zarozumialec!...

— Z łaski pani.

Teraz dopiero pani Leonia, siedząca na swym balkonie willi druskienickiej, szczerze »Bałamutką« zwanej i spozierającej wstydliwie ze spowicia drzew na lazurowe kolano Niemna, podnosi złoty postiche, odrywa zalotne oczy od robótki i muska uśmiechem wyflanelowanego pana Henryka, którego obecność na przyległym balkonie wyczuła natychmiast swym subtelnym noskiem.

Takie »dzień dobry« wróży jej dobry dzień.

— Ach, gdybym tylko chciała...

— Toby się pani nie udało.

— Ta-ak? Pojedynek?

W ślad za tym znakiem zapytania najzdradliwszy z niewieścich pocisków ocznych uderza w opancerzoną sceptycyzmem pierś śmiałka.

— Nie pojedynek. Z kobietą... chyba zasadzka — mruczy pod wąsem pan Henryk i nagle poczyna czytać gazetę, gdyż w tej chwili pokojówka uważa za stosowne przeciąć ich przędziwo salaterką z owocami.

Postawiwszy ją na stole obok pani Leonii, zerka mimochodem na eleganckiego mężczyznę i wycofuje się z balkonu z nastawionemi uszami.

— Pogoda... — odzywa się niedbale pan Henryk nad gazetą. — Czy nie byłoby lepiej przejść się nad poetyczną Rotniczanką?...

— Nie wyjdę teraz... Może około piątej... — cedzi od niechcenia pani Leonia nad robótką.

— Naśladuje pani Penelopę, z tą różnicą, że nocą nie będzie potrzeba bodaj nic rozsnuwać.

— Złośliwy!

— Czasami.

— Zuchwały!

— Zawsze... wobec ładnej kobiety.

— Kobieciarz!

— Z urodzenia.

— Bałamut!

— Z powołania.

— Flirciarz!

— Według życzenia...

— Niebezpieczny!

— Dziękuję... uroczej pani.

— Bez dodatków!

— Bez?... Już okwitł. Został dodatek: urocza kobieta.

— Dosyć tego! Nie znoszę komplementów!

— Nie wierzę.

— Czemu?

— Bo tylko panny nie lubią komplementów; nie mają jeszcze dość rozbudzonej kobiecości. Żądają zawsze jakiejś prawdy!

— A komplement jest fałszem?

— Nie. Więcej, niż prawdą; jest faktem... w danej chwili.

— Dosyć! Zaraz będą powracali z kąpieli... Muszę skończyć tę robótkę.

— Dla Odyseusza? Ale ponieważ on wróci dopiero za lat dziesięć... za kilka tygodni, chciałem powiedzieć!...

— To z tego nie wynika jeszcze, abym miała z panem flirtować.

— Flirtować? Gdzieżby! Czyż pani wogóle umie flirtować?

— Nie. Wcale nie.

— Byłem tego pewny. Nie spotkałem jeszcze kobiety, którąby umiała, a którąby nie flirtowała.

— Nie wiem wcale, co to znaczy flirtować.

— Byłem tego pewny. Jest to jedno z tych wie-

cznie powtarzanych słów, których nikt określić nie umie i dlatego tak interesujących.

— Nawet pan?

— Najpierw podkreślić należy, że nie powinno mówić się »flirt«, bo przez to rozumie się mężczyznę lub kobietę, oddających się tej sztuce pięknej, romansujących.

— Profesor! — szczypie go cichaczem pani Leonia.

— Nie flirtem zwie się ten kunszt, którego pani rzekomo nie zna, lecz flirtowaniem. Jeżeli jednak pani woli... Z kobietą nigdy nie trzeba się sprzeczać o drobnostki; bardzo to bierze za złe.

— A o ważne rzeczy?

— Wcale nie potrącać.

— Jakto?! Czyżby kobiety w pańskiem mniemaniu...

— Nie podoba się to pani? To powiem inaczej: jest pani poprostu wiele za ładną, aby z nią mówić na seryo.

Na to blondyna podnosi się, udając bez powodzenia trochę zadąsaną, z czem jej bardzo do twarzy. W udawaniu oburzenia wykształciła się doskonale na warszawskich kabaretach.

— Muszę iść się ubrać.

— Szkoda...

— Co to znaczy to »szkoda«?

— Taka pani ładna nieubrana!

— Zatykam uszy. Dosyć już, dosyć!

— Na dzień dobry.

W mgnieniu oka pani Leonia lustruje swe nieubranie, swój strojny negliż, a potem oblewa łaskawem spojrzeniem ciemną, w klin przyciętą brodę pożądanego gościa pensyonatu, który prosi w nagrodę:

— Rączkę?...

Wpierw pani Leonia bada horyzont wywiadowczem spojrzeniem, niby reflektorem latarni morskiej, patroluje żółtą wstęgę ganku, wijącą się po osypiskach nadrzecznych, ażali jakie krogulcze oko nie obserwuje gwiazdy sezonowej. Lęk przed niem i »językami« jest istotnym powodem jej zgasłego oburzenia i rejterady.

Zaczem podaje z grandezą wypieszczoną, a zawsze jeszcze nie dość upieszczoną łapkę dandysowi, który całuje ją żarliwie, niby zgoła rarytny specyał.

— Pachnie »ideałem«... już od rana — mówi sobie pan Henryk z uznaniem, gdy dama znika za szklanemi drzwiami — nieco zafrasowana, jak zabrać się do niego, jak wcielić go w szereg swych »zdeklarowanych powodzeń« kąpielowych. Bo to sęk, ów pan Henryk.

Tymczasem sęk zapala papierosa i powtarza sobie, aby nie zapomnieć: »o piątej«...

. . . .

Zegar na domu zdrojowym wskazuje kwadrans na szóstą, gdy pan Henryk zanurza się powoli w cienisty jar Rotniczanki, czarów pełen i baśni. Pod wspaniałym baldachimem drzew, ponad rzeką w ostrołuk gotycki splecionych, pada mu na skronie chłód niby

katedralnych murów i zakrada się doń nastrój świątynny.

Niebosiężne wierzchołki grabów osłoniły rzeczkę przed słońcem olbrzymiemi skrzydłami, utworzyły nad nią arkadę zamkową tak, iż Rotniczanka posuwa się jak królewna zaczarowana wśród pysznych filarów, po kobiercu mchów i wiklin. Ale to nie królewna; to prosta dziewczyna-kopciuszek, od świtezianki piękniejsza, umajona kwieciem leśnem, omroczona półcieniów mistyczną tkaniną, owiana tchnieniem soczystej roślinności. Raz wraz jaskółki krążą nad nią i las szumi zcicha, śnieniom dziewczyny dając wyraz w rozwiewnej kołysance.

Obce mu tony wkradają się do duszy pana Henryka. W tem poetycznem zacienieniu czuje się raptem odciętym od sfery buduarowej, pejzaż ten wydaje mu się nieodpowiednią sceneryą dla motylowych potyczek. Aby zwiać z duszy poważny akord, poczyna powtarzać sobie przykazania swego salonowego dekalogu. Mruczy:

»Po pierwsze: nie bierz nigdy kobiety na seryo. Po drugie: nie kochaj jej nigdy, jeżeli chcesz być kochany. Po trzecie: nie zatracaj swego męskiego egoizmu. Po czwarte: udawaj, jakbyś nie miał innych bogów przed nią. Po piąte: nie mów nigdy całej prawdy. Po szóste: kradnij całusy i t. d.«

Nie śpieszy się. Bo gdyby nawet pani Leonia odznaczała się fenomenalną punktualnością, tym razem przez wyższą dyplomacyę każe mu czekać na siebie przynajmniej pół godziny. Przecież ona nie naznaczała

mu wcale schadzki! Nie spodziewa się wcale spotkać go! Nie pragnie!... Chociaż... od rana o niczem innem nie myśli.

Pan Henryk mija drewniane łazienki, na powierzchni strumienia usłane, zapuszcza się dalej, nie spotykając nikogo. Na schyłku sezonu kąpielowego w nieco chłodnym jarze przechadzają się pustka i cudna cisza dziewiczego lasu. Przystaje w miejscu, gdzie długi pień grabu, jakby podciętego, przewiesza się malowniczo nad ciemnostalową płytą wody i składa swą koronę na piersi przeciwbrzeżnych drzew.

Obracając machinalnie na palcu ślubny pierścionek, pan Henryk, zapatrzony w ten pejzaż, nie spostrzega zrazu sunącej jak sylf między pniami damy, niby z żurnalu wypadłej, podnieconej poczuciem swej ładności, zelektryzowanej blizkością niebezpiecznego wielbiciela.

Lekki zgrzyt bucików w żwirze, potem kaskada sztucznego śmiechu.

— Ha! ha! ha!... Pan tu?! Ależ wygląda to na schadzkę!

— A tymczasem to tylko łaskawe przeznaczenie zbliża nas do siebie w tej świątyni dumań — mówi pan Henryk spokojnie i oplata rozbierającem okiem wytworną postać pseudo-złotej blondyny, uwięzionej w obcisłym kostyumie popielatym, i topi zdobywcze wejrzenie w tonie ciemnych, zdobywczych jej źrenic. A ona postanawia niezłomnie:

— Depcę rzekome przeznaczenie Przeznaczenia

i odchodzę. Zaraz. Coby pomyślano, a co gorsza, powiedziano, gdyby?...

— Niema żywej duszy.

— Ale pan jest. Żywy, bardzo żywy człowiek. Uciekam.

— Przede mną? Pani rejteruje przed... mężczyzną?

— Uciekam. Powiedziałam. Ale proszę mi powiedzieć... Nie dokończył pan swego pouczającego wykładu o flircie, czy flirtowaniu. Jestem ciekawa, jak to pan określi.

— Czyż tego przedmiotu nie wykładają jeszcze w gimnazyach żeńskich?! To cóż tam wykładają?... Zacofany to kraj... Jeżeli pani wykształcić się pragnie w tym kunszcie...

— Dowiedzieć...

— Najlepiej metodą praktyczną, poglądową. Trzeba na to, oprócz nerwu zalotności czyli kobiecości, pewnej dozy wyobraźni erotycznej, kultury umysłowej, estetycznego smaku, oraz szczypty pieprzyku z Cayenne. Pani ma talent i warunki... bajeczne. Tak, że możnaby odrazu przejść z panią do najwyższego kursu.

— Ale ja jeszcze ciągle nie wiem, co to jest ów flirt! — woła z ładną naiwnością dama, podchodząc do poblizkiej ławeczki.

— To nie szkodzi. To nie nauka, lecz sztuka piękna. Więc trzeba to odczuć. I ja nie wiem.

Pani Leonia siada na ławeczce tak, że zgrabne jej nóżki reklamują się wybornie. On staje przed nią

i, wsparty na lasce, szuka oczyma natchnienia gdzieś — pod kopułą drzew splątanych.

— Flirt jest to przejaw pragnień miłosnych, czy też miłości, zamrożonej w zdrowym rozsądku, czy też jest cieniem jej, zrodzonym z anemicznego, niemocą dotkniętego serca. Jest to tęczowa, kameleonowa gra światłocieni uczuciowych, niby wyzwanie i wyznanie, niby podjazd i próba, niby zakąska i deser, niby targowanie się kramarskie i blagowanie artystyczne. A wszystko to razem — gra buduarowa dla przemądrzałych dzieci, w której coeur'y nie są atutami.

— A miłość? — pyta z wdziękiem i gwiezdnem spojrzeniem syrena.

Odpowiada jej łobuzowski uśmiech fauna:

— Uczenica ujawnia arcychwalebną żądzę wiedzy, ale robi zbyt wielkie skoki.

— Jakto? Przecież nie daleko chyba z cieplarni flirtu do pałacu miłości? Leżą w tym samym edenie, w ogrodzie przyjemności.

— Tak jest, a jednak... Flirt jest najprzyjemniejszym wyrazem inteligencyi, a miłość najprzyjemniejszym wyrazem głupoty.

— Której pan nigdy nie popełnił!

— Ale mógłbym... W dwudziestej wiośnie mężczyzna pragnie kochać, w trzydziestej — kochać i być kochanym, w pięćdziesiątej jesieni — być kochanym. Według tego mam lat trzydzieści...

— A kobieta?... W szesnastej wiośnie pragnie i wierzy, w dwudziestej szóstej — pragnie i nie wierzy, w czterdziestej szóstej jesieni — tylko pragnie.

Ja mam lat dwadzieścia sześć... i nic panu nie wierzę. Ha! ha!

— Doskonale. Nie o to chodzi, aby mi pani wierzyła. Nawet lepiej, że pani mi nie wierzy, gdyż... tem więcej pani pragnie podbić mnie, ujarzmić.

— O! Tego nie wiem!

— Tak jest. Zwłaszcza, że pani ma psychologię ładnych kobiet, które depcą po niewolnikach, padających trupem od pierwszego spojrzenia. Pod tym kątem widzenia kobiety dzielą się na ładne i niełądne.

— Co to znaczy ładne?

— Takie, które się podobają lub sądzą, że mogą bardzo się podobać.

— A zresztą?

— Dzielą się kobiety poprostu na dobre i złe, to jest na wdzięczne serca i niewdzięczne — mówi znawca i nieznacznie siada obok niej na ławeczce.

— A mężczyzna niema go wcale! Pan jest za mądrym, aby kochać kogokolwiek okrom siebie.

— Dla kobiet niema »mądrych« mężczyzn, są tylko ładni, niebezpieczni, dobre partye i odwrotnie.

— Ale pan nie przeczy, że... — atakuje lisa pani Leonia.

— O tyle tylko jestem w miłości egoistą, o ile to konieczne, aby być kochanym. Kobiety kochają jedynie egoistów.

— A mężczyźni?

— Złe kobiety: lalki, gąski, często tylko tualety. Ja jestem wyjątkiem... Kocham kobiecość.

— Pan tylko lubi kobiety.

— Nie, nie lubię kobiet, ja je kocham.

— Wszystkie, to znaczy żadną.

— Jedną, tylko jedną... — szepce tajemniczo pan Henryk z odwróconemi oczyma.

Wtem z boku nadchodzi gruchająca para. Ona ma lat piętnaście, krótką sukienkę niedzielną, nowe buciki, minkę kotki i dużo za uszami. On siedemnaście, mundur uczniaka, wiarę w sercu, nadzieję wąsów i miłość wakacyjną w głowie. Kroczą tak grzecznie i ślicznie obok siebie, jakby popisywali się przed sobą, elegancyą chodu przypodobać sobie chcieli i pozowali do fotografii wystawowej pod tytułem: pierwszy flirt. Opowiadają sobie o krokiecie, a śnią o pierwszym uścisku.

Mijają ławeczkę zapłonieni, jakby szereg ciekawych lornetek.

— Bardzo im razem do twarzy... — szepce pani Leonia z cichem westchnieniem, idąc wzrokiem za oddalającą się parą.

Chwila milczenia. Wreszcie pan Henryk uderza w inny ton.

— Mówmy na seryo! Ilu mężczyzn położyła pani pokotem w tym sezonie?

— To nazywa się na seryo?!

— Szczerze! Proszę! Ośmiu, dziesięciu? Ja mam być jedenastym?... Jedenaście podobno dobra liczba. Zgodziłbym się być tym jedenastym, gdyby pani zechciała być... pierwszą i ostatnią.

Pani Leonia wpatruje się w koniec parasolki i poczyna nią wiercić w żwirze.

— Przypominam lojalnie, że pan twierdził, iż mi się nie uda...

— Nie wiedziałem, co mówię! — wybucha nagle pan Henryk ogniście. — Pani jest przeczarowna! Nie widziałem takiej...

— Od kiedy?

— Chyba w snach.

— Lowelas, pozujący na Romea... — szepce słabo pani Leonia.

— Przeczarująca. Pani Grabca przemieniłaby w Filona, Falstaffa w Romea. Za jeden pani całus duszę dyabłu sprzedaćby można...

— Gdyby się ją miało.

— Dość, że mam serce, wrażliwe na piękno, urok, na czary pani osoby...

— Ale płoche... — szepce słabiej pani Leonia.

— Gorące, jak Polak!... Niemiec widzi miłość pod kątem hygieniczno-sentymentalnym, Francuz pod kątem pikantno-artystycznym, Włoch romantyczno-zmysłowym, Anglik moralno-fizyologicznym, Polak pod kątem czysto erotycznym. On kocha miłość... Chciałem pani powiedzieć poprostu: kocham!

— Nie wierzę... — szepce bardzo słabo kobieta.

— Kocham... pani stalowy kostyum, szczęśliwy, bo tak blizki jej kształtów, kocham... co widzę i stokroć więcej wszystko, co przeczuwam. Kocham tajemnicę kobiecości, zaklętą w jej syrenie kształty, w jej linię secesyjną, modną i uwodną... Po jeden całus leciałbym... ponad Simplonem, gdybym miał latawiec. I skręcił kark...

— Więc przyznaje pan, że udało mi się...

— W mgnieniu oka, a jeden całus...

W zapale miłosnym pan Henryk chwyta jej ręce, całuje powyżej rękawiczek, przytem błaga o coś, żebrze płomienistym szeptem.

— Panie Henryku! Niech pan się nie zapomina!... Ludzie!...

— Śliczna, czarowna!... Jeden, tylko jeden, jedyniuchny...

Szept płomienny zwiewa puder z jej lic, przymykają się fiołki jej oczu, usta milkną pod pieczęcią ust — zwyciężonego.

— Panie Henryku!! Jak pan śmie?! Pa...!

Drugi, trzeci całus.

— Panie!... Okropny!... Uciekam!

Istotnie ucieka, bo on jej nie powstrzymuje. Migota stalowa sylwetka wśród pni i dama znika, upojona »wszystkiem«, uszczęśliwiona zwycięstwem. I szepce sobie:

— Bardzo miły... Czwarty w tym sezonie. Nie trudniejszy od innych. Ach, mężczyźni wszyscy...

Tymczasem nad głową pokonanego szumią hen górą konary drzew i kołyszą go w hamaku słodkiego *bien-être*.

— Bardzo miła — mówi do siebie — czwarta w tym sezonie. Nie trudniejsza od innych. Ach, kobiety wszystkie... Zwycięża je pozornie zwyciężony wolą, komunałem i ich własną bronią: chytrością. A gdy się nie traci głowy, łatwo o chytrość sku-

teczną, gdyż cały dowcip kobiecy nie sięga nigdy dalej, jak do końca jej noska...

W zamyśleniu spoziera w stronę, w którą odeszła i — w najbliższą przyszłość. Po chwili rusza raptownie w przeciwną stronę na przechadzkę.

— Brzydki nałóg! — strofuje się, obracając pierścionek ślubny na palcu. — Ale dzięki temu, uświadamiam sobie w całej pełni, jak bardzo kocham moją Marynię. Najtrudniej zdradzić żonę, która wierzy. Nie sprzeniewierzę się jej... zapewne. Ale nigdy też nie zdradzę się przed nią z mą wiernością. Ani z tem, że tylko dla uświadomienia sobie ogromu mych uczuć małżeńskich, właściwie na benefis żony... ta godzina flirtu.

W GONDOLI LONDYŃSKIEJ.

— ...W ośmnastej wiośnie, w której załamują się rączki nad nieudanym plackiem, wiara w ludzi ogrzewa pierś, los na koszu osiadłej bohaterki romansu wyciska strumień łez, a sen przyszłości barwi dziewicze lica miłosnym szkarłatem — powinien ją pan nazwać swą żoną! — dokończyła dama w świetnej, balowej toalecie, zmierzając zwolna ku wyjściu długim, obszernym przedsionkiem klubowego gmachu wśród śnieżnych ścian, wysrebrzonych księżycowym blaskiem elektrycznych kinkietów i umajonych gustownie egzotyczną zielenią.

— Powinienem! — rzucił w półwestchnieniu dźwięcznym, barytonowym głosem jej towarzysz, przystojny, dobrze zbudowany brunet z twarzą wygoloną, smagłą, w fraku, przysłoniętym czarną zarzutką z peleryną. — Powinność to okropne słowo, co niby trąba archanioła wypędza z raju swobody, zaperfumowanego czarowną wonią zakazanego owocu.

— Dość mam tych niemądrych »ale« starego

kawalera! Jeśli i Miss Dolly Crammer nie zda egzaminu na pańską żonę, to... dam pokój swatom.

— Na miłość Boską, niechaj mi pani nie grozi tak straszliwie. Za cóż pozbawiać mnie i siebie tak miłej, niewinnej rozrywki sezonowej. Zresztą jest to dopiero trzecia niewiasta, którą mi pani...

Tu przerwał mu śmiech nadobnej pani doktorowej Mabel Hill, wystawiającej chętnie i wspaniałomyślnie na widok publiczny swe dość duże, białe, równe zęby.

— Pan lekceważy me zabiegi, a ja sprawuję me funkcye zupełnie, ale to zupełnie na seryo, *don't you know.*

— Naturalnie, zupełnie na seryo, a z takim wdziękiem, jakby pani nie brała tego na seryo.

— Jeśli pan rozpoczyna z tego tonu, pojadę sama do domu, nie pozwolę się odwieźć... Co za szkoda, że odwołano doktora Hill do chorego — nadmieniła bez przekonania.

— I na domiar na początku bankietu — rzucił Mr. Frank Croft z współczuciem — a dali jeść i pić wyśmienicie!

Na to pani doktorowa zadąsała się. Czy nie zależało mu na eskortowaniu jej, czy też poczytywał jej słowa za czczą pogróżkę? Bądź co bądź winien był udawać, że bierze je za dobrą monetę, na seryo, a on tymczasem myślał o obiedzie, sympatyzował tak szczerze z jej mężem, lubo nieobecność doktora przyczyniła się znakomicie do uprzyjemnienia wieczoru.

W tej chwili nadbiegł ku nim wygolony odźwierny i zwrócił się do członka klubu »Nowych włóczęgów«:

— *Hansom, sir?*

Na skinienie jego podążył po kabryolet. a oni czekali na stopniach, przy chodniku ożywionej arteryi, zanurzonej w czerni nocnej i naszpilkowanej nikłemi światełkami, gdzie snuł się szereg sylwetek od strony teatrów West-end'u i płynął w ślad za turkotem ciężkich omnibusów i dzwonkami lekkich, dwukolnych dorożek, które migały szybko przed oczyma, kołysząc się nieco na resorach, niby gondole.

Pani Hill śledziła ruch uliczny w chmurnem milczeniu, aż znowu właściwy jej miły wyraz rozjaśnił wypudrowane lica i w ciemnych, inteligentnych źrenicach blondyny zaigrał ów figlarny uśmiech chochlika, który stanowi bodaj największy wdzięk kobiety. Bez niego, bez tej iskry wesołości, co strzelała śmiało w światowe cienie, zapalając zasoby dobrego humoru, byłaby odmienną od siebie, nieskończenie mniej interesującą istotą. Bo niby motor poruszała ona jej organizm, zniewalała do wyróżnienia jej z szarej rzeszy i wymazywała szereg lat z jej wieku. Szafirowe jej oczy lubiły patrzeć i widzieć, badać, nęcić i zapewniać, że jest kobietą.

Bladoróżowe muśliny i jedwabie otulały jej niewielką, lecz zręczną postać wężowym uściskiem, jakby zakochane w jej krągłych kształtach, oplatając ją arabeskami przejrzystych falban, przysłaniając szmatkami kunsztownych haftów i czepiając się obnażonych ramion, niby czułe bluszcze. A zwój róż pon-

sowych czuwał na straży alabastrowego biustu tak zazdrośnie, że aż kwiaty pokładły na nim swe rozmarzone głowy.

— Nie przypuszczam, aby pani bezlitośnie odpędziła swego wiernego sługę — rzekł pan Croft, zdziwiony jej milczeniem.

— Ale musi pan być grzecznym.

— Będę się starał — rzucił z nieznacznym uśmiechem uspokojony członek klubu *of the New Vagabonds*, który na to miano zasługiwał lepiej od innych, będąc »nowym« w Europie, a »włóczęgą« w Azyi. Kilka lat życia strawił na uciążliwych podróżach po zaledwie dostępnych ziemiach azyatyckich, w zapasach z dziką naturą i jej synami, zaspakajając swe sportsmańskie skłonności. Teraz wszakże w przełomowym peryodzie życia, w którym mężczyzna poczyna lękać się osamotnienia, nudy i reumatyzmu, wahał się między podróżą do Buchary a ożenkiem, i niekiedy zabawiał się z miłości do sztuki krążeniem wokoło obcych, uroczych pól. Jako nowego typu włóczęga nie zapuszczał się wszakże w zdradliwe gąszcze, gdzie sterczy tablica z ostrzeżeniem: »przekraczający będą karani sądownie«...

Zajęli miejsca w wysłanem poduszkami *coupé* na dwie osoby. Drzwiczki przymknęły się za nimi, przysłaniając ich postacie do piersi; woźnica na koźle, przyczepionym z tyłu, uchylił okienko w dachu, spytał o adres, poruszył lejcami i koń pomknął z kopyta, a nad jego grzbietem można było widzieć białą tarczę koszuli Franka i złotowłosą głowę Mabeli, aż

hansom zboczył w kłąb wyludnionych, mrocznych ulic i uliczek.

— A zatem jutro o piątej! Prócz Dolly pokażę panu seryę starych sztychów.

— Co takiego?

— Widocznie przenosi pan stare sztychy nad młode aniołki.

— Bo rozebrane z szaty aniołów okazują się zwykle pospolitemi gąskami. Istnieją one na naszym padole li tylko jako efekt sceniczny.

— A jednak anioły ziemskie i żeńskie są jedynymi aniołami, o których mężczyźni pragną dowiedzieć się czegoś pozytywnego. Ot n. p. pański przyjaciel, pan Pillans.

— Prawda, poślubił anioła, ale on sam jest tak dobrym.

— A pan nie?

— Z obawy, aby nie zanudzić siebie i innych.

— Pięknie pan przedstawia pana Pillansa. Przecież to pański przyjaciel!

— Tak jest; łączy nas klub, wybredne podniebienie i...

— Brak zasad.

— Nie, Pillans jest przekonanym, że ma zasady. Łączy nas niemożność wzajemnego zrozumienia się.

— Czy w nim tkwi wogóle coś ciekawego?

— Gdy nas kto zaciekawi, zawsze odnajdziemy w nim coś niezwykłego. Każdy człowiek jest dziwnym. Lecz życie zbyt krótkie, zaniechałem dalszych badań nad nim.

— I poświęcił pan całą uwagę płci pięknej. Ale, powiedz mi pan, jaki rodzaj kobiet upodobał pan sobie?

— Jaki rodzaj? — powtórzył zafrasowany.

— Nie jest pan przecież wrogiem kobiet z profesyi?

— Nie! — zaprotestował żywo i wzrok jego padł na pięknie utoczone ramię Mabeli, wyglądające ciekawie z pod srebrzystej zarzutki, lamowanej białym puchem.

— Co za śliczna bransoletka! — szepnął z przedziwną, rozczulającą prostotą, słaniając głowę nizko i, zsunąwszy trochę długą rękawiczkę z jej ramienia, przycisnął do niego gorące usta.

— Kobiety wrogiem — ciągnął potem, nie przerywając wątku rozmowy — może być tylko kobieta lub cymbał.

Śmiejąc się, Mabela odsunęła ramię naturalnym ruchem, jakby niczego nie świadoma. Frank zaś mówił bez przerwy:

— Nie widziałem jednakże tak ciężko na umyśle upośledzonego mężczyzny.

— Ale jaki rodzaj kobiet przemawia do pana najżywiej — tego pan sam nie wie. Dziś przepada pan za brunetką, jutro za blondyną, dziś wiotka postać mile nęci oko, jutro korpulentna budzi strzeliste afekty, raz azyatka, potem dama, ha! ha!

— Przesadza pani! — zawołał, dziwiąc się w duszy jej znajomości męskiej natury. — Chodzi po-

prostu o to, aby kobieta była ładna, miła, inteligentna...

— I ten ideał uosabia pan w coraz inne istoty, jak mówiłam.

— O nie! — zaprotestował żywo i ciągnął: Są dwa rodzaje mężczyzn: idealiści i realiści, i dwa rodzaje miłości: kochać się w kimś i kochać kogoś. Pierwsi kochają siebie w kobiecie i... tyranizują ją, usiłując gwałtem przeobrazić ją w swój ideał. Z tych rekrutują się nieznośni mężowie; oni miłują więcej swój ideał, swe zasady, czyli poprostu siebie nad kobietę. Mnie, realiście, wystarcza kobieta. Gdybym zanieczyszczał sobie głowę takiemi słowami jak ideał, nie przystosowywałbym go do materyi, lecz naodwrót wysnuwał go z rzeczywistości.

— Z takich rekrutują się...

Nagle, na skręcie ulicy, doróżka, uderzywszy w wybój, zakołysała się silnie.

— Ach! — krzyknęła Mabela, lecz przytomny sportsman otoczył ją opiekuńczem ramieniem, przyczem tak dziwnie się złożyło, że usta ich spotkały się, splotły w pocałunku.

— Śliczna noc... — wyszeptał, szukając gwiazd na niebie z astronoma zajęciem.

Mabela zaś, nic nie czując, nic nie słysząc, rzuciła pośpiesznie:

— W gruncie rzeczy jestem pewna, nic pan nie wie, ani jaki rodzaj kobiet przypada panu do gustu najwięcej, ani czy pan wogóle jest zdolny pokochać.

— Pani zawsze ma racyę — wyznaję z przy-

krością. Lecz o miłości nikt nic nie wie; jest to wielkie misteryum. Im więcej się je rozjaśnia, tem więcej się zaciemnia — jak życie. Dość wiedzieć, kto nam się podoba.

— No, miss Dolly oczaruje pana z pewnością, chyba, że pan niema serca.

— Istotnie, do tej chwili... — począł, topiąc wzrok w jej źrenicach miłośnie.

— Niechaj pan nie wygaduje takich nonsensów! — wpadła na niego, zgorszona tak banalnym zwrotem. — To dobre... w Azyi. Przyrzekł pan zachowywać się grzecznie...

Spojrzała nań z niepochlebnem zdumieniem tak, iż odczuł swe wykroczenie przeciwko prawidłom flirtu, opartym na zimnym rozsądku i nowej estetyce.

— Niechaj mi pani mówi o miss Dolly, abym mógł zająć się nią już dzisiaj — rzekł pokornie.

— I utorować sobie przystęp do górnej świątyni kupidyna. Już to nic dla mężczyzny trudniejszego, jak zakochać się. Wszyscy oni grzęzną w egotyzmie.

— Powiedz pani raczej w zdrowym rozsądku... Ja sam cierpię dotkliwie na tę modną epidemię: hypertrofię rozsądku, mając najgłębsze przekonanie, iż w sprawach miłosnych najwyższym rozsądkiem jest nie rządzić się rozsądkiem. Dzisiejsi ludzie są za ostrożni, za mądrzy, za starzy. Wlazłem na wierzchołek Himalai, ale niestety nie mam odwagi, by wspiąć się na szczyt życiowej mądrości, a czuję, że nicby mi tak nie ulżyło, nie uszczęśliwiło mnie, jak kapitalne głupstwo.

Mabela westchnęła; sama bowiem szamotała się niejednokrotnie w pętach rozsądku, wzbraniających jej zerwać z wygodną kupiecką moralnością.

— Modernista! Boi się pan miłości, jak... utraty majątku.

— Wiedząc, że kobiety nie zdolne są kochać mężczyzny, lecz miłują w nim jedynie pieniądz lub małżeństwo. Winny brać zimne okłady na swój zdrowy rozsądek!

— Apostoł głupstwa! — bąknęła Mabela. — Zdrowy rozsądek wszakże jest największą chlubą naszej rasy.

— Ale najsilniejszą spójnią ludzi jest wspólny im nierozsądek.

— Być może. Was kawalerów nie-siedemnastej wiosny spaja także nierozsądek, z jakim szukacie w kandydatce na żonę wszystkich dodatnich i miłych cech tych kobiet, które was zaszczyciły względami lub... zaszczycić nie chciały. Jakoż powikłani w gordyjski węzeł sprzeczności, siedzicie na martwej wyspie, niby ów rybak Göthego, który, z wędką w ręku, marząc o nimfie, stoczył się pomiędzy okropne bałwany...

On rozśmiał się serdecznie i począł poprawiać opadające z jej ramion okrycie i znowu tak los zrządził, że ustami zaczepił mocno o jej usta.

— Dość... tego dziecińśtwa! — szepnęła zapłoniona, jakby do swawolnego dzieciaka, i po chwili dorzuciła:

— Powinien się pan ożenić. Rzecz stwierdzona, że żonaci mężczyźni żyją dłużej od kawalerów.

— To im wydaje się tylko dłużej...

— Okropny człowiek! — parsknęła śmiechem i klapnęła go rączką, którą on przytrzymał skwapliwie i począł okrywać dyskretnymi całusami.

— Bądź co bądź dziękuję za... dobre rady.

— Radzę nie rozpoczynać flirtów z miss Dolly. To do niczego nie wiedzie — mówiła, uwalniając rączkę z pod jego uścisków bardzo opieszale.

— Jakto?! — wpadł Frank, w mniemaniu, że odezwała się przez jej usta zazdrość kobiety. — Miałbym wyrzec się flirtu, tej gry...

— Pustej i zdrożnej — wtrąciła.

— Motylowej i błyskotliwej, czarownej a zdradliwej. Podróżując wiele, nie poznałem jej prawideł — ciągnął z bezczelnym uśmiechem — lecz czy nie przypuszcza pani, że musi to być zabawnie uwijać się jak matador po hiszpańskim cyrku, wiewać czerwoną chustą przed oczyma rozjuszonego byka i wysuwać się zgrabnie z pod jego rogów, z areny?

— Ależ pan ma potykać się na seryo, jak toreador.

— A! prawda... naturalnie, na seryo... Wszelako w przedwstępnym boju okaże się, czy wogóle warto uchylić przyłbicę i czy w żyłach okrutnego zwierza nie płynie krew rybia.

— Prawdziwie męska taktyka — zauważyła, zamieniając słowo »męska« w myśli na »żeńska« i oblała

twarz Franka długiem, sympatycznem wejrzeniem, przyznając w duszy, że jednak mężczyźni w stosunkach z kobietami nie są tak głupi, jak jej się to zwykle wydawało.

On, wyczuwając korzystny moment psychologiczny, nachylił się i uszczknął całusa nawiasowo.

— Ciekawym, czy się pani uda skojarzyć mnie z miss Dolly.

— Mam nadzieję, bo jest bardzo bogata, a przytem sprytna i, zdaje się, czuła. A im mniej jesteście zdolni kochać, tem więcej cenicie sobie miłość kobiety. Pragniecie wygrzać się, jak pies na słońcu.

— Nie jestem młokosem, aby bezmyślnie przelewać zasób mych uczuć w pierwsze lepsze naczynie cnót filisterskich.

— Bo zasoby istnieją tylko w waszych głowach.

Mr. Croft chciał bronić się, ale Mabela, wychylając się z doróżki i wskazując na pomnik, który przeświecał przez ciemne krzewy skweru, jaki omijała właśnie doróżka, zagadnęła:

— Czyj to pomnik?

— Zdaje mi się, lorda Russell'a. Sam wystawił go sobie. No, każdy mozoli się nad wzniesieniem sobie pomnika, ale on był dość majętnym, by kucie powierzyć innym.

Tu wpadła mu w oko śnieżna szyja ponętnej blondyny i, wątpiąc, czy pomnik zajmował ją wogóle, przycisnął usta do ciepłego marmuru.

— Co za sceptyk! — rzekła Mabela oficyalnie,

poprawiając powoli okrycie, a nieoficyalnie zezwoliła na kilka gorących pocałunków.

— Nigdy nie moralizuję. Moralizowanie jest przywilejem niedołęgów.

— Ale miałam panu odmalować kochaną Dolly!— przypomniała sobie nagle Mabela. — Skuzynowana z lordem Westlake, *you know*. Gałęź rodu Westlake'ów osiadła od dawna w hrabstwie Suffolk i wywodzi swój ród...

— Zapewne w cieniu tak starożytnego drzewa genealogicznego, wiosna ma wygląd jesieni.

— Nie, młodziutka. Nie rozróżnia jeszcze mężczyzn statecznych od... niepoprawnych »nowych włóczęgów«.

— Ot, dostał mi się guz! Uznaję się winnym i błagam o przebaczenie — błagał, całując rączkę i ramię coraz goręcej, aż Mabela szepnęła wreszcie:

— Dzieciak!

— Mniejsza o ród. Odkąd Hirsch'e i Sassoon'y stanęli u stopni tronu, arystokracya przestała istnieć. Istnieją tylko milionerzy: nasi i amerykańscy. Czy ona spokrewniona z milionami?

— Wszystko składa się według pańskich życzeń, ale muszę pana uprzedzić, że wydaje mi się czasami, iż trochę kuleje, lubo ubiera się...

— Ależ sławnie! Nie będzie mogła uciec odemnie tak prędko!

— Bez żartów! Tu chodzi o rzecz ważną.

— Naturalnie... bajecznie — mruknął, mrużąc ciemne oczy nieznacznie i, podczas gdy pani Hill

odrysowywała mu portret Dolly, obejmował wzrokiem pachnące zwoje włosów Mabeli, spoczywał na śniegach szyi, na zapłonionych licach i na ustach karmazynowych, co niby listki róży rozchylały się, spragnione rosy, i — nic nie słyszał o Dolly.

— Ah! — wybuchł wreszcie, jakby nie mogąc dłużej utrzymać na uwięzi rozsadzających go uczuć. — Śliczna moja, jednego, serdecznego całusa!... — dokończył błagalnym, płomienistym szeptem rozkochanego.

Chciał opleść ją ramieniem, lecz Mabela, cała w ogniu, odwróciła twarz stanowczym ruchem, cofnęła się w głąb siedzenia, rękoma odpychając napastnika. I rzuciła mu w oblicze szybkie wejrzenie, pełne lęku, wyrzutu i wzburzenia. Potem, nie mogąc znieść promienia, co godził w nią z głębi jego ciemnych źrenic, przymknęła powieki i zapatrzyła się w pustą ulicę. Zmieszana i zagniewana, wyszeptała z przerwami:

— Nieznośny! Jak się pan ośmiela...?... Przyrzekł pan być grzecznym. Ludzie patrzą...

Na ulicy nie było nikogo.

Przez chwilę oddychała w przyśpieszonem tętnie, aż wreszcie odezwała się, przychodząc do siebie:

— Rzeczywiście, pan nie bierze mych swatów wcale na seryo!! Gniewam się...

Zbity z toru, Frank milczał, zły na siebie, że niebacznie dał się unieść i wypadł z roli.

— Ależ zaręczam, że Miss Dolly... — począł wreszcie półgłosem i urwał.

— Czy zauważyła pani, jak pani Fox-Barnes

traci w balowej toalecie — ozwał się po chwili dyplomatycznie.

— Niewątpliwie jest jej więcej do twarzy w porannym stroju. Dziwi mnie, że pan to zaobserwował. Ciekawam, jak się panu będzie podobać Dolly. Postaram się, aby pozostawiono was na uboczu.

— Dzięki. Czy pani zupełnie zaniechała przejażdżek na rowerze? — zagadnął jednym tchem, widząc, że dorożka zbliża się do miejsca przeznaczenia.

Mabela zawahała się z odpowiedzią, zerknęła nań z pod oka, jakby pytając: »a będziesz ty grzeczny?« i po chwili ozwała się:

— Wybierałam się pojutrze o jedenastej z panią Fox-Barnes, ale wątpię, czy ona będzie mogła uwolnić się od gości. Potrzeba mi ruchu i tak stęskniłam się za tą cichą, cienistą drożyną... Muszę wkrótce odwiedzić to sielskie ustronie.

Kabryolet zatrzymał się w zadrzewionej ulicy przed obszernym domem, który, odsunąwszy się od sąsiadów, zawoalowany szumiącemi zcicha gałęziami rozsochatych drzew, spoczywał na ciemnym gazonie w głębokim śnie.

— Upominam raz jeszcze, aby pan rozmawiał jutro z Miss Dolly zupełnie na seryo — mówiła przezacna przyjaciółka, wysiadając.

Na odgłos dzwonka wyszła pokojówka, a za nią czerstwy, stateczny doktor Hill, mężczyzna w jesieni wieku.

— Jakże odbył się bankiet? — zagadnął pana Crofta.

— Przemówienia były arcydowcipne, obiad królewski, wina — pyszne. Prawda, pani Hill, że bankiet był istotnie świetny?

Ona przywtórzyła lakonicznie bezbarwnym tonem. Wydała się teraz śpiącą.

— Żałuję, że musiałem przerwać sobie obiad i wyrzec się tak miłego towarzystwa, ale — cóż począć? — mówił lekarz. — Zawołano mnie do jednego z mych najlepszych pacyentów. Zawodową pracę trzeba brać na seryo.

— Naturalnie, na seryo... — bąknął Frank z nieznaczną domieszką śmiechu w głosie.

Doktor Hill podziękował mu za »bezpieczne« odwiezienie do domu małżonki i prosił go do gabinetu na szklankę whisky z sodą, którą kończą się w Anglii wszystkie dzienne sprawy, lecz Frank wymówił się, pożegnał i spoczął znowu na poduszkach londyńskiej gondoli.

Z źrenic jego tryskały iskry, rój myśli uciekał w cichą, dyskretną noc majową z dymem papierosa i marzył.

Marzył, rozpromieniony, o tryumfie odniesionym nad sobą, nad zimnym rozsądkiem, stróżującym u wrót ziemskiego raju. Po krótkich zapasach pokonał go i wtargnął w bezgraniczny ogród swobody, gdzie żadna wewnętrzna siła nie powstrzymywała go od zrywania zakazanych owoców. Nawet zakochał się na łeb, na szyję w kobiecie, do Mabeli podobnej, ale młodszej,

jeszcze ładniejszej i gorący afekt odpłacającej mu w dwójnasób, miłością i uległością bez granic. Świat wypięknial i jakże wydał się... interesującym!

Lecz pasmo marzeń przerwała zdrowa myśl:

— Muszę jednak wypić do poduszki trochę whisky, bo źle bym spał po tem.

Światło na licach jego zagasło.

— Porywająca niewiasta — myślał — i jak zna się na starych sztychach! Ostatecznie jednak... pojadę do Buchary, bo w tym świecie duszno i, dalipan, człek staje się potwornie grzecznym...

III.

Z ALBIONU

Z MONOKLEM.

Ranek był mglisty. Chociaż wiosenne słońce strawia zwykle tumany londyńskich oparów, w zaraniu dnia tego pajęcza siatka popielatej szaroty zasnuwała widnokrąg, zacieniała fasady domów, wgryzała się w mury.

W parku Regent'a, rozlewającym się olbrzymim kręgiem na północy »miasta«, mgławice białawe wałęsały się bezładnie po długich szmatach nagiej zieleni i, zgrupowane w obłoczne, pierzaste fale, czepiały się wierzchołków drzew, czekając ciepła słonecznego czy raźnego podmuchu wiatru, niby iskry fantazyi, co miała je natchnąć, uskrzydlić i wysłać w podniebne sfery.

Zanurzony w topielisku park przemienił się w świat płynów powłóczystych, sennych, rozmarzonych, w zastygłe morze wilgoci; gdzieniegdzie tylko przezierały zielone plamy nieśmiało i majaczyły, jakby kredką narysowane, kontury wiązów i klonów, rozsypanych nad brzegiem stalowej tafli serpentynowego stawu.

Królewskie milczenie zawisło nad wszystkiem, cmentarna pustka legła nad miastem umarłych na srebrnym globie, nad którym płynęły smutki, smętki i sny wszechludzkie, zaklęte w korowody brzemiennych łzami duchów.

Mimo wilgotne powietrze, z uderzeniem szóstej Miss Kitty Clare wyszła do parku. Z tą anglosaską, pedantyczną punktualnością, z jaką codziennie o wpół do dziewiątej zasiadała do »swego« biurka w czytelni Brytyjskiego Muzeum, gdzie nie tyle z potrzeby, ile dla wypełnienia życia, fabrykowała dość zręcznie różne artykuły do czasopism dla kobiet, latem odbywała wczesną, długą przechadzkę przed śniadaniem, ze względu na więdnącą świeżość i uciekającą młodość.

Jak przed promiennem, światłodajnem zjawiskiem, pierzchały przed nią błędne widma, gdy pewnym krokiem postępowała żwirowym gankiem, brzegiem sadzawki.

Minąwszy mostek, stanęła. Pod jednem z drzew na zielonym pagórku spoczywał trochę skulony na lewym boku mężczyzna, oczywiście bezdomny włóczęga, który po nocnej wędrówce przyszedł wyspać się tu za wszystkie czasy, skoro tylko rozwarto furty parkowe. Zdradzało to obuwie, zmurszałe, osmolone, zbrukane straszliwie, z odstającą podeszwą.

Lecz ów włóczęga miał na sobie wytworny, popielaty kostyum, porządny, czarny kapelusz przysłaniał czoło i bladą, zmęczoną twarz śpiącego, a przed

piersią jego leżał na cienkim sznureczku uwieszony... monokl.

Co to znaczy?... Ten monokl! Nędzarz z monoklem?!... Serdeczny uśmiech zadrgał w kącie ust w pulchnej, skamieniałej w osłupieniu twarzy, aż nagle zaśmiała się na głos.

Monokl!... Więc był to Mr. Arthur Jewell, literat czy coś podobnego, którego widziała kilkakrotnie na popołudniowych przyjęciach w Ladieswriters club'ie. Podpadł jej wówczas w ciżbie gości przez swą dandysowską elegancyę i zainteresował ją kilku oryginalnemi zdaniami. I tenże świetny pan Jewell!... Niepojęte! Sławne!... Ha! ha!

Gdy zadzwonił śmiech wpatrzonej w lśniącą szybkę kobiety, śpiący żachnął się, stęknął, uniósł szybko rozczochraną głowę i, jakby przez dozorcę parkowego niedelikatnie zbudzony, zerwał się na nogi. Blady, nieprzytomny, spojrzał wielkiemi oczyma na młodą osobę, która w skromnym, słomkowym kapeluszu, w granatowej sukni stała przed nim wpółmartwa, przygwożdżona rozprzęgającem zakłopotaniem.

Milczenie.

W wylęknionych źrenicach mężczyzny zamigotał wreszcie brzask świadomości, i wstyd stupudowym ciężarem zwalił się na niego. Poczerwieniał, machinalnie, z przyzwyczajenia strzepnął żakiet, musnął dłonią czoło i, jakby w dramacie, wyszeptał mdlejącym głosem:

— *Miss Clare...*

I ona pokraśniała, odwróciła twarz. Długo szukała w zmąconej głowie słowa, aż w końcu, przywoławszy w pomoc cały zasób panowania nad sobą, wyrzekła:

— Istotnie zdziwiłam się niemało, że pan jest tak wczesnym gościem parku.

Odwróciła się i ruszyła zwolna z miejsca. On zaś nacisnął szybko kapelusz na bezładne włosy, utopił w kieszeni bułeczkę, która leżała przy nim w trawie, niepostrzeżenie wydobył brudną, zmiętą chustkę i, ocierając z czoła pot skrytym w dłoni łachmanem, postępował obok niej, a raczej za nią, ze zwarzoną miną pochwyconego na gorącym uczynku łobuza, który niechybnie ma dostać w skórę.

Wlokąc nogi, szukał słów wyjaśnienia, żuł je w ustach. Wreszcie, odrzuciwszy maskę konwenansów i czczej komedyi, ozwał się z gestem:

— *Well, Miss Clare*... Powiem poprostu: jestem nędzarzem, nie mam w kieszeni ani złamanego pensa...

Na moment przystanął, świadom ogromu swego wyznania, które, wypowiedziane głośno, przejęło go samego ubezwładniającą grozą. Przecież nie mieć pieniędzy jest najwstrętniejszą wadą i najśmiertelniejszym grzechem, zapierającym wrota do poważania i do nieba kulturalnego bytu.

Tak dekoltowane wyznanie stropiło pannę Clare. Zwiesiła głowę w milczeniu, a on ciągnął, targając nerwowo sznureczek monokla:

— Jestem nędzarzem... *vis-à-vis de rien*... cho-

ciaż... mam jakieś kilkaset funtów. Ale umieściłem je tak, że przed upływem roku nie mogę zaczerpnąć z nich ani pensa. A rok to dosyć czasu na umarcie z głodu...

— Nie rozumiem, dlaczego...

— Otóż... pewnego dnia przyzwałem do rady wzgardzony przeze mnie, a tak nasz, swojski, angielski zdrowy rozsądek, spojrzałem w ślepie nagiej larwy prawdy i powiedziałem sobie, że, żyjąc, jak żyłem, spadam z nieubłaganą koniecznością w kałużę nędzy, jak kamień, zrzucony z góry. Talent pisarski mam mały, anemiczny, nieproduktywny... Pracy boję się, jak ognia, zarobkować nie umiem, a przedewszystkiem... nie chce mi się serdecznie. Więc miasto z fatalistycznym spokojem fakira albo niepokojem skazańca oczekiwać spełnienia losów, zdobyłem się na akt heroiczny i... zostałem nędzarzem dobrowolnie... Przygotowuję się do oczekującej mnie nędzy, w tej myśli, że może wyleczę się z nałogowego próżniactwa i upodobania do szykownego zbijania bąków... Przed widmem nędzy uciekłem w jej objęcia...

Z pewną dumą podnosząc głowę, dorzucił głośno:

— A zaręczam pani, że to bardzo interesująca rzecz być nędzarzem...

Po pauzie tonem wypróbowanego histryona nadmienił jeszcze:

— Wiele więcej interesująca, niż tułać się po salonach w błędnem kole snobów, manekinów, półgłówków, przy świetle fajerwerków i rac, oświetlają-

cych świat nudów, nicości i ciemnoty. Dziś oglądam całokształt życia pod zupełnie innym, nowym kątem... i doświadczenie odkryło mi wielką prawdę, a mianowicie, iż dopiero wtenczas, gdy człowiek jest skazany na nagi, prostaczy byt, wyzbywa się sztucznych pragnień i aspiracyi i zdobywa ów spokój duchowy, który jest podstawą szczęśliwości ziemskiej...

— Ale z czego pan żyje?

— Cha! cha! — zaśmiał się nędzarz, bo pochlebiało mu, że stał się interesującym. — Jestem, jak one lilie na łące, co nie sieją... Ja i wszechświat!... Moje ja nad wszechświatem!...

— Ale z czego pan żyje? — powtórzyła pozytywna miss.

— To jest właśnie tak interesujące, że nie mam pojęcia, z czego żyć będę dziś, jutro... Wiem tylko, jak przebyłem ostatnie sześć tygodni, w których otchłań rzuciłem samego siebie, jak szczeniaka, skazanego na zagładę. Z czego żyłem — to długa historya. Co przeszedłem, widziałem, co myślałem, to inna, długa historya (nie przypuszcza pani, jak wiele człowiek myśli z pustym żołądkiem!). Opowiadam to wszystko w »pamiętnikach nędzarza«, które piszę, o ile uda mi się dorwać do tak luksusowych rzeczy, jak papier, pióro, atrament... Nie znam nic podobnego w literaturze. A pani?

Mówiąc to, wydobył z kieszeni i pokazał plikę zwiniętych kartek, zapisanych szczelnie drobnem pismem.

— Nic nie czytałam w tym rodzaju. Dlaczego

pan nie doręczy tego jakiemu wydawcy, który przecież chętnie zaliczyłby panu...

— Ha! ha! — śmiał się jeszcze podniecony tem spotkaniem nędarz, chociaż przenikały go nawskróś dreszcze z wyczerpania i rannego chłodu. — Wpadłem i ja na tę myśl, ale... czy nie rozumie pani, że przez to pozbawiłbym się dalszego materyału do »pamiętników«, wszedłszy w krąg nudnego, podłego, filisterskiego bytowania?

W czasie tej rozmowy weszli w kasztanową aleję, która długą, poprzeczną wstęgą przecinała szmat zieleni. Na niewielkiem, drzewami obramowanem boisku dla dziatwy stał stragan, w którym przekupień za ladą wycierał szklanki w oczekiwaniu rannych gości.

Miss Clare kazała podać dwie szklanki grzanego mleka.

Skoro ciepły kubek dostał się w skostniałe palce włóczęgi, zachlipnął chciwie mleka i ozwał się ze średniowieczną galanteryą:

— Nie przeczuwałem, że spotka mnie przyjemność odbierania śniadania z rąk tak miłej osoby.

Co za oryginalny, ciekawy nędzarz! — myślała panna Kitty, uśmiechem płacąc za komplement. — Jeśli w tym stanie gra jeszcze rolę dżentelmana, to jest nim w istocie. Inteligentny, przyjemny *causeur*. Ani słowa.

Zajęli miejsce na ławce.

— Niech mi pan zdradzi treść swych »pamiętników«.

— Ujmę ich stronę potoczną w dwa słowa. Najpierw w stroju arabskim sprzedawałem pomarańcze na wyścigowym torze w Epsom, udając, że nie umiem po angielsku. Zysk jednak nie był tak wielki, abym mógł był pojechać na inne meetingi, do Lewes, Newmarket... Próbowałem sprzedawać psy w Hyde-parku z ramienia pewnego handlarza pokojowczyków, potem zastępowałem niemieckiego garsona w knajpie na Eastendzie. Pisałem adresy w pewnem biurze po trzy szylingi za tysiąc... Sypiałem w różnych przytuliskach, między innemi w Armii Zbawienia. Dyżurny oficer rodzaju żeńskiego namawiał mnie gorąco do wstąpienia w szeregi salwacyonistów, ale prawienie morałów to nie *business* dla mnie, chociaż to tak łatwo i tak w życiu się opłaca...

— Pan się umartwia!

Mr. Jewell zamyślił się, wypił ze skupieniem dwa łyki mleka i odrzekł:

— Są dwa rodzaje nędzarzy: jedni nie mogą sobie kupić niczego, drudzy mogą kupić wszystko. Należałem do tych drugich, nie znałem najmniejszej prywacyi, nie znałem cierpienia. A czułem prawdę słów, których wielkość Oskar Wilde poznał zapóźno, w celi więziennej:

»Wer nie mit Tränen sein Brod ass,
Wer nie die kummervollen Nächte
Auf seinem Bette weinend sass,
Der kennt Euch nicht, Ihr himmlischen Mächte...«

A ja pragnę poznać te moce niebieskie, odnaleźć je w sobie, w oceanie bezdennej nędzy londyńskiej i na

dnie dusz nędznych... Pragnę doszukać się logiki w kolejach przeznaczeń i losów ludzkich, pragnę poznać życie i dowiedzieć się nareszcie, co to jest życie...

Z wzrastającem zajęciem Miss Clare wpatrywała się w wynędzniałe oblicze literata, a w jej praktycznej główce krążyły refleksye. Był to nędzarz z przyszłością i... z monoklem, którego nie trzeba sobie wcale lekceważyć. Może ów kubek mleka z rąk »miłej osoby« stanie się zawiązkiem blizkiej znajomości i zażyłości. Może...

Zachęcający uśmiech wytrysł na jej licu, ale on tego nie zauważył.

— A gdy w tych wędrówkach chce mi się pośmiać, wkładam monokl. Nie uwierzy pani, ile śmiesznych rzeczy można zobaczyć przez to szkiełko. I ile głupich...

Wychylił resztę mleka i powstał z podziękowaniem.

— Nie zechce pan dziś zjeść obiadu w naszym domu? — rzekła uprzejmie panna Kitty.

— *No, Miss Clare, thank you*... Nie jadam obiadów u znajomych, dopóki nie spadnę znowu na poziom dżentelmanów... Niech pani nie kłopocze się o mój obiad... Trafi mi się może zarobek u handlarza psów.

Uścisnął jej rękę z gestem salonowca.

— Nie zapomnę tego śniadania... Zobaczymy się jeszcze...

Skłonił się i odszedł aleją.

A Miss Clare spoglądała długo za popielatą jego sylwetką, z podziwem, który wreszcie spłoszył uśmiech, drgający wokoło ust i mówiący: »...z monoklem!«

OSZUST Z MIŁOSIERDZIA.

— Oszustów? Iluż to oszustów spotyka każdy kupiec, finansista, każdy człowiek na drodze życia — podjął niedbale mister Walter Ellis, właściciel znacznej firmy handlowej w City Londynu, gdy pewnego słotnego popołudnia siedzieliśmy we dwoje w czytelni literackiego Savage-clubu.

Puszczając kłęby wonnego dymu, z wyrazem zupełnego zadowolenia na twarzy, wodził okiem po tarasie Adelphi, Tamizie, jej wyniosłych, kamiennych brzegach, masach domów nadbrzeżnych — pięknym, u nóg naszych spoczywającym szmacie Londynu, który tego dnia jesiennego nurzał się w gęstym tumanie popielatej mgły, przepajającej atmosferę dojmującym chłodem.

— Znałem różnych oszustów — ciągnął kupiec, cedząc słowa, jakby senny nastrój obrazu, który miał przed sobą, pogrążał go w ogromnej ciszy wewnętrznej. — Znałem oszustów karanych i niekaranych, nałogowych i jednorazowych, oszustów z urodzenia, z powołania, z zamiłowania, z przekonania, z... koniecz-

ności czy nędzy, oszustów niedołęgów, mistrzów... artystów. Ocierałem się w życiu o nich w najprzeróżniejszych sferach, a było ich tylu, że gdy ta procesya, powstając z łożyska wspomnień, pocznie przeciągać przed oczyma duszy w bezkresnym pochodzie, zda mi się, że na ten stek złożyła się cała ludzkość i przesuwa się przez mgłę życiową gdzieś w dal... na dolinę Józefata.

— Ale był w tej galeryi jeden... — dorzucił mister Ellis po chwili i poruszył się w fotelu, jakby targnęło nim nagle żywe wspomnienie, potrącające o jakąś strunę duszy — jeden dziwny oszust... oszust z miłosierdzia.

— Pan nie czyta? — rzucił, odwracając się do mnie, a częstując mnie cygarem, dodał: — Opowiem panu o nim.

— Stawiałem naonczas pierwsze kroki w kupiectwie. Jako przedstawiciel pewnej wielkiej fabryki liwerpulskiej, odwiedzałem dwie dzielnice Londynu, lokując towar i inkasując należności.

Objąwszy to stanowisko, otrzymałem sporą plikę rachunków. Wszystko szło gładko, tylko jednego z dłużników niełatwo mi przyszło odszukać.

Wędrując po północnej części Estendu, przylegającej do słynnego siedliska nędzy, t. zw. Whitechapelu, zapuściłem się zgodnie z adresem w uliczkę ani nie najnędzniejszą, ani nie najbrudniejszą, ale szczególnie milczącą i martwą.

Zawędrowałem tam w poszukiwaniu niejakiego pana Browna, który według mego wykazu był winien

mojej firmie 22 funty. Dużo, jak na mieszkańca tej dzielnicy. Rzecz uderzająca, nigdzie nie było ani sklepiku, ani szyldu, wskazującego na istnienie jakiejbądź firmy. Ba! nawet *public-housu*, marnego szynku nie było na narożniku uliczki. Gdzież tu u dyabła upijali się obywatele? Co za przeklęta dzielnica?

Próżno szukając na murach napisu, który wskazałby siedlisko owej firmy, zastukałem pod wskazanym adresem i po długiej chwili otworzyła mi ciemno ubrana, siwiejąca, mizerna kobiecina.

— Gdzie jest biuro pana Browna?

Popatrzyła mi w twarz bystro łagodnemi oczyma i po chwili wahania wyrzekła z cicha:

— Zdaje mi się, że tutaj.

Wskazała najbliższe drzwi w brudnym kurytarzyku.

— Czy pani mieszka w tym domu?

— Tak... nie... — poprawiła się — przychodzę...

Zastukałem do wskazanych drzwi, ale nikt nie odpowiedział.

Odszedłem, aby powrócić za tydzień, dwa tygodnie i — odejść z tym samym rezultatem.

Poczęło mnie to irytować. Bądź co bądź, postanowiłem dotrzeć do owego pana Browna, więc przy następnej wizytacyi, gdy znowu grobowe milczenie odpowiedziało na moje stukanie, zamiast, jak zwykle, przed siódmą opuścić teren swojej działalności i pośpieszyć koleją na obiad, pozostałem w okolicy i raz jeszcze, około ósmej, począłem szturmować do tajemniczych drzwi.

I nareszcie otwarły się. Stała przedemną mała, obszarpana dziewczynka z umorusaną, zbiedzoną twarzyczką.

Znalazłem się w ciemnym, niemal zupełnie pustym pokoju, ale przez wpół uchylone drzwi ukazały mi się w drugiej izbie, przy słabem świetle lampy, dwa łóżka, stół, obok którego siedziała, szyjąc, znajoma mi już kobieta. Widocznie, mówiąc, że nie mieszka w tym domu, kłamała. Odkrycie to usposobiło mnie bardzo podejrzliwie.

— Czy jest mister Brown? — spytałem.

Na mój widok kobieta zmieszała się ogromnie i długo nie mogła wydobyć z siebie słowa.

— Nie... — bąknęła wreszcie. — Zresztą ja nie wiem...

— Jakto? przecież tu mieszka! Sama mi to pani potwierdziła.

— Tu jest jego biuro, ale gdzie mieszka, tego nie wiem.

— Biuro? Tu jest jego biuro? — spytałem, z niedowierzaniem lustrując pierwszą izbę.

Prócz stołu i dwóch krzesełek, zgoła nic w niej nie było.

W pomroku dostrzegłem dopiero po chwili dwa pudła, w jakich destylatorowie wysyłają wódkę.

— Służąc u pana Browna, musi pani jednak wiedzieć, gdzie mieszka i czy jest w domu.

— Nie wiem. Niech się pan spyta o to kancelisty.

— A gdzież ów kancelista? Nigdy go dotychczas nie spotkałem.

— Był chory przez miesiąc, ale teraz znowu ma bywać w biurze codziennie.

— Gdzie mieszka ten kancelista?

— Nie umiem tego powiedzieć, ale on tu będzie pojutrze.

Stojąc w progu izby, obejmowałem badawczym okiem izbę ubogą, ale schludnie utrzymaną. Dziewczynka, która otworzyła mi drzwi, wyjadała coś z garnuszka na uboczu przy żelaznym piecyku, a kobieta, siedząc, jak ją zastałem, przy szyciu, zerkała raz po raz na mnie oczyma blademi, w których czytałem wielki niepokój.

Nie dając po sobie poznać rosnących podejrzeń, zagadnąłem swobodnie:

— Mister Brown licho panią wynagradza, bo zarabia pani jeszcze szyciem sukienek.

— Nie mogę się skarżyć — bąknęła.

— Dzisiaj sobota. Powinien zatem przynieść pani zasługi.

— O! — rzuciła zaniepokojona znowu — pan Brown nie płaci mi, tylko jego zastępca.

— Ależ on był chory przez cztery tygodnie, jak pani mówiła, więc chyba...

— Ja pana Browna wcale nie znam! — przerwała krzykliwie skonfundowana, jakby przed sędzią śledczym.

— Nie zna pani swego chlebodawcy? To niepodobna.

— Służę u niego dopiero od dwóch tygodni.

— Jednakże przyjmował panią na służbę.

— Kancelista mnie przyjmował.

— Kancelista... który dwa tygodnie temu był chory...

— Tak, kancelista! Tak, kancelista! — powtórzyła z energicznym naciskiem.

— Jeżeli on jednak nie mógł wychodzić z domu, a przyjmował panią i płacił zasługi, musiała pani bywać w jego mieszkaniu — zauważyłem z nieubłaganą konsekwencyą.

— Przysłał mi on pewnego razu znajomą kobietę... zaraz z pieniędzmi... Zdaje mi się, że mieszka gdzieś przy Dorset street. On pojutrze tu będzie.

W tej chwili za memi plecami podniósł się gwar. Wpadły dwie obszarpane, bose dziewczynki. Przewinąwszy się jak koty obok mnie, wpadły w kąt oświetlonej izby i, rzuciwszy kobiecie głośne: »*Good evening*, *mrs. Burnham*«, wydobyły z za przypiecka garnuszki i poczęły świergotać, jak ptaki nad żerem.

— Ellen, ty pewnie wszystko nam sprzątnęłaś! — wołała jedna z nich gminnym żargonem londyńskim, łykając sylaby i — wielkie kęsy strawy.

Lustrując te ludzkie produkty wielkomiejskiej nędzy, które kiedyś miały być kobietami, czułem na sobie znowu wpół badawcze, wpół wylękłe wejrzenie pani Burnham.

Nim mogłem spytać, w jakim stosunku zostają te dzieci do niej, wsunęła się cicho, niby duch, kobieta.

Z pod szala brudno-brunatnej barwy, wydzielającego przykrą woń stęchlizny, wyzierała śnieżno-por-

celanowa twarz o rzadko regularnych, delikatnych rysach. Ale nędza wyryła na niej znamię: skóra niemal przezroczysta obciągała wychudłe, owalne oblicze, z głębokich oczodołów lśniły piękne, ciemno-szafirowe źrenice, łyskające fosforycznym, niezdrowym blaskiem. Oszpecał ją ślad pięści, zapewne mężowskiej — niebiesko-sina plama nad nabrzękłem okiem.

Stanąwszy pomiędzy mną a panią Burnham, szepnęła z cicha: »*Good evening*« — i dalsze słowa zamarły na cienkich wargach. Przypatrywała mi się, a dobrze ubrany człowiek widocznie budził w niej instynktowny przestrach, czy złe przeczucie.

Zapanowało między nami jakieś przykre milczenie; zgłodniałe dzieciaki tylko dzwoniły łyżkami.

— Mister Brown z pewnością dziś nie przyjdzie — rzekła pani Burnham, życząc sobie, abym poszedł do dyabła.

— A kancelista jego?

— Także nie.

— Szkoda — szepnąłem, nie dając jej wiary i nie ruszając się z miejsca.

W tej samej chwili niemal stanęła za mną ciemna postać mężczyzny.

Instynktownie wyprężyłem ramiona, gotów kułakiem odeprzeć ewentualną niegościnną akcyę pana domu, ale przybysz nie miał wcale groźnej postawy. Skoro światło padło na niego, uderzył mnie idealny wyraz twarzy jego, nastrojony na ton elegijno-religijny. Długi, wymięty surdut wisiał na wysokiej, wychudłej figurze, jak na haku.

— Mr. Brown? — zagadnąłem podstępnie.

— Nie, jestem jego »*clerkiem*«. A o co to chodzi? Jakby się domyślając, co mnie sprowadziło, poprosił mnie do tak zwanego szumnie biura, gdzie podałem swój rachunek.

— Mr. Brown podróżuje — rzekł — ale poślę mu ten rachunek i należność wyślemy.

Po krótkiej rozmowie poszedłem — nie do domu, lecz do biura policyjnego i kazałem przywołać detektywa.

Zaledwie wymieniłem adres tajemniczej firmy, ajent roześmiał się szeroko.

— Już wiem, o co chodzi. Oczywiście Brown jest osobistością fikcyjną, kancelista zaś, którego pan widział, podszywa się wobec kupców pod tę firmę i praktykuje w tej dzielnicy oddawna oszustwa na coraz innych domach handlowych. Jest to pospolity *long firm fraud*.

— Ten kancelista, powiada pan? — zagadnąłem niedowierzająco, bo mimo wszystko, wyanielone oblicze kancelisty podziałało na mnie ujmująco.

— To pospolity oszust — zapewnił tajny policyant — towary wyłudzone sprzedaje za pół ceny lub zastawia w lombardach. Pańska firma nie była pierwsza, ale może być ostatnia, jeśli pan zechce wziąć tę sprawę w rękę. Należy zwrócić się do urzędu skarbowości z prośbą o pokrycie kosztów sprawy sądowej. W tym przypadku niezawodnie *treasury* zgodzi się, bo ów Brown dosyć już nabroił. Ja ze swej strony zawiadomię inne pokrzywdzone firmy,

aby petycyę pańską poparły, i postaram się o nakaz aresztowania oszusta.

W kilkanaście dni potem wszystko było tak dalece gotowe, że pozostawało tylko przytrzymać Browna i zamknąć go pod kluczem. Ale czy wprawny oszust czekał spokojnie tej chwili? Czy nie wyniósł swych penatów w inną dzielnicę?

Gdy wyraziłem mu obawy w tej mierze, ajent polecił mi pójść do Brownów i upomnieć się o pieniądze, jak poprzednio.

Przeczucia nie omyliły mnie: »Kancelista pana Browna wyjechał kilka dni temu na prowincyę za interesami« — powiedziano mi. Uciekł zatem, przepadł jak kamień w czeluściach kilkumilionowego miasta...

— Niema go! — zawołał ajent, wyczytawszy wszystko z mej twarzy.

— W istocie, możemy dać za wygraną.

Na to ajent uśmiechnął się.

— Kto panu otwierał drzwi?

— Owa stara kobieta.

— Jego żona. Dobrze.

Zamyślił się, potem szepnął:

— Dziś czwartek. Schwycimy go w sobotę pod wieczór.

— Tak pan swojego pewien?

— Gotów jestem zrobić zakład.

— Ciekawym.

— Jeśli pan ciekaw tego aktu, to proszę przybyć tu w sobotę o zmierzchu.

Zbytecznie nadmieniać, że stawiłem się co do minuty. Zastałem ajenta przy pracy.

— Sprawa Browna! — zawołał, przerywając zajęcie.

— Pan o wszystkiem zapomniał?

— Mam kilka zawiłych spraw — odparł — ale bądź pan spokojny; najbliższą noc Brown spędzi w więzieniu.

Zamknąwszy w szafie zegarki, które oglądał uważnie, gdy wszedłem, przywołał jakiegoś młodego człowieka, ubranego, jak on sam, po cywilnemu, i wyprawił go ze zleceniem, poczem ruszyliśmy.

— Czy pan w tej chwili wie, gdzie przebywa Brown? — zagadnąłem.

— Nie wiem.

— Więc skąd ta pewność?

— To proste — odrzekł ajent z filuternym uśmiechem — ot, ów Brown to porządny człowiek. Nie pije, chodzi do kościoła, dba o czystość. Na niedzielę zatem musi mieć świeżą koszulę. Oddalając się z domu, polecił żonie, aby mu ją przyniosła na umówione miejsce i na oznaczoną godzinę. W tej chwili oszust nic nas nie obchodzi. Trzymamy się pięt jego żony.

— W istocie prawdopodobne.

— Pewne. Z koszulą, czy bez koszuli, ona spotka się z nim dziś z całą pewnością, bo to dzień wypłacania zapomóg.

— Zapomóg!

— Wspomagają oni całe grono nędzarzy. To ich namiętność, ich *craze*.

Zrozumiałem teraz, że nędzarka i trzy bose dziewczynki, które spotkałem w jego mieszkaniu, nie byli sąsiedzi, posługujący się jednym piecem z Brownami, lecz nędzarze, wspomagani przez — oszusta.

— Co to za człowiek? — spytałem ciekawie.

— Ot, oszust z miłosierdzia. Odziedziczył sklepik korzenny na East-endzie. Z początku szło, potem jednak popadł w manię religijną, ożenił się ze starszą od siebie kobietą, która z ramienia jakiegoś stowarzyszenia dobroczynnego zajmowała się nędzą, wnet począł co sobota rozdzielać większą część swych zysków tygodniowych, niebawem większe sumy, w braku pieniędzy towary, a gdy bankructwo zajrzało mu w oczy, pewnego poranku rozdał wszystko, co miał w sklepie, i znikł. Było to pierwsze oszustwo. Nie miał z czego żyć, a co gorsza dla niego, ludzie wyciągali do niego rękę, więc... Ale musimy się teraz rozłączyć. Niech pan trzyma się za mną w odległości pięćdziesięciu kroków i nie zbliża się, póki nie dam znaku.

Jak zwykle na obławie, tajny policyant, idąc, starał się nadać sobie pozory najzwyklejszego, niczem szczególnie nie zajętego człowieka.

Rzekłbyś: zwykły filister, powracający do domu. Sobota, więc nie śpieszy mu się. W chodzie jego i całej postaci było coś przedziwnie, skończenie zwyczajnego, nieuderzającego. Istny lis.

Nie spuszczając go z oka, postępowałem z ciężkiem sercem. Wyznaję bowiem, że jakiś niesmak zakradł się do mnie; byłbym wolał, aby kto inny przy-

kładał rękę do pojmania tego oszusta, który potrzebny był do życia ubogim.

W pobliżu mieszkania Brownów przewodnik mój zatrzymał się przy opustoszałym skwerze, długo zapalał fajeczkę, uszedłszy leniwie kawałek drogi, poprawiał sobie rzekomo cisnący go but, potem znowu zapalał wygasłą fajkę, aż rozpoczęła się wędrówka w labiryncie ulic East-endu.

Powoli gwar wieczorny ogarniał miasto.

W sobotę wieczorem, skoro mrowisko pospólstwa wyleje się z fabryk, powypełza z nor, by wałęsać się po chodnikach w jakiemś podnieconem *dolce far niente*, ulica zamienia się w publiczny przybytek zabawy, tłum upaja się grą świateł, zaduchem frytur, wódki i piwa, zelektryzowany prądem rozbudzonej żądzy życia. Jesteśmy tu w wirze hulaszczych, gminnych żywiołów, w odmęcie rozkiełznanych wódką instynktów, w piekielnym ogniu zbiorowych namiętności, w zaprzepaścistej orgii, z której, zda się, niema wyjścia, ratunku. Z łuną świateł płyną w mrocznej przestrzeni wstrętne odbłyski obnażonej natury ludzkiej, a przechodzień, zbłąkany o tej porze w dzielnicy wschodniej, stąpa niby w piekle dantejskiem wśród nieestetycznych portretów i obrazów pijaństwa i brutalności, ścigany widokiem i hałasem scen małżeńskich, kłótni i bójek. Istne piekło. Tak, piekłem jest wielkie miasto, gdy nędza z wyuzdanym śmiechem wyszczerzy zęby, gdy pocznie hulać w dzikiem rozpasaniu, gdy rzucisz okiem w pieczarę wielkomiejskiej duszy.

Wśród ciżby ulicznej musiałem nieraz łokciami torować sobie drogę i przyśpieszać kroku, by nie stracić z oczu ajenta, który nagle wmieszał się w grono gapiów, grupujących się w wylocie uliczki u boku lśniącego szynku, reklamującego się odbłyskami okuć mosiężnych.

Co ich przykuwało do miejsca, nie mogłem zrazu odgadnąć. Aby upewnić się, że nie zmyliłem drogi, rozejrzałem się za mym przewodnikiem. Stał w potulnej postawie na chodniku, szukając mnie oczyma.

— Jesteśmy u celu — bąknął z uśmiechem.

Spostrzegłem teraz człowieka, którego ajent wyprawił przodem, a opodal niego cichą, pokorną postać żony Browna, która, wpleciona w stek młodych, rozczerwienionych, bezczelnych twarzy, wydawała się zjawiskiem z całkiem innego, zakonnego świata. Ale gdzie był Brown?

Ponad wiankiem gawiedzi górowała nikła latarnia, osadzona na palu, który trzymał młodzieniec o ascetycznem obliczu, z pliką pamfletów, wyzierającą z kieszeni. Sądziłem w pierwszej chwili, że to misya »ligi niedzielnej« odprawia swoje dewocye, gdy wpadła mi w oko wysoka, chuda postać, z twarzą zacienioną dużym kapeluszem. Mężczyzna, wstąpiwszy na stołeczek, zaczął coś prawić głośno, zwrócony w stronę szynku.

Ten głos, ta sylwetka — to był Brown.

— Bracia w Chrystusie! — krzyczał może po raz setny. — Idziecie do *public-house*, a czy pamiętaliście o dziatkach waszych? Czy stanie im strawy

przez cały tydzień? Czy za piwo wasze nie zapłacą one głodem? Czy zabawa wasza nie przyniesie im zgorszenia w domu? Czy owieczek boskich nie zaprzedajecie w szynkach czartu?... Bracia w Chrystusie! Macie za wiele grosza, dajcie koprowinę dla tych maluczkich i nędznych...

Wtem...

— Stul gębę, wyblakła sowo! — huknął jakiś pijaczyna i pieczony ziemniak, świsnąwszy w powietrzu, zabrzęczał o szybę szynku.

Jednocześnie ajent pociągnął mnie za sobą i, skoro znaleźliśmy się w »salonowym« przedziale *public-house'u*, szepnął mi na ucho:

— Tu poczekajmy. Brownowa gotowa pana spostrzedz, domyślić się, uprzedzić męża i wywołać popłoch. On musi tu mieć przyjaciół. Pomogliby mu do ucieczki, a ulicznicy tutejsi mają swoje sposoby, różne sposoby...

— Przyjdzie nam długo czekać, bo on zapewne do samej północy będzie tu zbierał grosze.

— To nie potrwa długo. Brownowa czeka na pieniądze dla swych ubogich, więc lada moment przerwie on swoje kazanie i puści się z nią w uliczkę, na ubocze. Widział pan pakiecik w jej ręku? — ciągnął ajent — nie omyliłem się, przyniosła mu świeżą koszulę. To porządny człowiek ów Brown. Rok lub dwa posiedzi za to pod kluczem...

W tej chwili wpadł jego pomocnik i bez słowa nerwowymi gestami wywabił nas na ulicę.

W rzeczy samej, jak przepowiedział ajent, Brown

z żoną i jakimś małoletnim towarzyszem, zmierzał powoli w głąb uliczki o jednopiętrowych domkach. Wyniosła figura jego majaczyła przed nami, jak plama na szarem tle, tu i owdzie nacentkowanem promykami świateł.

Gdy ajent, idąc za śladem Brownów, zbliżał się do nich nieznacznie, młody adept sztuki policyjnej przebiegł chyżo na drugą stronę ulicy i począł biedz przed siebie, jakby uciekał.

Mimowoli Brownowie zwrócili głowy w jego stronę, gdy raptem uciekający zawrócił, skoczył ku nim z okrzykiem: »*Help!*... ratunku!« i w zapędzie wpadł na Browna. Jednocześnie ajent skoczył jak kot i w okamgnieniu trzymał rękę na ramieniu oszusta.

Pośpieszyłem do nich.

Wzrok ujętego padł na mnie, wpił się we mnie w osłupieniu, potem na sinej twarzy jego osiadł surowy wyraz, który pogłębiał się, nabierał tonu skrępowanej wściekłości, aż, łysnąwszy okiem, począł wyrzucać zachrypłym głosem:

— To pan... Mógłbym wam niejedno powiedzieć... objaśnić... mógłbym wam... wy!...

Tu fala szalonej nienawiści uderzyła mu do gardła i stłumiła głos. Zdawało się, że rzuci się na mnie, ale stał bez ruchu, niemal udrapowany w milczeniu.

Głośne szlochanie żony widocznie poczęło działać na napięte jego nerwy. Skurcz oblicza ustąpił, począł strzydz powiekami, zaszła w nim zupełna metamorfoza, ciche łzy puściły się mu z oczu i, jakby inny

człowiek, przemówił do mnie lirycznym głosem, w którym drgały błagalne tony ogromnej dobroci:

— Panie! Moi nędzarze czekają na pieniądze, a ja zebrałem dla nich tak niewiele... Czekają na mnie... Czy pan to rozumie? Czekają... Zrobił pan swoje, jako kupiec, teraz niech pan postąpi, jako Anglik, jak dżentelman i... zastąpi mnie dzisiaj... chociaż dzisiaj tylko, przyjdzie im z pomocą... Czekają...

Wcisnął mi w dłoń trochę pieniędzy...

Tu mr. Ellis przerwał opowiadanie i zaczął zapalać cygaro.

— I co pan uczynił? — spytałem.

— *Well*... — wycedził po długiej chwili zbywająco — cóż miałem począć?...

MORDERCA.

Puściłem wiosła. Łódź sama mknęła chyżo po wartkich głębiach Tamizy, usłana w jej tafli rozkosznie, jak muszla w piaskach, obleczona w nocne cienie, wtopiona w najciemniejsze szafiry wód, niby podzwrotnikowych. Mknęła cicha, łabędzia, ukołysana w noc bezksiężycową — gdzieś w mroczny świat baśni, guseł i duchów.

Niekiedy padały na nas — na mnie i łódź sportową olbrzymie pasma cieniów grobowych od gigantycznych topoli nadbrzeżnych, które, zakute w milczenie, wyciągały do nieba w bezsilnej a strasznej rozpaczy pomstujące — ramiona. Konary ich, jakby zwęglone, zwieszały się ze sklepienia, podobne do jakichś zjawisk apokaliptycznych z rozczapierzonymi, żądnymi krwi pazurami. Raz wraz majaczyły wśród drzew widziadła murów, szybował nietoperz lub gołąb spłoszony.

Na lewym, płaskim brzegu rzeki usłało się obozowisko wil, wtulonych w zaciszne ogrody i składało się na rozlewną osadę Twickenham, o dziesięć mil

od Londynu odległą i zapatrzoną na dumne wzgórze Richmondu, panującego nad sielską Tamizą.

W tę północ lipcową krajobraz spowity był w pajęczyny snu i ciszy tak głębokiej, przewspaniałej, że dusza ludzka, struchlała, ukojona tchnieniem przyrody, kładła się w pokorze na fali i płynęła w tajnie przyszłości z ufnością uśpionego dziecka, nad którem szczęście schyla się z matczynym uśmiechem.

Brzdąkając nieśmiało na mandolinie, jakby nie chcąc obrażać majestatu ciszy boskiej, piłem dyskretne tony strun i nuciłem z cicha serenadę, jak zwykle w owe kochane wieczory, które prześniłem w willi w Twickenham, zdala od zgiełku, od małych spraw, od małych ludzi.

Willa ta, osiadła w wianku zieleni opodal brzegu, należała do rodziny, która, wyjeżdżając zagranicę, odnajęła ją mnie i memu przyjacielowi na trzy miesiące. Wracaliśmy do niej z »miasta« pod wieczór koleją, jak do prawdziwego *buen retiro* i po zachodzie słońca siadaliśmy w czekającą na brzegu ogrodu łódź, by rozprężyć członki, pohulać po wodach, by myśleć głośno, snuć refleksye na temat sztuki, piękna i miłości, by odnaleźć siebie i owe mgliste utęsknienia czy przeczucia cudne miłosnego szczęścia, które są najszczytniejszą, niepokalaną cząstką miłości. Były to kochane wieczory błogosławionego wypoczynku duszy, nadświatowego bytowania i tęczowych rojeń. Najukochańsze wieczory...

Było to niebo życia...

Tego wieczora byłem sam na rzece i w willi.

Zbliżała się północ, gdy przywiązywałem łódź do pala.

W tym momencie doleciały mnie z za krzewów przelotne głosy. Kilka świateł mignęło wokoło willi i w jej oknach, które pozostawiłem czarne. Co się stało?!

Zaintrygowany, pośpieszyłem do willi.

Jakby tajemnicze błędne ogniki, łysnęły w górnych jej oknach światełka i znikły. Na schodach willi zastąpiły mi drogę dwie lampą oświetlone niewiasty: moja gospodyni i inna kobieta, z przerażeniem w źrenicach. Poznałem znajomą twarz stróżki z sąsiedniej willi. Jedna przez drugą poczęły zarzucać mnie urwanemi zdaniami:

— *Goodness, sir!* — woła gospodyni. — Wielkie nieszczęście stało się obok! Morderstwo!

— *Yes, sir, murder, murder!...* — powtarzała sąsiadka nawpół przytomna. — Mister Burns zamordowany!... Pani Burns bez życia.

— Umarła ze strachu.

— Tak, ze strachu. Leży na podłodze bledziuchna, sina... *Goodness me,* siwe pukle ma tak ślicznie uczesane, jakby miała pójść do kościoła. I w uszach ma swe piękne, złote kolczyki...

— Co znaczą te głosy? Te światła? — wpadłem w potok niewieścich słów.

— Szukają mordercy. Stróż z willi państwa Burnsów pobiegł zaraz na *policestation.* Przybyło kilku ajentów policyjnych z latarkami i poszukują go w krzewach, willach i...

W tej chwili ukazał się w progu willi *policeman* z latarką na piersi i, domyślając się, kogo ma przed sobą, począł flegmatycznie, jakby raportując:

— *Excuse me, sir*. Zakłócamy panu spokój nocny, lecz... wie pan już zapewne, co zaszło w willi Mayfield. Morderca ugodził sędziwego pana Burnsa w ciemię jakimś ostrym przedmiotem, zabrał gotówkę, portfel. Reszty zrabować nie zdołał. Spłoszył go stróż, więc czmychnął.

To mówiąc, policyant zajmował przy nawpół otwartych podwojach takie stanowisko, by w danym razie mógł z nienacka pochwycić wypadającego przez nie złoczyńcę. Zauważyłem także, że o kilka kroków przed domem stał na posterunku inny policyant, ukryty w krzewach bzu, i zdał się nie spuszczać z oka balkonu parterowego. Jak sobie przypomniałem, szklane drzwi, łączące ten balkon z jadalnią, były przed mym wyjazdem na rzekę zamknięte, ale nie zaryglowane.

Przez długą chwilę staliśmy wszyscy bez słowa, bez ruchu, jakby zamarli, w oczekiwaniu jakiegoś nieuniknionego... piorunującego zdarzenia.

— I cóż? Nie znaleźliście w naszej willi śladu zbrodniarza?

— Nie, ani śladu.

— A czy widział go kto na oczy?

— Widział go stróż z willi Mayfield, który o mało nie przydybał go w gabinecie zamordowanego. Ma to być dość wątły, blady brunet. Skoro pojawił się stróż, wyskoczył oknem. Stróż za nim. Morderca rzucił się

w prawo, snadź nie wiedząc, że z tej strony wznosi się wysoki mur. Tu mógł był stróż pochwycić go, lecz stchórzył, gdy zbrodniarz łysnął nań ślepiami i huknął: Zabiję!! Wziął tedy nogi za pas i pobiegł po nas. Najpewniej morderca zwrócił się w tę stronę.

— Mógł przecież wybiedz na drogę, teraz zupełnie pustą.

— Posłaliśmy tam natychmiast obławę. Jeśli go niema tu, ani w dalszej willi, to ratował się ucieczką wpław. W tym wypadku... przepadł nam.

Znowu zapadło czarne jak kir milczenie, chociaż usta wstrząśniętej do głębi stróżki drgały jak listki. Lecz niebawem zatupotały po drewnianych schodach ciężkie buty dwóch stróżów i policyanta, którzy schodzili z piętra do przedsionka po bezskutecznych poszukiwaniach.

Jeszcze wszyscy razem obeszli mury willi, potem zapuścili się w ogród, obejrzeli płot, dzielący go od willi z lewego boku, i znikli gdzieś poza nim w cieniach nocy.

Śledziłem za nimi z balkonu.

Przez kilka minut rozbrzmiewało jeszcze trajkotanie dwojga niewiast, potem głucha cisza oblokła nadbrzeżne ustronie.

Jakby pod wrażeniem trzęsienia ziemi czy piorunu, spoczywałem na balkonie w biegunowem krześle, niejako wtopiony w krwawą otchłań tego wypadku.

Obok w jadalnym pokoju paliła się na stole lampa, oświetlając niezbyt wielką przestrzeń i zapuszczając się w ciemny otwór drzwi, rozwartych na oścież do sąsiedniej fajczarni.

Wszystko spało.

Nagle szelest z głębi mieszkania przeszył mnie prądem galwanicznym, zbudził, spotęgował moją czujność. Wzrok i słuch mój napięty skierował się w czarną taflę drzwi fajczarni, z której wychyliła się prawie bez szmeru, jakby z grobu, ciemna, niewielka figura z chudą, smagłą, jakby irlandzką twarzą, o płonących jak żagwie oczach.

Dwa te fosforyczne płomyki patrolowały podejrzliwie jadalnię, poczem wśród ciszy, brzemiennej straszną powagą, upiór wysunął się naprzód na cienki dywan, pokrywający całą podłogę, i w tym momencie morderca spostrzegł mnie na balkonie.

Zapaliły się w jego gorączkowych ślepiach dwie błyskawice, ugodziły we mnie. Lecz nie ruszył się. W jednej sekundzie on zlustrował mnie, stwierdził, że to nie pościg, a ja, ścisnąwszy instynktownie pięści, trwałem w siedzeniu, wyprężony, gotowy do skoku nie wiem czy w ogród, czy na niego. Świadomość mego położenia zakrwawiła mi się przed oczyma, jak czerwona chusta, lodowaty dreszcz ściął mi krew, zaparł oddech w piersiach. I nagle wyrodziła się we mnie i porwała mnie za głowę wściekłość. Więc skrzyżowały się nasze spojrzenia, jak szpady przed wielkim pojedynkiem na śmierć. Lecz on wpił się we

mnie wampira ślepiami i, trzymając tem spojrzeniem w szachu, rzucił mi syczące:

— *Stop or I murder you!* Stój, albo zamorduję!...

Byłem zaklęty.

— Zamordowałeś pana Burnsa! — cisnąłem przez zęby w twarz jego, napiętnowaną dziką determinacyą, skurczem tragicznym.

— Tak... zamordowałem... zamordowałem...

Sylaby, drgające odcieniem chełpliwości, jakby złomy padały ciężko, powoli, głuchym grzmotem odzywając się w sklepieniu duszy.

— I... zamorduję każdego, kto mi wejdzie w drogę... Trzeba mi krwi... krwi... Trzeba trupów, wiele trupów plugawych przeklętego trądu ludzkiego... Ach!

Wykrztusił to bez głosu, z maską furyata, we wściekłem zapamiętaniu, w zenitowej ekstazie, w dyabelskiej żądzy. Uniosła się jego wązka klatka piersiowa, by zaczerpnąć tchnienia nowych ognistych płomieni, upić się żarem. Ręce czerwone, kościste, wystające jak piszczele ze zbyt krótkich rękawów, drżały mu febrycznie — te ręce, które mordowały. A potem wzniósł je obie w kułak, niby sękate pałki, cały wibrujący namiętnością, zmieniony w kłęb nerwów w konwulsyi, w jakiegoś strasznego demona.

— Nienawidzę, nienawidzę... wszystkich — zasyczał, jak gad wściekły.

Był wcieleniem klątwy, kolosem nienawiści, i zdało się, że od potęgi woli jego zatrzęsie się glob

cały i strąci z grzbietu wszelkie mrowie ludzkie, bo on w duszy mordował wszystkich.

Wielkiemi oczyma pochłaniałem to upiorowe, krwią ludzką cuchnące zjawisko patologiczne, które, niby krwawa pochodnia, wtargnęło brutalnie w srebrną noc letnią, by ukazać mi nagle na tle księżycowego pokoju dni mych rozkołysanych ohydną larwę... piekła życia.

Wyrzekłem półszeptem:

— Czemu to morderstwo?

Zerknął mi szybko w oczy, potem obiegł wzrokiem pokój, nadsłuchiwał chwilę, wsparty drżącą ręką o stół, aż wreszcie cyniczny uśmiech zamigotał na jego licach, pochylił głowę i mówił tajemniczym szeptem:

— Powiem... Zamordowałem właśnie jego, jako ojca »dzikiej Jessy z Bermondsey«, która potrzebuje pieniędzy. Niech jej dostarczy ojciec — ten stary, podły, on wyznaczał jej tylko funta renty tygodniowej, pokryjomu przed żoną, przed dziećmi, jakby ona nie była także jego dzieckiem. Zostawił ją u matki — pijanicy, na ulicach East-endu... z funtem. To dosyć, by nie zdechnąć, by nie pracować, ale nie dosyć, by żyć... wesoło. Nie mogłem dłużej słuchać jej klątw na tego łajdaka. Chciałbym go, psia krew, zamordować raz jeszcze, zanurzyć łapy w trzewiach tłustego brzucha... Chciałbym mordować jeszcze... To rozkosz naj-prze-cud-niej-sza...

Zadźwięczał cicho szatański akord morderczego

upojenia. Tocząc po ziemi błędnym wzrokiem obłąkańca, wyszeptał do siebie jeszcze:

— Teraz zamorduję ją... tę rozkosz...

Powiewem motylowych skrzydełek rozpłynął się szept, niby echo czyścowego jęku, storturowanej, przegryzionej duszy, i zdało mi się, że zabłąkał się tu cień zagrobowy, by uchylić rąbek na sfermentowane czeluście biednej duszy ludzkiej, na ocean piekielnych katuszy.

Milczenie legło kamiennem wiekiem na naszych głowach.

Niespodzianie morderca oprzytomniał i, zanim spostrzegłem się, prysnął obok mnie, spuścił się, jak kot cicho, z balkonu i przepadł w zaroślach, gdzieś w kierunku rzeki.

Przetarłem oczy. Byłaż to rzeczywistość czy wizya piekła życia na tle nieba?...

Nie wiem; wszystko, co minęło, jest snem...

Księżyc wypłynął majestatyczny i przezierał złote oblicze w źwierciadle rzeki, ścieląc na świat wstęgę pokoju — błogosławieństwo.

GAŁĄZKA JEMIOŁY.

Stary farmer Martin Wood wyszedł ostatni z ubożuchnej kapliczki baptystów na krańcu york'skiej mieściny Bacup, położonej o kilkadziesiąt mil od Manchestru, w zagłębiu wyniosłych, rozfalowanych wzgórz, otulonych puszystym kobiercem przedziwnie soczystej, głębokiej w tonie zieleni.

Mister Wood wyszedł trochę zamroczony, bo nauka nowego pastora wydała mu się zbyt pobieżną, nie dość odczutą, namaszczoną, i kroczył powoli z marsem na czole, chociaż zwykle na jego smagłej, ogorzelizną chłopską pokrytej, kościstej, chudej twarzy, uczucia nie odbijały się wcale. Zimne, dumnie narysowane jego oblicze anglosaskie było raz na zawsze zakrzepłe pod jakiemś poważnem zaklęciem i teraz, gdy w długiem, ciemnem palcie, z pod którego wystawał śnieżny kołnierzyk, pod starannie wygoloną brodą wywinięty i czarnym *halsztuchem* owinięty, stąpał wyprostowany, jak świeca, niemal wykrygowany, podpierając się zlekka koszturem. Szło przed nim poczucie godności, niby amerykańskiego buss'a,

i biły od niego sine zorze granitowej siły męskiej. Z pewnością tak samo szedł przez życie: powoli, z flegmą, rozwagą, prosto przed siebie, pewnym krokiem, gotów sam jeden stawić stalowe czoło burzy.

Cisza wiała z miasteczka. Świąteczny wypoczynek legł na wszystkiem, nikłe tętno życia przymierało zupełnie. Tylko w pobliżu sklepów korzennych snuły się jeszcze rzadkie postacie, obładowane paczkami przyborów kuchennych i smakołyków na święto Bożego Narodzenia.

Za miastem stary farmer opuścił bity gościniec i począł piąć się ścieżynką na wzgórze, poza którem spoczywała jego farma, wtulona w rozlewny parów, gdy nagle wpadł mu w oczy młody, samotny dżentelman na urwistym krańcu wyniosłości, zawieszonej nad drogą — przystojny, wygolony blondyn, w nieodzownym cylindrze handlowca. Stał ze skrzyżowanemi na piersiach rękami bez ruchu, zatopiony w cichej kontemplacyi pejzażu, skąpanego w blaskach zachodzącego słońca.

Strugi rozpalonej purpury, rozlane na nieboskłonie, pożyłkowane ognistymi konturami archipelagu jakichś wysp czarownych, otoczyły tęczą śmiałą linię wzgórz tak, iż zdało się, że opary wyłaniają się z posłania cudnej, jakby złotem nasiąkłej zieleni, do której odtworzenia pejzażysta musi szukać niezwykłych barw na palecie. Krajobraz pięknej wsi angielskiej, rozkwitający nawet o tej porze roku pod tchnieniem odchodzącego kochanka ziemi, pełen kolorystycznych efektów, pogłębiał się w tonie, nurzał nie-

znacznie w gazy żałobnych fioletów, słaniając się w czarne ramiona nocy.

Żałość osiadła na licach młodego dżentelmana. Jakby z żalem żegnał umierający dzień przedświąteczny, co zastał go zdala od rodzinnego kraju, od rodzicielskiego *home'u.*

Miał pierwotnie zamiar spędzić Christmas i następujący po nim Boxing-day w Manchestrze, lecz czy tu czy tam, wszędzie czekało go osamotnienie w hotelowych pokojach. Pozostał w Bacup, pod wrażeniem złotowłosej dziewczyny, jaką spostrzegł poprzedniego dnia, gdy czyniła zakupy, i przeprowadził oczyma aż na to wzgórze.

Ona zauważyła go także kręcącego się w pobliżu sklepów, do których wstępowała. Raz i drugi pochwycił żywe promienie jej miłych, szafirowych oczu, które snać odgadły w jego źrenicach podziw i uwielbienie, bo, zalęknione, przysłoniły się długiemi rzęsami.

Zwykle Mr. Arthur Barrie nie tęsknił i nie miał czasu tęsknić za matką, rodzeństwem i domowem ogniskiem. Od szesnastego roku życia, uganiając się jako wojażer po miastach i miasteczkach, gdzie panował dolar, przywykł do koczowniczego trybu życia, ale wielkie święto rodzinne spędzał u matki, która nie zapominała wtedy postawić przed nim półmiska deserowych osmażanych owoców, za jakiemi przepadał jako chłopiec. Poczciwa, dobra matka!... Teraz wylatuje sercem i myślami do swego Arturka z żalem, że po raz pierwszy zabraknie przy biesiadzie świątecznej jej najdroższego »chłopca«, rzuconego za ocean.

Na myśl o matce dalekiej, stęsknionej, wołającej go sercem, osierocony wędrowiec westchnął, z życzeniem, aby odchodzące za Atlantyk słońce zaniosło jej i złożyło na piersi to ciche echo synowskiego przywiązania. Tęsknota za domem splotła się z tęsknotą za złotą nieznajomą, nastrój wieczorny rozprzęgł włókna sercowe i po raz pierwszy przystąpiło do młodego jankesa nieznane uczucie osamotnienia, smutku.

Przechodząc obok niego, Mr. Wood popatrzył w przymgloną twarz młodzieńca, uszedłszy kilka kroków, przystanął, jakby tknięty nagłem postanowieniem, zawrócił się i zbliżył do nieznajomego.

— *Excuse me, sir* — rzekł. — Przepraszam... Pan smutny... Czy mogę panu w czemkolwiek przynieść ulgę?

Mr. Barrie spojrzał w poważną twarz farmera wielkiemi oczyma.

— *No*... — bąknął odruchowo i uciął, pod wrażeniem zdumienia, graniczącego ze czcią wobec tak niespodziewanego objawu miłości bliźniego.

— Pan mnie nie zna, więc jakże?...

— Jestem chrześcijaninem — odparł z prostotą stary farmer i nie miał więcej słów wyjaśnienia.

— W istocie... jest pan chrześcijaninem... może pierwszym, jakiego napotkałem w życiu...

— A z jakich to pan przybywa stron? — zapytał rolnik, biorąc uwagę tę dosłownie, a wietrząc obcokrajowca w odrębnym akcencie nieznajomego.

— Ze Stanów Zjednoczonych.

— A tam niema chrześcijan? To byłoby smutne... U nas nie jest tak, jak być powinno, ale dość, że teraz, przed wielkiem, pięknem świętem Narodzenia Zbawiciela, staramy się ocierać łzy bliźnim, składamy się na biednych, aby o ile możności przy każdem ognisku domowem zagościł pokój i płomyk radości rozjaśnił, podniósł strapione, znękane dusze. Każdy Anglik winien mieć na Christmas swoją gęś, swój pudding i swój rzetelny wypoczynek.

Mr. Barrie stanął w obronie swej ojczyzny, która oczywiście jak każdemu przeciętnemu jankesowi, wydawała się o całe niebo doskonalszą od reszty świata. Wywiązała się rozmowa, w toku której Artur wyjawił przyczynę swego smutku, na co pan Wood rzekł bez wahania:

— Niechaj pan spędzi święta w mym domu.

I niezwłocznie ruszyli w stronę farmy, której czerwone dachy niebawem wyjrzały z opłotków zadrzewionych w dolinie.

Miły, śnieżny dworek z facyatką, opleciona bluszczami, powitał ich pogodnem czołem, a gdy ich kroki rozległy się przed progiem, Artur zadrżał, jakby prądem galwanicznym tknięty, bo w jednem z okien mignął i znikł za firanką buziak w obramowaniu złotych włosów, którego widok uderzył go, oszołomił i rozsnuł wonny tuman upajającej radości. To była »ona«!

»Marion« nazwał ojciec kwitnącą dziewczynę, po której przeczystych, jakby z listków róży utkanych licach słały się przy powitaniu smugi szkarłatne. Na

pałających ustach jej osiadł na moment płochy, chochlikowy uśmiech, który zdradził Arturowi, że nie jest jej nieznanym, że to spotkanie wcale jej nie gniewa, i jeszcze coś nieokreślonego, co rozsadzało mu piersi iskrami radości, dumy i zapału.

Wieczór minął, jak sen sielski. Długie gawędy w głębokich fotelach, nastrojone na poważną nutę, byłyby wypłoszyły wkrótce ruchliwego, trochę nerwowego Amerykanina, gdyby nie był barwił ich obrazek smukłej blondyny z szafirami w oczach, rubinami na ustach, rozkładający na wszystko takie tony, że fajeczka wydała się lepszą od cygar Henry Claya, a gazowa lemoniada smaczniejszą od szklanki »whisky and soda«, jaką pan Barrie zwykł był kończyć wszystkie dzienne sprawy.

Dopiero nazajutrz, gdy stawił się na obiad z pękami irysów, fijołków i chryzantemów, udało mu się nawiązać swobodną rozmowę z Marion. Przerwała ją pani Wood, jeszcze ładna kobieta o regularnych rysach, szumiąca świątecznymi jedwabiami. Zaraz poczęła spowiadać się ze swoich zajęć przedświątecznych. Już sześć tygodni temu zrobiła kilka »gwiazdkowych« puddingów, jeden z nich dla syna — farmera w Natalu, drugi dla siostry w Transwalu, które należało wysłać tak wcześnie, aby doszły na miejsce przeznaczenia przed Bożem Narodzeniem. A było warto wysyłać te dzieła sztuki kulinarnej hen za ocean, bo składały się z wytwornej mieszanki rodzynków, migdałów, cykaty i rozlicznych innych ingredyencyi, które, gotowane przez całą dobę, złożyły

się na kilkofuntową, ciemnobrunatną leguminę, w mniemaniu gospodyni najdoskonalszą pod słońcem. Zresztą, sam Mr. Barrie oceni »Christmaspudding« pani Wood przy obiedzie!...

Wkrótce pojawił się młody pastor gminy baptystów, wielomowny blondyn. Rozmiłowany w dźwiękach swego kaznodziejskiego organu, monopolizował uszy biesiadników przy stole obficie zastawionym i przybranym w zieleń, kwiaty i gałązki kolczastej jemioły. Artur podejrzywał w nim konkurenta do ręki Marion, pod której adresem gość niekiedy przesyłał powłóczyste, liryczne spojrzenia — i to konkurenta niejako z góry przyjętego. Mr. Wood bowiem zdawał się poczytywać wszystkich nie-baptystów za ludzi drugiej klasy.

Podczas, gdy gospodarz na czele stołu, krająć nożem kuchennym potężną gęś i indyka, podniecał swadę pastora, a młody Wood z nieporównanym apetytem i skupieniem ducha oddawał się spożywaniu darów bożych i ojcowskich, Artur dorywczo, półgłosem rozmawiał z Marion. A ona lubo nakładając na talerze jarzyny, a potem oblewając koniakiem pudding i zapalając płyn, co chwilę darzyła go sympatycznem spojrzeniem, jakby wzywając do rozmowy.

Żywy Amerykanin, świadom wartości uciekającego czasu, skorzystał ze sposobności, gdy po dłuższym poobiednim wypoczynku w fotelach, wyruszono na przechadzkę. Idąc w parze z nią, mówił jej o rzeczach i światach, o jakich w zacisznem swem życiu słyszała coś niecoś, jakby o gwiazdach nieuchwytnych,

i topił śmiałe promienie zdobywczych oczu w rozświetlonej toni jej szafirów. Atoli na dnie słów jego leżał frasunek.

Nazajutrz państwo Wood, jak zwykle w Bankholiday, mieli wyjechać w sąsiedztwo, a pojutrze rano musiał on wypełnić znowu swą walizę i skrzynię próbkami towarowemi i jechać... Wprawdzie dopóki będzie w hrabstwie York, mógłby odwiedzać dom Woodów co niedzielę, ale ten pastor, nieznośny pastor...

Taka dola wojażera! Żyjąc na kołach kolejowych, z zegarkiem w ręku, przepędzany siłą pary i batogiem konieczności z kąta w kąt, niema czasu ani kochać się, ani ożenić. Za pół roku nareszcie osiędzie jako szef filii angielskiej swego domu w Londynie, lecz nawet tutaj, gdzie życie płynie ospale, nie po amerykańsku, może zajść w tym czasie wiele rzeczy, zwłaszcza, że ten pastor, przeklęty pastor...

Wieczorem Marion siadła do fortepianu i ze wszelkiemi zastrzeżeniami zaśpiewała aryę Tostiego o »parze niebieskich oczu«. Różowa lampa, wisząca w pośrodku saloniku, kładła gorące blaski na jej głowę, godną cherubina, a Artur, pochłaniając ją wzrokiem, knował jakieś plany, aż przygryzł wargę, uśmiechnął się do siebie i wpadł w doskonały humor. W czasie kolacyi zdobywał sobie względy pani Wood, sławiąc jej pudding, kuchnię i gospodarstwo, i gorąco popierał zdanie ojca uroczej dziewczyny w dyskusyi z pastorem.

Ożywiona wymiana zdań przewlokła się tak, że

dwaj zagorzali baptyści, wraz z młodym Woodem, pastwiącym się jeszcze nad resztkami indyka i tartinami z kremem, pozostali w jadalni. Tymczasem Marion i Artur przeszli do saloniku.

— Przypuszczam, że pan nie wyniesie miłych wspomnień ze świąt, u nas spędzonych. Tutaj tak cicho...

— Jestem bardzo wdzięczny panu Wood za to zaproszenie — wybuchł gorąco Amerykanin i ciągnął dalej, tonąc w oczach dziewczyny wymownem spojrzeniem. — Nigdy jeszcze nie odczułem tak ciepła rodzinnego. Tu dopiero zrodziło się we mnie pragnienie własnego zacisza... Uniosę z sobą miłe, drogie wspomnienia... Uniósłbym chętnie jeszcze coś więcej... — dorzucił szeptem i zamilkł.

Panna spłonęła. Poczęła nagle przewracać kajety z nutami, szukając, sama nie wiedziała czego. I padło między nich długie, różane milczenie.

Wreszcie, nie odwracając ku niemu twarzy, odezwała się:

— Muszę pana poczęstować cukierkami!

I wybiegła, jak koza. A on, rozpromieniony, zwycięski, wydobył szybko z kieszeni gałązkę jemioły, którą ukrył przy sobie podczas wieczerzy, i uczepił u różowej lampy z uśmiechem, poczem, stanąwszy pod nią w pośrodku pokoju, przeglądał ilustrowane czasopismo.

Wpadła Marion.

— Pan sam?... Ci panowie tak się zagadali. Może pan pozwoli cukierka? Londyńskie.

Podała mu bombonierę, nie podnosząc oczu, cała w ogniu.

— Słyszałem o panującym w Anglii obyczaju — począł leniwym, drżącym głosem Artur — który pozwala pod gałązką jemioły...

Nie domówił jeszcze tych słów, gdy śmiałe jego ramiona oplotły zalęknioną dziewczynę. Przygarnął ją do siebie, przywarł chciwe usta do ust jej płomiennych tak szybko, że tylko słaby, omdlały okrzyk wydarł się z zadyszanej piersi panny i bezsilna, w upojeniu, zawisła w obręczy namiętnych ramion.

Lecz wtem ukazało się we drzwiach oblicze starego farmera.

— Ojcze!... Ktoś zawiesił tu gałązkę jemioły... — wykrztusiła drżąca Marion, lubo tak zmieszana, jakby chciała zapaść się w ziemię, i cofnęła się w mroczny kąt pokoju.

Farmer zrozumiał.

— Ha, ha, ha! — zanosił się od śmiechu. — A to dowcipny kawaler!...

Jednakże pastor, który wsunął się za nim, dopatrzył się w całusie wielkiej zdrożności.

— Uchodzi to między młodymi, zdawna zażyłymi ludźmi — wygłosił — ale pan jest niemal obcym w tym domu, więc nazwałbym to nadużywaniem gościnności...

Mr. Barrie wyprostował się jak struna.

— Jestem gotów ponieść wszystkie konsekwencye, jakie spodoba się wyciągnąć z tego państwu Wood — odparł wyniośle. — I jeśli panna Marion

niema nic przeciw temu... A pan, panie pastorze, nie jesteś chyba autorytetem w kwestyi całusów...

Pan Wood spoważniał i ciężkie milczenie legło na głowach.

Pan Barrie nietylko nie był baptystą, ale był unitaryaninem! Prawie indyferentystą! Wobec tego krzyczącego faktu pan Wood nie był wcale skłonny do wyciągania pożądanych dla młodej pary »konsekwencyi« z całusa pod jemiołą.

Lecz dyplomacya kobieca nie dała za wygraną i odniosła, jak zwykle na świecie, zwycięstwo nad niezłomną skałą męskości, dzięki celnie wymierzonemu argumentowi pani Wood, która nazajutrz w naradzie familijnej rzekła do męża:

— Sam go zaczepiłeś, zaprosiłeś i wprowadziłeś w dom... Kierował tobą wyraźnie palec Boży. On jej przeznaczony...

PRZEKUPIEŃ GAZET I MYŚLI.

Sobotni koncert w klubie »Savage« ściąga dopiero o późnej godzinie liczniejszy zastęp członków, stojących w tej lub owej styczności z piśmiennictwem albo sztuką. Wówczas na stołach, w literę *E* zestawionych, pojawiają się szklanki i butelki, wielka sala jadalna z widokiem na Tamizę zmienia się w gwarne obozowisko palących cygara mężczyzn, a członkowie, biorący zwykle udział w amatorskim koncercie śpiewem, deklamacyą lub humorystycznem *entertainment*, zaczynają się wsuwać jeden po drugim do sali, zcicha, jakby chcąc dać do zrozumienia, iż nie zamierzają bynajmniej nudzić więcej zebrania swym repertuarem lub też produkcyami swej skromnej muzy.

Lecz dość bywa jednego wymownego spojrzenia ze strony przewodniczącego, aby wywołać wpółrozpaczliwy gest ręki przybysza, który, z góry przepraszając za swą nieudolność, zdaje się mówić: »Jeżeli już koniecznie pragniecie mnie usłyszeć, to niechaj się dzieje wasza wola«. Dość niemego zezwolenia, aby prezydujący członek, uderzywszy groźną maczugą w stół, obwie-

ścił »braciom dzikim«, że »nasz przyjaciel N. N. będzie łaskaw przyczynić się do uświetnienia wieczoru«, a słowom jego towarzyszą szmery zadowolenia i półgłośne koncepty.

Tego wieczoru dał się uczuć brak zawodowych artystów, którzy zwykli tu szukać rozgłosu, i na *smoking concert* złożyły się wyłącznie siły klubowe, zabawiające rzekomo »dziką brać« piosnkami, jakie z ust ich można posłyszeć każdej soboty, każdego miesiąca i każdego roku. Ten i ów przeto czmychał do pokoju, gdzie Bachus króluje, albo do bufetu, otoczonego wieńcem stolików.

Ściany, wysłane obrazami, przeważnie datkami członków klubu, nie zwracały mej uwagi, gdy zasiadłem tu do kolacyi z doktorem V., uprawiającym w wolnych chwilach niwę poetycką. Nie zasłynął on jako poeta, lecz uchodzi powszechnie za dobrego lekarza i, co najważniejsza, za zacnego człowieka.

W toku rozmowy uderzył mnie obraz, na honorowem umieszczony miejscu, którego dotąd nie widziałem. Mimowoli raz po raz wzrok mój czepiał się płótna wnet poprostu nie mogłem oderwać odeń oczu, nie tyle może wykonaniem, ile modelem zaciekawiony. W tej dziwnej i pięknej twarzy starca tkwiło bowiem coś, co niewolniczo przykuwało moją uwagę, przemawiając do mnie innym, nie angielskim językiem.

Na ciemnem tle rozpościerało się popiersie sędziwego mężczyzny, naturalnych rozmiarów. Śnieżna, rosochata broda spadała na piersi, na czarny płaszcz,

niby wachlarzem okalając twarz szeroką. Przysłaniał ją w części bujny, długi wąs tak, że jedynie prosty nos i wydatne kości licowe wynurzały się z śnieżnej masy włosów. Czaszkę, formy kulistej, pokrywały śmiało odrzucone, srebrne pasma włosów, odsłaniając wyniosłe czoło, powiększone na bokach dwoma języ-kami, poorane w bruzdy, nachmurzone głęboką po-wagą. A pod krzaczastą brwią kryły się niebieskie oczy, jakieś stroskane, smutnie na dół spuszczone w wielkiem zamyśleniu, które nie pozwalało wątpić, że ten człowiek nie żył myślą na tym świecie, lecz przebywał gdzieindziej, w krainie szaroty i smętku, może z własnego ducha poczętej. Powieka lewego oka, obwisła nieco więcej, potęgowała niezmiernie to wrażenie głuchego rozmarzenia, troski, z pokorą mę-czennika przyjmowanej, uroczystego spokoju, patryar-chalnej powagi, bezgranicznej łagodności i głębokiej prostoty, które, kojarząc się w świetną aureolę, ko-ronowały tę wspaniałą, szlachetną głowę. Odwracał się od świata nie ze wstrętem, lecz z obawą, aby jaki widok nie pokalał cudnych iluzyi, nie zakłócił dawnych wspomnień muzyki, nie przeciął snów i marzeń uro-czej tkaniny.

Nie wiem, co było w tych niezapomnianych ry-sach więcej czarownego: czy cicha elegia zakrwa-wionego serca, czy tony idealnego hymnu, czy też majestat świętości, który tchnęła weń mistrzowska natura, jak Tycyan w oblicze Chrystusa.

— Skąd zabłąkał się tu ten patryarcha? — spy-tałem.

Uśmiech zadowolenia błysnął na twarzy mego towarzysza.

— Nie pierwszy pytasz i nie pierwszy zwiesz go patryarchą — odparł. — W istocie wyglądał tak, jakby wyłonił się żywcem ze Starego Testamentu.

Przerwał, chcąc zapewne zaostrzyć moją ciekawość.

— A więc to nie studyum?

— Portret. Dziwi mnie, że nie znałeś go, bo wydaje mi się, że każdy mieszkaniec Londynu musiał zachować w pamięci postać tego starca, który przez długie, długie lata sprzedawał gazety tuż obok dworca kolei Charing Cross, na Strandzie. A kto raz go widział w życiu — nie zapomni... Sążnisty był to mężczyzna, z górą sześć stóp, barczysty, jakby ze spiżu ulany, lubo później pochylił się pod brzemieniem lat. Lecz zawsze królewska postać przekupnia górowała nad rączym strumieniem przechodniów, zdala już można było zobaczyć go przy żelaznych sztachetach kolejowego dziedzińca z pliką gazet, przewieszoną przez ramię. Zdrowie miał niezrównane; słota nie słota, wystawał tam zawsze kilka godzin, a, jak mówił, nie zaznał choroby. Dopiero starość — musiał liczyć ośmdziesiąt lat — zamknęła mu oczy na wieki. Odtąd Strand nie zdaje mi się być tym samym Strandem; brak mi tam zawsze czegoś — tej królewskiej figury przekupnia...

— Ciekawa fizyognomia... — wtrąciłem.

— Od pierwszej chwili postać przekupnia miała dla mnie niewysłowiony urok, który przy bliższem

poznaniu nietylko nie rozwiał się, lecz wzrastał, może przeważnie z tego powodu, że nie przestał on być dla mnie zagadką — ciągnął lekarz. — A ileż to razy, gawędząc z nim, starałem się wywiedzieć, skąd był rodem, jak się nazywał i jakich zaznał losów. Ale to pewna, że ów patryarcha nie zawsze sprzedawał gazety... Wszystkie moje zapędy rozbijały się o skałę niewzruszonej skrytości: nie znałem człowieka więcej w sobie zamkniętego. Nauczywszy się przestawać z sobą i wystarczać sam sobie, w swych myślach znajdował najmilszego towarzysza.

Szkoda, że tak skąpą ręką sięgał do skarbnicy swego ducha! A przecież łączyła nas długoletnia zażyłość, bo nie było prawie dnia, abym, przechodząc tędy do szpitala, nie zamienił z nim słów kilku przy odbieraniu gazety. Lecz on stronił od ludzi, unikał widocznie poufałości, będąc zbyt dumnym, aby im się spowiadać, wystawiać się na ich krytykę i współczucie. Znając naturę ludzką, odczuwał, jak ludzie przyjmują wyznania. Gdy im serce ciśniesz pod nogi, odwrócą się od słabości z uśmiechem politowania... Nie łatwo narzucić sobie więzy skrytości, lecz gdy kto nad sobą odniesie zwycięstwo, jarzmo to staje się lekkiem, skrytość instynktem.

Niezwłocznie odkryłem, że w tem wspaniałem ciele ukrywa się wspaniała dusza, lecz dużo upłynęło czasu, zanim dowiedziałem się, że w ekspedycyach dzienników zwano go starym Andrzejem, *the old Andrew*, lub krótko: *Andrews*. Nikomu nie był znany pod innem nazwiskiem. Do tego stopnia dochodził

u niego wstręt do wspominania o sobie. Zapytany o swe nazwisko, odparł spokojnie, tonem, który kwestyę tę zamykał: »Jestem przekupniem gazet«.

Był to dziwny przekupień gazet: nie dość, że sprzedawał dzienniki, ale znał ich treść. Polityka stanowiła jego ulubiony przedmiot rozmowy. Chętnie też słuchałem jego poglądów i oryginalnych politycznych prognostyków, które zdradzały niepospolitą znajomość historyi. Językiem angielskim władał znakomicie, posługując się dyalektyką literacką z domieszką słów biblijnych. Nie zapomnę jego wróżb, dotyczących kwestyi wschodniej. Mówię wróżb, bo czasami wybiegał umysłem hen w przyszłość, nie mierząc politycznych wypadków łokciem dziennikarskim, lecz sięgając głęboko w podwaliny charakterów narodowych, wyprowadzał stąd daleko sięgające wnioski, które w jego ustach dochodziły do szczytów wyroczni. Rzadko zapalał się, lecz gdy głos jego zadrżał nutą serdeczną, suggestyonował słuchaczowi najśmielsze przypuszczenia, które przyjmowało się za pewniki, nie wątpiąc, że kiedyś z ciemności powstanie wspaniała światłość. Wszystko to zaś opierał na niewzruszonych argumentach.

Teraźniejszość istniała dla niego o tyle jedynie, o ile jest matką jutra. Wspomnieniami przeszłości nie dzielił się z nikim, pogrzebał je w kościele swej duszy, wzbraniając doń przystępu profanom. W tej świątyni wypoczywał, a żył w przyszłości. Poziomym istotom wystarcza teraźniejszość, zgrzybiałym starcom i duszom złamanym a wątłym przeszłość jest świa-

tem, tylko młode duchy przebywają w przyszłości, a niesamolubne i promieniste w przyszłości wszechświata.

Gdy stosunek nasz się ustalił, stokrotnie przychodziła mi ochota przyjść mu z pomocą materyalną, lecz nie śmiałem, bo cechowała go pewna duma urodzonego dżentelmana, pana z panów, nie odpychająca jednak od niego, ale przeciwnie, zmuszająca do szacunku i podziwu. Uciekałem się tedy do podstępów i tak raz, wręczywszy mu pięcioszylingówkę, oddaliłem się, udając pośpiech i zapomnienie, lecz wszystko napróżno. Przez tyle a tyle następnych dni nie przyjmował odemnie zapłaty za gazety. Ile razy zaś wyciągnąłem go na szklankę piwa (wódki nie pijał, znając się na hygienie), nie mogłem wymówić się od przyjęcia poczęstunku z jego strony. Nigdy też nie powiodło mi się nakłonić go do przybycia na obiad tu do klubu, gdzie fizyognomia jego byłaby wywarła niemałe wrażenie. Nawet bardzo rzadko mnie odwiedzał w domu. Wszelako rozpowiadając o nim wszystkim znajomym, spowodowałem wielu do kupowania gazet od patryarchy, który podówczas był znanym członkom klubu.

Na swem skromnem stanowisku zdawał się zupełnie szczęśliwym. Ludzie tego pokroju godzą się łatwo ze swym losem, w sobie samym znajdując dostateczne i obfite źródło szczęścia. A jeśli oblicze jego troską było powleczone, to punktem wyjścia tejże nie były osobiste sprawy. Ów cień zadumy, na ziemi poczętej, wyszlachetniał w abstrakcyi i świat opasywał

cały. W rysy jego zakuła natura odblask duszy... Bolał w cichości nad znikomością wszechrzeczy, eterycznością marzeń, dusz pustką, serc wyschłością i smutkiem jesiennego krajobrazu. Jeśli ziemi odgłosy wzbijają się ku niebiosom pięknym akordem, twarz jego była tej muzyki echem...

Pewnego dnia, pamiętam, powietrze było zgniłe, ulica przesłonięta siatką wilgotnej, dżdżystej mgły i stosunkowo pusta. Wokoło dworca krążyły tylko owe uliczne nietoperze, czyhające na ofiary pijaństwa, a po bruku wałęsał się zagubiony psiak. Pomimo słoty wszakże, stary Andrzej stał na swem stanowisku. Wracając ze szpitala, zatrzymałem się na chwilę z przyzwyczajenia, gdy wtem zbliżył się do niego jakiś podejrzany, może napity włóczęga, którego, jak mi później objaśnił przekupień, wydalono z kilku ekspedycyi gazet wskutek pijaństwa i kradzieży. Bez względu na mą obecność, odezwał się obcesowo do »patryarchy«, jakby mu było śpieszno:

— »Nie masz tam dla mnie jakiej myśli?... Straszne pustki u mnie w kieszeni«.

Zrazu nie pojmowałem, o jakie »myśli« chodzi temu włóczędze, który zapewne nie miał ani jednej zdrowej myśli w głowie, lecz przypomniałem sobie o istnieniu indywiduów, pozujących na wykolejone, czy zapomniane przez ludzkość geniusze, które nawiedzają pracownie malarzy i rysowników, dostarczają im za skromnem wynagrodzeniem oryginalnych idei do »oryginalnych« rysunków. Różne są sposoby zarobkowania na bruku londyńskim... Ponieważ ów

przekupień pomysłów sam cierpiał na wielką posuchę myśli, uciekł się przeto o pomoc do naszego patryarchy.

Ubogi ten człowiek odkrył sobie drogę do udzielania jałmużny; zda się, biedakom biedacy jedynie podają rękę. A ileż to wielkości był on zdolnym wspierać swego ducha wytworami!... Dobre idee są bardzo rzadkie, rzadko chodzą też w parze z techniczną zdolnością i zręcznością. Najdzielniejsi rzemieślnicy w dziedzinie sztuki składają się przeważnie z ubogich umysłowo istot. Tych, o których najwięcej mówią, najmniej słuchać warto, a ci, co mają coś do powiedzenia — milczą, bo nadać formę serca wpływom jest męką, zwłaszcza, gdy twórca pozwala sobie przeszkadzać myślom.

Na słowa włóczęgi stary Andrzej zmieszał się. Widocznie było mu niemiło, że stałem się świadkiem tej rozmowy. A przykuty iście babską ciekawością, nie myślałem go pożegnać.

— Nie mam żadnej... — odparł po chwili. — Czy zamierzasz chodzić pomimo tej niepogody?

— Muszę, niema rady. Pustki w kieszeni. Poszukaj-no jakiej myśli, bo źle ze mną — mówił przybysz.

Stary Andrzej popatrzył mu w twarz, a potem, odwróciwszy się od niego, utopił wzrok w przestrzeniach i pogrążył się w zadumie. W milczeniu staliśmy obok niego, nie spuszczając oka z jego twarzy.

Po długim namyśle Andrzej westchnął zcicha i odezwał się wolnym głosem, który, w miarę jak mówił, podnosił się, nabierając kryształowego dźwięku:

— Widzisz tego psa na środku ulicy?... Otóż wyobraź sobie, że w tem miejscu znajduje się nagi chłopczyk z jasną, kędzierzawą głową, ze skrzydełkami, z plec wyrosłemi, z kołczanem złocistym i kilku złamanemi strzałami w rączkach... Chłopczyk zziąbł w mgle, opadł z sił, głodem zmorzony, i lada chwila dorożka przejechać go może. Potoczył się w błoto... Widzisz teraz te roje snujących się na chodniku upadłych, nieszczęśliwych kobiet? Na widok tego chłopięcia rzuciły się ku niemu, ciekawością i litością przywiedzione. Zaznały chłodu i głodu, zaznały może kiedyś miłości... Pośpieszyły mu na pomoc, podnoszą go, ratują biednego wyrzutka... Ten obraz nazywa się: »Miłość — wyrzutek, *Love the outcast*...«

Po chwili starzec dorzucił:

— Czy umiesz to powtórzyć? Spróbuj, a potem idź szukać z tą myślą szczęścia... nieszczęścia, pieniędzy. Może ci kto rzuci za nią kilka szylingów.

Włóczęga słuchał z natężeniem i rozchylonemi wargami, potem zabrał się do powtórzenia lekcyi. Udało mu się to, lecz w jego ustach wszystko to brzmiało inaczej. Nie zrozumiał tej »myśli« i dlatego uznał ją za znakomitą. Czy mógł on ją zgłębić?

Nad tym obrazem myślałem często i nie jestem wcale pewnym, czy ja sam odgadłem całą myśl starca, ale to pewna, że uszanowałem wielkie serce, spoczywające w jego piersi, to serce, litością przepełnione nawet dla wyrzutków społeczeństwa, i pojąłem, że śnił o ludzkości, zbratanej węzłami miłości.

Na tym włóczędze nie kończyło się. Częstym go-

ściem u niego bywał młody irlandzki malarz, gorączkowy entuzyasta, sam obfitujący w pomysły. Lecz spowiadał mu się ze swych tematów, zanim przenosił je na płótno, aby mu je stary Andrzej pogłębił, wynosząc z sobą od patryarchy skupienie myśli, zespolenie sił duchowych i nieodzowny do pracy wewnętrzny spokój. Mam powód przypuszczać także, że stary Andrzej przychodził mu z pomocą materyalną...

Aby zdobyć środki na ten cel, sprzedawał pomysły znanemu powszechnie rysownikowi, z którym poznał się, pozując znajomemu jego do obrazu. Dziwnem zrządzeniem losu artysta ten zdobył sobie rozgłos, dzięki pewnym właściwościom rysunkowym, które odróżniały go z pośród tłumu innych pracowników. Ale dopiero gdy stary Andrzej zaczął podsuwać mu idee i pomysły, uderzać w struny jego lutni duchowej, wydobywać chociażby nikłe tony, artysta zasłynął jako wielkość. Od czasu śmierci Andrzeja przerysowuje swe dawne prace z nic niemówiącemi zmianami. Tak zaopiniował o nim niedawno jeden z krytyków, który wszakże nie domyśla się, czemu przypisać ten wyraźny zanik twórczości...

Wynagradzany hojnie przez tego fabrykanta rysunków, Andrzej mógł był stworzyć sobie przyzwoity byt, lecz on wszystko rozdawał... Ilu biedaków wyrwał z nędzy, niepodobna oznaczyć, bo z zasady nie wydawał się z niczem, co dotyczyło jego osoby. Najmniejsze zeznanie trzeba było niemal gwałtem z niego wydobywać, podchodząc go z lisią przebiegłością, a i wówczas dowiadywałem się li tylko tyle, ile sam

chciał mi powiedzieć. Wszelako odkryłem, że w jednym wypadku wspomógł upadłą kobietę, która omdlała przy dziedzińcu kolejowym, w drugim zaś czynem i słowem powołał na nowo do życia guwernantkę, Niemkę, która, próżno szukając zajęcia przez czas dłuższy, popadła w rozpaczliwą nędzę. Zdradził się z tem przedemną, gdyż chodziło mu o dostarczenie jej pracy.

Po starym Andrzeju spodziewałem się wszystkiego dobrego, atoli nie mogłem pogodzić tego postępku z jego głęboko zakorzenioną niechęcią do narodu niemieckiego. Ten człowiek musiał przejść w życiu bardzo smutne koleje i cierpieć wiele, jeśli wobec niedoli zdołał zapomnieć o sobie i odczuć nić społeczeństw, spajającą ludzkość w jedno ognisko. Jedynie bardzo piękne natury, nieszczęść i bólu cierniami stargane i uszlachetnione, wznieść się umieją do niebotycznych szczytów tak potężnej miłości...

Gdy poczyniłem odkrycie, iż zarobek, wpływający od owego »wielkiego« artysty, obracał na zapomogi, spytałem go, czemu nie odda się wyłącznie handlowi myślami, na co mi odrzekł: »Z mej głowy nie chcę robić fabryki, ani z mych myśli artykułu«. Niepojęty człowiek! Gdyby ludzkość liczyła wielu podobnych osobników, byłoby bodaj za dobrze i za pięknie na ziemi. Czemże wówczas byłoby niebo?

Przywiązałem się do niego serdecznie. Wyobraź sobie zatem, jaka zdjęła mnie obawa, gdy pewnego dnia napróżno rozglądałem się za nim na Strandzie. Poprzedniego dnia zdarzyło się, że zanim udałem się

do szpitala, wypadło mi pośpieszyć w inną stronę i później niezwłocznie odwiedzić chorego. Stary Andrzej mógł być przeto słabym od dwóch dni. Ale gdzież go szukać? Wzbraniał się podać mi swój adres, chcąc zapobiedz przesyłaniu podarków z mej strony. Widując go codziennie na ulicy lub gdzieindziej, przestałem go wreszcie wypytywać o miejsce zamieszkania. Lecz pożałowałem tego, bo wypadło mi teraz jeździć z jednej ekspedycyi do drugiej, i z niemałym trudem dopiero otrzymałem pożądaną informacyę.

Niestety, przeczucie nie omyliło mnie; zastałem go w łóżku, złożonego niemocą. W ciągu doby pobladł i wychudł, łagodne jego źrenice lśniły gorączkowym ogniem i miotał nim wewnętrzny niepokój.

Zajmował schludną izdebkę o ścianach, pomalowanych błękitną farbą. Na krześle stała miednica i dzban gliniany, odzienie wisiało na drzwiach, na stole, ceratą pokrytym, spostrzegłem imbryk, szklanki i kilka książek, przed kominkiem patelnię i inne przybory kuchenne. Na wymiecionej podłodze bawił się kłębkiem nici czarny kotek, i jedyną prośbą chorego było, abym kazał przynieść dla niego mleka i nalał je w miseczkę. Panowały tu niepodzielnie pogoda i spokój.

Zanim udałem się do apteki, siadłem przy nim chwilę na wązkiem, żelaznem łóżku. I wówczas wyznał mi, że owa guwernantka nietylko odesłała mu zapomogę, ale co rok na gwiazdkę przysyłała mu podarki razem z dziękczynnym i przyjacielskim listem.

Rozczuliło go to i dodał: »Dla tego samego warto żyć na świecie«. Prosił mnie, abym nad nią czuwał i nad jego kotkiem...

Rozmowa nasza urywała się, bo słabość w krzyżach zapierała mu oddech, lecz, ściskając mi rękę z niemem podziękowaniem, wyraził życzenie, abym spalił na kominie dwie książki, które znajdowały się na stole. W jakim były języku, nie mam najmniejszego wyobrażenia. Podejrzewałem, że był Szwedem z rodu, lecz zdaje mi się, że stare, zniszczone druki były w innym języku.

— Nie chcę, aby się poniewierały — rzekł do mnie.

— W jakim są języku? — zagadnąłem, sądząc, że teraz może opadną okowy dumy, która mu zamykała usta, że wreszcie odchyli zasłonę z swej przeszłości, lecz stary Andrzej pozostał sobie wiernym do końca.

Milczał, poczem, odwróciwszy twarz odemnie, westchnął. Jakżeż można było nalegać?

— Nie chcę, aby się poniewierały — powtórzył — są mi bardzo drogie.

Nazajutrz miał się lepiej, w tydzień później... nie żył.

. . . .

Tu opowiadający umilkł i zadumał się, wywołując może z głębi wspomnień postać »patryarchy« na łożu śmierci. Po chwili wszakże dorzucił:

— Zapomniałem nadmienić, że krótko przed zgonem wręczył mi wizerunek Matki Boskiej, wyryty dość misternie na kwadratowej płycie mosiężnej, objętości książki. Nosił go zawsze na piersi. Zapewne odziedziczył go po przodkach, rycerzach, uważając za talizman, chroniący go od przystępu złego. Być może, że sam wystawiał pierś na ogień bojowy... Mimo to wszakże, że talizman przewiercony był od kuli, nie znalazłem na jego ciele rany. Gdy zawieszono tu ten portret mego zmarłego przyjaciela, który nabyłem dla klubu od wzmiankowanego irlandzkiego malarza, umieściłem ten talizman poza płótnem, aby...

Nie słuchając dalszych słów doktora, powstałem szybko od stołu i wydobyłem z poza ukośnie zawieszonego obrazu zczerniałą płytę.

Doktór V. natychmiast zbliżył się do mnie, w nadziei, że potrafię mu dać objaśnienie.

Na odwrotnej stronie talizmanu mieścił się herb: poniżej rogów, które spajały ramiona stojącej w pośrodku niewiasty, związana chusta... Wizerunek wyobrażał Matkę Boską z dwiema bliznami na licu, a u dołu, gdzie mosiądz ucierpiał najwięcej od zębu czasu, było można dostrzedz rząd nieczytelnych liter. Lecz udało mi się odcyfrować jedno słowo, słowo... polskie:

— Matka...

Długo nie mogłem oderwać oczu od talizmanu.

— Co oznacza ten herb i podpis? Czy to rzuca jakie światło na przeszłość i narodowość starca? —

pytał doktór V., ale zmilczałem, nie chcąc zdradzić tajemnicy zmarłego.

Zresztą nie miałem słów i zapomniałem o obecności towarzysza, bo, przeniesiony w świat inny, daleki, łowiłem uchem drogie echa dawno przebrzmiałej przeszłości i zdało mi się...

Już nie wiem, co mi się zdało...

IV.

NA LAZUROWYM BRZEGU

NA ZŁOTEJ SKALE.

— Tak, to raj!... — zawyrokował z dumą patryotyczny obywatel księstwa Monako i zapomniał bodaj, że jest zarazem i to trochę więcej Anglikiem, bo oczy jego zakochały się w świetlanych obrazach, jakie przyroda i ludzie stworzyli zgodnie na złotej skale: Monte Carlo.

Rozmarzone morze lizało służalczo stopy złotej góry, szumiało za fontannami palm pysznych, pawich. A słońce wyzłacało szafiry i szmaragdy wód sfałdowanych, całowało śnieżne lica koronkowych gmachów hotelowych, błogosławiło gościnne progi kasyna, lało w dusze ludzkie potoki radości, gdy różnojęzyczne mrowie płynęło strumieniem do ula, znosząc słodki nerw rzeczy — z pragnieniem, aby raczej fortuna lała im potoki szczerego złota w głodne kieszenie.

Rozsiadłszy się przed »paryską« kawiarnią, angielski monegaskończyk spozierał w nieprzystępną dla siebie paszczę kasyna, lustrował fizyognomie snującej się wokoło rzeszy i ciągnął:

— To Eden, który ocalał z pośród ogólnej za-

gławy, usiadł tu na skałach i stał się rajem na ziemi. Ale nie byłby rajem, gdyby nie sąsiadował z tem piekiełkiem, gdzie rolę Belzebuba spełnia ruleta, gdyby w wirach malstroemu nie kłębiły się, nie wrzały namiętności, żądze ludzkie. Sprawdza się tutaj heglowska teorya kontrastów.

— Piekiełko żywi nas, grzeje; pod jego tchnieniem gorącem rozkwita Riwiera, pokrywa się mozajką najpiękniejszych wil i kwiatów, opromienia ludzi bengalskimi ogniami nadziei i złud. Nudno i sennie byłoby w raju bez piekiełka, przynęcającego miliony ludzi, a w piekiełku ponuro, rozpacznie bez raju. Na lazurowem wybrzeżu podają sobie ręce przesyt i głód używania, beztroska i zgryzota, pokój i szał i plączą się w wianek o gryzącym, pikantnym zapachu. Radość życia wyzłaca tu wszystko, świeci w oczy, uśmiecha się do każdego zalotnie, jak najpiękniejsza, nienasycona Mesalina. Nigdzie niepodobna zrealizować radości życia tak niemal namacalnie, wyczuć jej tętna tak intensywnie, jak tutaj.

Przez chwilę snuł przędzę refleksyi.

— *Well* — bąknął wreszcie — nie pozuję na moralistę. To nie mój *business*. Gdyby mnie pan zapytał (a to pytanie ma każdy na ustach), czy zamknąć dom gry, odpowiedziałbym bez wahania: nie. Jeśli tu ludzie kręcą karki, to są to jednostki słabe, wykolejone, rozpaczliwe osobniki, skazane i tak na zagładę. A lepiej, że skończą tu, niż gdzieindziej, i tak, a nie inaczej. Skończą tu z wizyą słoneczną, z perfumem radości życia w duszy, złożą marną, skołataną głowę

na aksamitnym gazonie, w cieniu wonnych eukaliptusów, w pomarańczowym gaju lub pod wachlarzem palmy, w obliczu majestatycznego morza. Tu przed śmiercią nakarmią oczy kwintesencyą wykwintu, przepychu, ujrzą piękno. Ujrzą drogę »*de la Grande Corniche*«... Dla tego warto umrzeć. Nie każdy nawet z samobójców wart, aby kończyć na tak pięknem tle, na tak wspaniałej scenie... Niech ginie, co żyć nie umie, nie może! A reszta? Niech bawi się, uczy sztuki życia, sztuki pięknej zwalczania samego siebie. Niech oddaje się na chwilę złudzeniu, że życie jest tak łatwe i wesołe i świat tak bogaty i cudny, jak Riwiera...

— Dla nas, monegaskończyków, to z pewnością raj... Dzięki tej zabawce dla dużych dzieci, nie płacimy zgoła podatków, a w przyszłości i oświetlenie ulic pokrywać będzie za nas dom gry. Dzięki rulecie, nie utrzymujemy miłościwie niepanującego nam księcia Alberta I-go, a on zgarnia kilkomilionowy apanaż, łowi polipy na dnie oceanów, wznosi piękny instytut oceanograficzny... Ziemia winem płynąca, złotem dzwoniąca. Opłaca się tu wszystko, nawet... zamordowanie własnej żony.

— Tak jest. Niech pan posłucha.

— Ot, przed kilkunastu laty zdarzyło się, że jeden z obywateli księstwa zamordował żonę. Sąd przysięgłych skazał go na śmierć. Dobrze. Tak wypada. Ale jak uśmiercić takiego pana w naszem szczęśliwem państwie, gdzie niema kata, ani gilotyny? Snadź ruleta nie zdołała pokryć nieprzewidzianego wydatku

państwowego i pozbawić życia obywatela, który poprostu pragnął wyzwolić się z pod pantofla w radykalny sposób. Więc ciężar spadł na barki naszego monarchy, który miał sposobność przypomnienia sobie, że jest panującym.

Rad nierad, zwrócił się do Francyi z prośbą o pożyczenie »pana z Paryża« wraz z aparatem do skrócania ludzi od głowy. Francya zażądała za tę sąsiedzką przysługę piętnastu tysięcy franków. Drogo! Oszczędny, arcyoszczędny monarcha zapukał tedy do rządu włoskiego. Włochy okazały się tańsze. Dwanaście tysięcy. Lecz i to wydawało się księciu zbyt wielkim wydatkiem. Głowa jednego człowieka nie warta tak wiele. Gdyby morderca był zostawił fortunę w kasynie, możnaby się pocieszyć, że zabija się go za jego własne pieniądze. W tym razie nie zasługiwałby zresztą na lepszy los. Wszelako jako obywatel księstwa Monako miał podwoje kasyna zamknięte.

Może tego rodzaju refleksye zmiękczyły serce księcia; dość, że ułaskawił mordercę, zmieniając karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Pięknie. Wynikł z tego wszakże nowy kłopot. Okazało się, że w Monako istnieje więzienie, lecz niema dozorcy. Więc trzeba było postarać się o niego. Jednorazowy wydatek nie bardzo wielki, jeśli jednak książę ma dla jednego zbrodniarza utrzymywać urzędnika więziennego przez niezliczony szereg lat... Stanowczo w Monako ludzie zbyt rzadko mordują swe żony.

Przez rok zbrodniarz siedział w więzieniu pod strażą, to znaczy grywał w karty z dozorcą i chodził z nim na spacer, jadł, pił i hulał wesoło. Zbratali się i przeżyli razem arcyprzyjemne chwile. Nigdzie zbrodniarz nie był tak szczęśliwym, jak w tem więzieniu. Trzeba zamordować żonę, aby zaznać takiego niezamąconego szczęścia.

Po upływie roku książę przez wzgląd na swą szkatułę odprawił dozorcę i powierzył klucze więzienne któremuś z dworzan. Odtąd morderca sam chodził na spacery, bawił się w mieście ze znajomymi, grywał w »boule« po drogach, a w czasie obiadowym zjawiał się regularnie w kuchni służby książęcej. Wieczorem szwajcar zamykał go na noc w więzieniu, aż mu się to znudziło i klucz więzienny wręczył więźniowi, który odtąd sam pełnił obowiązki swego dozorcy.

Ślicznie. Jednakże widując skazańca tu i owdzie, jeden i drugi z sędziów przysięgłych czuł się dotknięty widocznem nieposzanowaniem swego wyroku. Wniesiono do księcia zażalenie. Aby usunąć przedmiot zgorszenia, położyć kres sprawie, oraz uniknąć wszelkich kosztów, książę zmienił dożywotnie więzienie na banicyę ze swego rajskiego państwa. Dostateczna kara dla mordercy. Nic gorszego nie spotkało Adama w raju. Atoli przywiązanie mordercy do ojczyzny było tak bezgraniczne, że nic nie mogło nakłonić go do opuszczenia kraju, gdzie dojrzewa cytryna i tętni ruleta.

Co począć? Książę kazał przywołać mordercę

przed swe oblicze i sam zakomunikował mu najwyższą swą łaskę. Lecz i to nie poskutkowało. Morderca zanadto upodobał sobie operetkowe więzienie i stół służby książęcej, aby miał lekkomyślnie opuszczać granice kraju. Raczej umrzeć! Gdyby był on żył w starożytnej Grecyi, poeci opiewaliby go w melodyjnych heksametrach, płodzili na cześć jego dytyramby i dziś stawianoby go za wiekopomny przykład miłości ojczyzny. Niestety, w naszym nowoczesnym raju bohaterem narodowym może stać się tylko cudzoziemiec... rozbijający bank w domu gry.

Wszelako dobry monarcha ocenił przywiązanie monegaskończyka do rodzinnych skał, zrozumiał jego względy i, po dłuższej parlamentarce targowej, stanęło na tem, że zbrodniarz przyjął, niejako podpisał wyrok księcia, zgodził się na wyniesienie swych penatów z ojczyzny... za rocznem wynagrodzeniem sześciuset franków. Tanio!

Wyniósł się... o miedzę, do La Turbie i, jak dawniej, spędzał dni całe w rodzinnem Monako. Ale wzdychał za książęcą kuchnią.

I któż powie, że księstwo Monako nie jest... rajem?

. . . .

Godzina obiadowa. Wzmaga się ruch i rozgwar na żółtym, żwirowym placyku przed kasynem. Z paszczy jego wysnuwają się sznury gości, nie mieszkających w Monte Carlo, aby wsiąść do pociągu, tramwaju lub samochodu.

Wytacza się mnóstwo Niemców, którzy lubo nie wysyłani przez Bismarka do Monako, sami odnaleźli drogę do stołów gry i zalewają tam sale kasynowe. Rozsiada się tam wiele przykładnych stadeł małżeńskich, piwem i filisterstwem cuchnących, które, obleczone w powagę germańską, zgłębiają filozoficzno-spekulatywnym umysłem fluktuacye fortuny i badają swe karnety z zapiskami, prowadzone zapewne według podwójnej buchalteryi.

W bezładnej rzeszy różnych nacyi i stanów, rozsypującej się na wsze strony, uderza mnie młodzian o miłej, zmąconej twarzy, z nieostrzyżonymi włosami, w nieco wytartem palcie. Nie wydał grosza na fryzyera i krawca, aby nie uronić ani kopiejki *(sic!)* z swego »kapitału zakładowego«. I ot, zda się, kasyno wypluwa go teraz na świeże powietrze, jako »*qualité très-négligeable*«. Za nim wychodzi piękna para Anglików. Ożywieni oboje, a nieprzeniknieni, uzbrojeni w dobre nerwy i pugilaresy. Dalej... nieprzebrana galerya ciekawych fizyognomii, typów.

A obok nas, przy stolikach kawiarnianych, toczą się głośne rozmowy, których niepodobna nie słyszeć i nie słuchać.

— *Ja, ich hab's dir gesagt, Bertha!...* — dolatuje mych uszu.

Małżonek, rozczerwieniony, jakby po pijatyce, przedstawia Bercie, że jej nieomylny system, to wierutny nonsens. Lecz Berta, nie nauczona jeszcze doświadczeniem, pozostaje przy swojem.

— *How much?* — pyta przy innym stoliku dy-

styngowany dżentelman wielkozębnej miss. — Ile pani przegrała? Cztery tysiące osiemset? Niech pani się pocieszy! Wyznam pani, że zostawiłem na tej skale z górą dwadzieścia sześć tysięcy funtów.

— I to pan mówi tak spokojnie?

— Nie jestem przez to bodaj nic mniej szczęśliwym.

Przy innym stoliku przystojny mężczyzna z jasnym wąsem i z elegancką kobietą przy boku, trochę może za ładną, za bogato ubraną na żonę. Mówią po polsku. Nie o rulecie!

On: Taki sam kapelusz, jak twój, kupię dla żony.

Ona: Z Wiednia!

On (śmiejąc się): Tak, z Wiednia!... Dobrze, że ta baba nie spostrzegła mnie z tobą na *Promenade des Anglais*.

Ona (śmiejąc się): Bo gotowa donieść, gdzie nie potrzeba, jak pan poseł pracuje przy biurku w pocie czoła!

— *Mauvais temps!* — odzywa się w tej chwili jakiś Francuz do mego towarzysza, witając się z nim, i siada opodal. — Zanosi się na słotę.

Na lazurowem niebie półtorej chmurki.

Towarzysz mój mruga do mnie serdecznie uśmiechniętem okiem.

Zaledwie garson postawił przed nim kawę, Francuz zrywa się z krzesła.

— Ta powódź w Paryżu! Coś okropnego!... Mimo to odjeżdżam dziś. Nocnym rapidem. *Au revoir!*

Pośpieszył na pociąg.

— Chciał powiedzieć: nie »mimo to«, lecz »dlatego«... To jest dlatego, że... zgrał się. Mówi o pogodzie, o powodzi, a myśli o rulecie. Tak oni wszyscy — zauważył mój monegaskończyk. — Pytanie, czy nie zobaczymy go tutaj jutro.

— A spotyka pan takich ludzi, którzy tu wygrali? — spytałem.

— O! Bardzo wielu. Nawet nie pamiętam, czy spotkałem takiego znajomego, któryby był przegrał! Każdy wygrywa... Bo każdy opowiada prawie wyłącznie o tych momentach gry, w których wygrywał. Zwykle słyszę: wygrałem tyle, że pokryją mi się wszystkie koszta podróży, może nawet trochę więcej... Ten stereotypowy frazes oznacza poprostu, że przegrał, ale ruleta nie zachwiała równowagi jego finansów. Złożył jej w daninie pewną sumę i odchodzi. Jeśli nawiedzały go mrzonki o rozbiciu nierozbitego dotychczas »banku«, to wyzbył się ich, wyleczył. Wszelako są tacy gracze, którzy wygrywają drobne sumy. Pragnąłbym jednak oglądać wygrany na czysto banknot tysiącfrankowy, który nie wróci do szkatuły kasyna... Ruleta — to kobieta. Można się z nią bawić, flirtować, wodzić za nos, ale nie trzeba brać jej na seryo, nie trzeba jej kochać, ani tracić dla niej głowy, bo wyzyska cię, wydrwi i kopnie...

W tej chwili orkiestra kawiarniana zaczęła grać — zamiast marsza żałobnego — walca z »Wesołej wdówki«.

. . . .

— Przegrałem... Głupstwo się stało. Nie pierwsze i nie ostatnie. Bez głupstw życie, i tak podłe, byłoby całkiem dyabła warte. Życie samo jest głupie, więc chcąc się dostroić do niego należycie, trzeba robić głupstwa. O to chodzi jedynie, aby robić tylko takie głupstwa, które sprawiają nam przyjemność... — rozmyślał spłukany gracz na wielką skalę, przewracając się w hotelowem łóżku, i zaczął rozbierać krytycznie przebieg swej gry.

Straciwszy ufność w swą metodę i swą gwiazdę, szukał dnia tego wokoło siebie raz »maskoty«, raz pechowca, czepiał się innych.

— Gdybym był miał pod bokiem skończonego pechowca i stawiał zawsze przeciw niemu, byłbym wygrywał niechybnie!

Nie ulegało to wątpliwości. Granitowa logika tego odkrycia uderzyła go jakby obuchem. Jaje Kolumba! Rozkoszował się swą genialnością i upatrywał w tem odkryciu wyraźną wskazówkę fortuny.

Nazajutrz wstał ze skrystalizowanem przedsięwzięciem. Udał się do administracyi najpoczytniejszego organu nicejskiego i umieścił w nim kilka ogłoszeń tej treści:

»Potrzebny zaraz skończony, fenomenalny pechowiec. Zgłoszenia pod numerem« i t. d.

Na to odebrał w odpowiedzi 297 listów.

Nie ruszając się krokiem z hotelu, przestudyował je z benedyktyńską sumiennością i ostatecznie wysortował z nich dwa pisma — dwu pechowców, wahając się, któremu dać palmę pierwszeństwa.

Jeden z nich, zalecając się jako skończony pechowiec, chwalił się, że od wyrostka, grywając w totalizatora, stale przegrywał. Próbował najróżniejszych metod i forteli, nawet dawał na mszę — daremnie. Jeżeli stawiał na faworyta, biegun łamał nogę, albo, doppingiem podniecony, szedł na cztery wiatry. Raz tylko wygrał, lecz »przyjaciel« skradł mu bilet.

Drugi pechowiec przez lat dwadzieścia i trzy grywał w loteryę bez skutku. Zawsze brał ten sam numer. Pewnego razu kolektor zapomniał o tem i sprzedał jego »numer« komu innemu. Na wszelki przypadek wziął bilet, który mu wcisnął w rękę kolektor, ale dowiedział się, gdzie mieszka nabywca »jego« numeru; pojechał do niego, dał mu bardzo znaczną sumę, jako odstępne, i w dodatku swój bilet. I cóż się stało? Otóż na numer, który wręczył mu kolektor, a który oddał w zamian, padł wielki los!... Zrozpaczony pechowiec chciał się powiesić, ale przyszło mu na myśl, że warto jeszcze przed śmiercią spróbować szczęścia na numer, którego się pozbył. Odtąd stale bierze ten numer. Ale nic jeszcze nie wygrał. Nawet stawki.

Jeden i drugi pechowiec miał uzasadnione pretensye do przymiotnika »fenomenalny«.

Gracz przywołał do siebie obu i wybrał z nich tego, którego fizyognomia przemawiała więcej na jego korzyść, albo, jeśli kto woli, niekorzyść. Następnie przyodział wysortowanego pechowca od stóp do głów i wziął z sobą na obiad.

W restauracyi wpadła mu w oko elegancka ko-

bietka. Zaprosił ją do swego stołu, lecz gamratka nie chciała na niego patrzeć, a natomiast darzyła względami pechowca. Zżymał się, gniewał, lecz ostatecznie pocieszył, tłumacząc sobie, że jeśli pechowiec ma szczęście do kobiet, to istotnie wybór jego padł na właściwego człowieka.

Nazajutrz pojechali do Monte Carlo.

Pechowiec grał pięciofrankówkami, któremi chlebodawca, sam grający złotem, wyładował mu kieszenie.

Lecz krupier zgarniał grabkami złoto, a raz wraz ciskał pechowcowi pięciofrankówkę.

Ufając jeszcze w pech swego pechowca, gracz zwiększał, podwajał stawki i przegrał kilkanaście tysięcy franków. Tymczasem szczęśliwy pechowiec miał kieszenie wypchane srebrem tak, że nie mógł się podnieść.

Wszyscy wokoło dziwili się, że przy tak fenomenalnem szczęściu ogranicza się on na najniższej stawce. On sam, uniesiony na fali brzęczących sukcesów, zapomniał o odebranym nakazie, o swym chlebodawcy, i zaczął wielką grę — z niezmiennem szczęściem.

Aż towarzysz jego, zgrany do suchej nitki i wściekły, wyciągnął go na terasę.

— Jak pan śmie wygrywać? — wpadł na niego.— I jeszcze do tego stopnia?! To oczywiste oszustwo, podstęp! Pan wcale nie jest pechowcem! Przeciwnie... Ale pan grał memi pieniędzmi. Więc to, co pan wygrał, jest moją własnością...

Pechowiec sprzeciwił się temu, bronił się, pró-

bował wreszcie dać nogę, lecz gracz przytrzymywał go, odebrał mu wszystkie pieniądze i cisnął mu w twarz:

— Oszust!

— Ja oszust? — odparł pechowiec ze łzami w oczach. — Dzisiaj, raz w życiu miałem szczęście... I cóż? Odebrano mi wszystko...

Rozpłakał się i odszedł goły, ze swym fenomenalnym pechem.

. . . .

Noc. Jasna noc, niemal podbiegunowa, błękitna, królewska, w koronie nieprzebranych słońc.

Jeszcze na długiej tafli gmachów hotelowych jarzą się duże plamy świetlane, jeszcze z otwartych okien klubu padają pasma świateł przed fasadę kasyna, zapuszczają się w cienie alei palmowej.

Gdzieś z okna wyrwał się, jak gołąb z klatki, śmiech głośny, frunął i padł w gałęzie mimozy. Potem ptak, śmiechem spłoszony, zatrzepotał nad klombami kwiatów i skrył się w konary platanów przed dwoma spóźnionymi krupierami, którzy dopiero teraz wyszli z kasyna.

Zapalają papierosy, kroczą powoli, dzieląc się spostrzeżeniami nad graczami, czy knując jakieś tajne plany. Żwir skrzypi pod ich stopami. Chrzęst oddala się, zacicha, wtapia się w ciszę.

Rien ne va plus. Śpi ruleta, zamknęła się księga spraw dziennych i na końcu wszystkiego przyszło milczenie.

Okryło chłodnym welonem śnieżne mury kasyna, zasłoniło dzieje dnia ubiegłego, wieczora — dzieje zapasów cichych, fermenty mózgowe, szalone zakusy, histeryczne odruchy, rozbite nadzieje.

I siadło na marmurach, u wejścia do domu gry, niby stróż nad znużonym, wyczerpanym światem, zadumany.

A z komina pałacu wysnuwa się cień długi — pajac jakiś na kogucich nogach, z sędkowatym, wypiętym brzuchem satyra, w czapce pstrokatej arlekina. Pajac szczerzy zęby, śmieje się głośno, coraz głośniej, błazeńskim cichotem, dzwoni kiesą złota i pieje w niebogłosy:

— *Messieurs, faites vos jeux!*

Lecz milczenie wznosi królewskie ramię, roztacza białą szatę rozwiewną czy skrzydło anielskie, i cień, strącony z dachu, ze skały tarpejskiej, wpada w morze.

Po długiej chwili wypada, niby raca, z oświetlonej jeszcze sali hotelowej promień, drgający miryadami złocistych i brylantowych blasków.

Kobieta o piersiach bujnych, obnażonych, w cudnej szacie z łuski złotej, z brylantowym dyademem nad marmurowem czołem. Blask bije od niej olśniewający, przyćmiewa go jednak świetny ogień źrenic uwodnych, czarodziejskich.

Cudna jak życie na lazurowym brzegu, staje w wylocie alei palmowej między dwiema zielonemi fontannami i z obliczem rozpromienionem, rozszczęśliwionem spoziera na zadumane milczenie, wyzywa je spojrzeniem, miażdży, wypędza.

Ale milczenie podnosi się dumnie, sztyletuje czarodziejkę wejrzeniem, wskazuje palcem na trupa, leżącego na uboczu niepostrzeżenie. A ona przysłania twarz, znika jak mara.

Milczenie panuje.

Z poza krzewów wynurza się dziwaczna postać włóczęgi — wieczystego, wszechobecnego dniem i nocą, w każdej strefie, w każdym kraju. Coś niby mężczyzna, niby kobieta — nijakiego albo raczej wszelakiego rodzaju i wszelakiego pochodzenia, o twarzy raz bladej, płaczliwej, raz czerstwej, zuchwałej, roześmieszonej, a zawsze — nieskończenie głupiej.

Pozdrawia milczenie głębokim ukłonem, podchodzi do niego, układa się u stóp jego i zasypia.

Milczenie nie budzi go, nie wypędza, bo ów wałkoń był na początku.

I tak na końcu wszystkiego zostaje milczenie.

SZWYNA.

Stanąwszy na tarasie kasyna w Monte Carlo, pan Karol, trochę rozgorączkowany, zsunął kapelusz z czoła, wsparł się o śnieżną balustradę i patrzał gdzieś w dal.

Na skraju wyniosłej skały nadmorskiej, spoczywającej u stóp jego, poza wązkim, nieznacznym torem kolejowym, pukano do gołębi. Ptaki, wyrzucane mechanicznie z klatek, na ziemi usłanych, fruwały leniwie, błędnie, jakby oszołomione, i prawie zawsze po pierwszym lub drugim strzale padały na murawę, gdzie chwytał je wyżeł.

Wzdłuż balustrady stało lub siedziało dość wiele różnojęzycznych osób, sezonujących na »lazurowem wybrzeżu« i, wygrzewając się w ciepłych blaskach marcowego słońca, spozierało na strzelnicę, na głębokie szafiry rozmarzonego morza, albo wreszcie, jak pan Karol, w siebie — w swą kieszeń.

Zatopiwszy rękę w prawej kieszeni angielskich pantalonów, przystojny Warszawiak przeliczał palcami dźwięczące skąpo sztuki złota, których nie zdą-

żyła mu wydrzeć ruleta. Potem uprzytomnił sobie zawartość portfelu i przybrał tak dystyngowanie poważną postawę, jakby pozował do portretu, dla rodziny przeznaczonego.

To znaczy: budżet jego był poważnie zaszargany. Gracz, zwykle tak chłodny i oględny, dał się unieść, wypowiedział wojnę nieszczęściu i tak odgrywając się, przegrał niemal wszystko, co miało pokryć koszty miesięcznego pobytu jego i żony w Beaulieu.

Bo upał był w salach nieznośny, z początku wygrał pięć razy z rzędu i sądził, że taka serya wygranych winna się powtórzyć. Ale nie powtórzyła się!

W tej chwili nie myślał już o odgrywaniu się, lecz o tem, co pocznie pojutrze, jak powita żonę, która, wstąpiwszy do znajomych w Nervi, wysłała go naprzód, by wyszukał mieszkanie na czas ich pobytu.

Telegrafować do teścia? Nie. W najbliższym czasie miał otrzymać od niego znaczną sumę na oczyszczenie majątku i ulepszenia gospodarcze. Gdyby już teraz, na wstępie w sferę ruletową, zażądał chociaż drobnej sumy, pognębiłby się na wieki w opinii teścia, przedstawił jako zgoła niepoważny człowiek, lekkomyślnik, szuler, któremu nie można dawać w rękę kapitałów. Wolno wygrywać w Monte Carlo, ale nie wolno przegrywać.

Przechodząc w myśli galeryę krewnych i znajomych, nie mógł na razie znaleźć nikogo między nimi, od którego poważny obywatel w tem fatalnem położeniu mógł pożyczyć bezpiecznie, bez ujmy.

Niezawodnie jeden lub drugi przesłałby mu niezwłocznie przekaz na dwa tysiące franków, lecz każdy roztrąbiłby na cztery świata strony, że »Karolek zgrał się z miejsca do suchej nitki«. A pan Karol był na punkcie opinii publicznej niezmiernie drażliwy.

Nie miał talentu pożyczania pieniędzy. Zresztą nie był nigdy w tarapatach. Wogóle w sprawach pieniężnych skrupulatny, przewidujący, nie podlegał takim zawrotom głowy przy zielonym stoliku, nie umiał szaleć, ni zapominać się. A tu nagle... Dalibóg, życie tętniące w Monte Carlo działa na człowieka oszołamiająco, jak haszysz.

Jak się to stało, że nawet tak w całem tego słowa znaczeniu porządny człowiek, mógł pośliznąć się na posadzce jaskini gry? Nie wiedział już. Ale dość, że stało się i fakt ten urągał mu w oczy.

Zaklął raz i drugi. Ale to nie przyniosło mu ulgi. Zapalił przeto papierosa i ruszył z miejsca, by przejść się po tarasie, gdy wtem napotkał wzrokiem dwoje dużych, ciemnych oczu, które, utkwione weń uporczywie, przyzywały go miodowym uśmiechem.

Oczywiście gamratka! Zawyrokował tak, bo lubo ubrana doskonale i niejaskrawie, smukła, wężowa jej postać wydzielała zapaszek ambry, drażniła zalotnem zaakcentowaniem swych wdzięków: piersi, linii bioder i łuków brwi czarnych, zalecała się gwałtownie teatralnym szykiem. Włoszka? Hiszpanka? Pan Karol nie mógł odgadnąć narodowości. Dość, że uznawał urodę iście monte-carlowego okazu niewie-

ściego, przyjmował chętnie prądy łaskotliwych spojrzeń, obiecujących wiele, aż, szukając wyjścia z rozterki, przystąpił do niej bezmyślnie i bąknął stereotypowo:

— Pani wygrała?

— Przegrałam. Niewiele. Pan zgrał się rzetelnie...

— Z czego pani wnosi?

— Nie trudno to poznać.

— Istotnie... — szepnął pan Karol minorowo.

— Bardzo mi żal!

Wyrzekła to tak szczerze, że nie można było wątpić o jej współczuciu, które podziałało jak balsam na »nieszczęściem« dotkniętego człowieka.

— Dlaczego pani mnie żałuje?

— Bo mi się pan podoba. A powtóre, czemu ma wiecznie wygrywać ten przeklęty bank? Mnie samej zabrał sporo grosza. Bardzo pan spłukany?

Pan Karol, który wobec znajomych i osób innej kondycyi byłby powiedział wszystko, okrom prawdy, nie tail się wobec węgierskiej gamratki. Wyspowiadał się do dna, nie wspominając tylko o blizkim przyjeździe żony. Doznał pewnego ukojenia, zerknął weselej w delikatnie zarysowaną, śniadawą twarz sympatycznej Kitty.

Wywiązała się ożywiona rozmowa na temat wyczerpany: perypetyi i fluktuacyi ruletowych, która zawiodła ich nieznacznie do wyludnionej o tej przedobiadowej porze »Café de Paris«, spoglądającego wyczekująco w gościnne podwoje domu gry.

Gdy zajęli miejsca przy stoliku na dworze, pan Karol rzucił nagle:

— Moglibyśmy razem zjeść obiad. Chodźmy pod dach!

Poszli. Myśl, że ma rozstać się z mile szczebiocącą towarzyszką niedoli, że ma wrócić do pustych ścian hotelu w Beaulieu i zostać sam z niewesołemi rozmyślaniami pokutniczemi, przerażała go poprostu. Zresztą, węgierska eks-szansonistka okazała się wcale niegłupia; mówiła biegle po francusku, trochę po polsku i lubiła bardzo Polaków, których poznała w swej epoce kabaretowych występów we Lwowie. Zaprawdę, jeden czy dwa »ludwiki« za obiad, nie mogły już robić żadnej różnicy w jego kieszeni.

Wieczór upływał przyjemnie. Przy winie przyszła niepamięć, posypały się pieprzne anegdoty, usta dziewczyny wydały się »poprostu bajeczne« i... pan Karol nie wrócił do Beaulieu.

Nazajutrz z rana około jedenastej ukazał się w salach gry wraz z Kitty, z którą nie obmyślił wprawdzie żadnego nieomylnego systemu »rozbicia« banku, ani nawet racyonalnej metody przegrywania, lecz postanowił zagrać, by kilku luidorami na grę spłacić swój dług wdzięczności. Na wygraną nie liczył już wcale.

Gdy przy stole »*trente et quarante*« chciał jej wręczyć pięć sztuk złota, Kitty wydobyła z srebrnej torebki portmonetkę, mówiąc:

— Ja ci dam pięć ludwików. Zagramy do spółki.

— Jeżeli chcesz... — mruknął pan Karol i postawił luidora z wspólnego kapitału.

Ale przegrał.

— Pozwól, ja spróbuję. Mam dzisiaj wenę — rzekła Kitty, stojąca obok niego w ciżbie, oblegającej zielone, tajemniczemi liniami porysowane i suto stawkami wyzłocone sukno.

— *Rien ne va plus* — ozwał się monotonny głos krupiera.

Kitty zdążyła jeszcze rzucić na stół złotą monetę i zajęła szybko krzesło, opróżnione przez damę, która miała w tej chwili dosyć tej rozrywki.

— *Le deux... couleur* — rozległ się wśród nabożnej ciszy organ krupiera.

Odwróciwszy głowę do Karola, Kitty szepnęła:

— Odejdź od stołu, bo przynosisz nieszczęście.

Bez zaciekawienia dla »głupiej« gry, Karol błąkał się po posadzce, oglądał idyliczne malatury na ścianach, przystawał niekiedy przy stołach ruletowych i, nie stawiając, próbował odgadywać liczby wygrywające, potem zamienił kilka słów ze znajomym, kłamiąc przytem i mówiąc, że nie grywa »prawie« wcale, aż powlókł się do czytelni.

Zagłębił się w arkana polityki niemieckiej tak, że było już około pierwszej, gdy zszedł do obszernego kamiennego przedsionka w różnojęzyczny gwar i w dym papierosów.

— Gdzież się ukrywasz? Szukam cię od kwadransa!

Mała Kitty szarpnęła go za ramię, podniecona, wysłoneczniona.

— Wygrałaś!?

Dziewczyna zaśmiała się, aż kilka osób spojrzało w jej stronę nie bez zazdrości, poczem szczebiotała:

— Zgadnij, ile?... Już sama nie wiem. Dziś miałam wenę. Wystaw sobie, sześć razy z rzędu wygrałam na »*inverse*«, nie podnosząc wygranych. Potem stawiam na »*couleur*« i — wygrywam! W końcu zaczęłam przegrywać.

— Ile wygrałaś?

— Obliczymy w kawiarni. Coś z górą trzy tysiące. Nie fortuna, ale... Chodźmy. Albo może wrócić się jeszcze? Wstawię setkę na »*rouge*«!

— Nie, nie, chodźmy!

— No, więc biegnij do garderoby i chodźmy. Jak tu gorąco! Uf!... Przechodzi pojęcie, jak to łatwo wygrać... gdy się ma szczęście. Aż dziwne!

Zasiadłszy do śniadania, Kitty natychmiast zabrała się do przeglądania swej torebki. Wydobywała pełne garstki stufrankówek, złota, któremu Karol, nie mniej jak ona rozpromieniony, przyglądał się tak, jakby go nigdy nie był widział.

Kamień spadł mu z serca. Wybrnął z fatalnego położenia! Dzięki tej małej Kitty.

— Na ciebie przypada tysiąc czterysta pięćdziesiąt — mówiła Kitty, podając mu odliczone pieniądze.

— Ależ nie! *Jamais de la vie!* — bronił się obłudnie Karol. — Ty je wygrałaś, chociaż...

— Bierz i kwita.

— Jeśli obstajesz przy tem... Ale w takim razie, proszę cię, weź sobie z tej sumy, ile uważasz za stosowne.

— Nic. Zgoła nic. Wiesz, co mi przyniosło taki »run« szczęścia? Oto jeden z twych luidorów, trochę na brzegu wyszczerbiony. Zachowuję go na szczęście. Chociaż później grałam tylko banknotami, zawsze trzymałam w lewej dłoni tę dwudziestofrankówkę. To szczęście! To nazywa się po polsku... Poczekaj! Ah! Już wiem: »szwyna«...

Śmiała się, łyskając bieluchnemi ząbkami.

— Chowaj pieniądze, bo nadchodzi garson!

Karol nie dał się prosić więcej. Chociaż nie odzyskał wszystkich przegranych dnia poprzedniego pieniędzy, rozradowany wewnętrznie, mówił sobie, że te pieniądze wystarczą jemu i żonie pod koniec czterotygodniowego pobytu, a wtedy będzie mógł śmiało zażądać z domu drobnej sumy na powrót. Nikt się temu nie będzie dziwił, podczas, gdy, pisząc już teraz, na wstępie do Monte Carlo, po pieniądze, wystawiłby się na ostrą krytykę, na drwinki, na śmieszność.

Po śniadaniu Kitty wysłała niezwłocznie tysiąc franków do jakiegoś banku w Wiedniu, gdzie składała »oszczędności« na starość. Resztę wygranych zostawiła w domu, prócz stu franków, które wniosła do nowej spółki z Karolem.

Ale »szczęście« frunęło gdzieś, jak błędny ognik.

Wkrótce przeto wyszli z kasyna i pojechali na

spacer, w czasie którego śmiali się i całowali, jak narzeczeni.

Tymczasem w domu czekał na Karola telegram od żony.

Przyjechała nazajutrz i ledwo zmieniła tualetę i zjadła śniadanie, kazała się zawieźć do Monte Carlo.

Daremnie odstraszał panią Marynię mąż uwagą, że jakby nałogowy gracz pędzi »tak zaraz« do domu gry, i obiecywał inne przyjemności w Nizzy. Już po południu państwo Karolostwo wpletli się w wianek osób, które spoczywały przed wejściem do kasyna na krzesłach, bramujących półksiężycem gazon, obwarowany pióropuszystemi palmami.

— Tylko, proszę cię, nie daj się porwać! — upominał Karol żonę, z pewnym niepokojem patrząc na snujące się przed kasynem osoby. — To nie ćwik lub poker domowy.

— A ty grałeś dużo?

— Ah, Boże!... Troszkę. Ale nie zapalaj się. To dobre, jako chwilowa rozrywka... Postaw kilka razy po pięć franków, jeśli koniecznie chcesz, a potem pójdziemy na herbatę. Przez ten czas, gdy będziesz w salach, przeczytam gazety.

Nagle pan Karol odwrócił się żywo do żony i z nowym zapałem zaczął obsypywać ją cennemi przestrogami, stawiając siebie za przykład.

Pani Marynia zaś lustrowała z równem przejęciem tualety, kapelusze i twarze, przesuwające

się jakby w kalejdoskopie, przyczem musiała jej wpaść w oczy elegancka brunetka, która, przeszedłszy pod ich bokiem, raz i drugi przyglądała im się ostentacyjnie, chcąc bodaj zwrócić na siebie uwagę.

— Czy nie znasz tej pani? — zagadnęła pani Marynia męża. — Obrzuca nas tak ciekawemi spojrzeniami.

— Kogo? O kim mówisz, aniołku?

— Ta ładna brunetka, w paryskim kapeluszu z różami. Teraz znowu zawraca i zmierza ku nam, nie spuszczając nas z oka. To ciekawe...

— Nie, nie widziałem jej nigdy... Może patrzy na kogo innego...

Pan Karol tak zainteresował się kwestyą, na kogo może patrzeć tak uporczywie nieznajoma brunetka w paryskim kapeluszu, że począł pilnie rozglądać się po twarzach sąsiadów.

Tymczasem pięknooka Węgierka, idąc od wyjścia z kasyna, zwalniała kroku w miarę, jak zbliżała się do pana Karola. Ze źrenic jej strzelały iskry gniewu. Oczekiwała, domagała się ukłonu, bez względu na to, że, jak domyśliła się, był z żoną. Żądała nawet. Bo, czyż nie zasłużyła na ukłon kobieta, która oddała mu przecież nielada przysługę?...

Podczas, gdy pan Karol uciekał od niej wzrokiem, pani Marynia oplatała ją ciekawemi, zdziwionemi spojrzeniami.

A ona, przechodząc tuż obok krzesła Karola, przeżuwała jeszcze jakieś słowa w ustach, aż, przeszywając go oburzonem okiem, wykrztusiła pod jego adresem syczące:

— Szwyna!...

I minęła ich, jak dumna królowa.

ZAPOMNIANY LUIDOR.

I.

Było to w piątek. A w piątek, jako w dzień feralny, pan Feil nie grywał. Jednakże wszedł do domu gry w Monte Carlo, lubo bez portfelu. Musiał wejść, jak nierogacizna w błoto. Z przyzwyczajenia, z nałogu, z nudów, które dokuczały mu zawsze piekielnie, ile razy przez kilka godzin nie miał przed oczyma zielonego stolika, kart, rulety, bilardu.

Zielona barwa działała na stargane, stępione jego nerwy jak ostroga lub jak widok żłobu na konia. Budziła go z inercyi duchowej, podniecała jak alkohol, a jednocześnie stawiała mu przed oczy cel życia i miodowem przejmowała zadowoleniem. Już zielona chartreusa i peppermint wywoływały w nim rycerską fantazyę. A nieskazitelne gazony i fontanny palm przed kasynem subtelną napawały go radością tak, iż w drodze z mieszkania przy ulicy Róż do domu gry przystawał zwykle i karmił wzrok uśmiechem zieleni, czerpiąc z niej natchnienie.

Ów szmat murawy soczystej, wypielęgnowanej, robił wrażenie ogromnego, gigantycznymi bukietami kwiatów umajonego stołu ruletowego, do swywolnych i niekosztownych przeznaczonego igraszek. Nieraz porywała go chętka wykulać się po nim, koziołkować, baraszkować i hałasować. Ponieważ jednak wybryki takie ściągnęłyby przypuszczenie, że zwaryował, więc w myślach tylko tarzał się, dokazywał i oddawał harcom na trawniku, poczem, spoważniały, poczynał pod wrażeniem zieleni szukać w ocknionych, rozfalowanych głębiach duchowych szczęśliwej liczby, na jaką należy mu wstawić pierwsze sto *sous*.

Nigdzie pod słońcem były porucznik ułanów pruskich, von Feil, nie czuł się w swej atmosferze do tego stopnia, jak w »boskiem« Monte Carlo. Niech tam ludzie gadają, co chcą, na tak »olbrzymi lokal« nie zdobyłby się sam Belzebub. W nim żyć i — wygrywać.

Mianowicie wygrywać. Gdy się wygrywa, życie dziwnie łatwe i rozkoszne. Pragnął zatem wygrać gorąco. Potrzebował nawet, bo, odkąd wydalony z armii za długi, których nikt z rodziny nie chciał już za niego płacić, znalazł się bez munduru, a co gorsza, bez nerwu rzeczy, musiał istnieć własnym przemysłem. A jedyny przemysł, jakiemu oddawał się w małym garnizonie śląskim z talentem i niekłamanym zapałem, była gra. Więc nie pozostało mu nic innego, jak uprawiać go i zużytkować bogate doświadczenia na tym najwdzięczniejszym terenie.

Jako prawdziwy zawodowiec, zadawalał się ma-

łym zyskiem. Najczęściej, zdobywszy trzydzieści franków, uważał, że zapracował na chleb powszedni i spacerował w pośród grających, szukając szczęścia, albo raczej szczęśliwych w grze rodaków, których wtajemniczał uprzejmie w nocne życie w państwie Monako, z tym wynikiem, że zgrani do ostatniej koszuli, powracali nazajutrz do hotelu — z podwójnym »kotem«.

Czasem, gdy interes kulał, mglista zdejmowała go tęsknota za siwym, ułańskim wałachem. Przypominał sobie moment, gdy poraz ostatni ucałował nozdrza ukochanego wierzchowca i wyszedł ze stajni, aby pakować cywilne manatki i jechać gdzieś w świat. I ból, jaki odczuwał naówczas, podnosił się w piersi, bo czuł, że załamało się coś w jego życiu, zepsowało. Ale wnet zmora opuszczała go; jeden kieliszek peppermintu wracał mu równowagę umysłu i oficer rozpinał zielone żagle nadziei, płynął dalej po powierzchni szampańskiego życia, zanurzał się w pianie szumiącej dokoła, w najlepszym ze światów.

W salach gry nie raziło go posępne milczenie, leżące chmurą na zbiegowisku najróżnorodniejszych osobników, które obce sobie nie składały się na klubowe zebranie, chociaż wszystko nosiło tam pozory zamkniętego towarzystwa. Ludzie ci snuli się, ocierali się o siebie, jak cienie, skupieni w sobie, obojętni, znieczuleni na wszystko okrom gry. Splatała ich nicią nadzieja, uśmiechająca się jak kurtyzana, dzwoniąca brzękiem złota i upajająca. Uwodna wiedźma nadziała ich na rożen i smażyła w pie-

kielnym ogniu żądzy, igrając z lalkami swywolnie. Owiani jej zapachem, silnym jak paczula, mocowali się z bezduszną, nieubłaganą jak faun maszyną w niewidzialnym a strasznym boju, szturmowali do iluzorycznych pozycyi. Pod maską zabawy wrzała krew, kipiała namiętność, syczała chciwość. Czasem chichotała dzika radość, często krzyczał strach okropny.

Pan Feil jakby nie wiedział o tem nic zgoła. Nie dziwił się nawet, jak przyzwoicie ucywilizowane zwierzę ludzkie przegrywa fortunę i kręci sobie kark. Nie dziwił się wogóle niczemu, a tolerował na świecie wszystko, prócz nędzy w łachmanach, rażącej jego junkierską estetykę. Natomiast wszystko, co błyszczy — uwielbiał, klasyfikując sumarycznie pod rubrykę: kultura.

W salach kasyna przeto bogate ramy, a więc malatury ścienne, festony, kandelabry, posadzki, schlebiały jego próżności i tuzinkowym pojęciom. Wśród tych ścian, w kole magnatów, świetnych tualet, pięknych kobiet, na tle złotem przystrojonej zieleni stołów wyrastał we własnem o sobie mniemaniu. Coś z tych świetności zdało się spływać na niego, otaczać go aureolą krezusa. Upojony złudzeniem, miał wrażenie, że nietylko żyje *ganz standesgemaess*, całkiem na godnej siebie stopie, ale niebawem musi zrównać się majątkowo chociażby z przeciętnym gościem, wleźć na wóz — albo raczej na samochód.

Wchłaniał w siebie pełną piersią złociste odblaski ruletowego środowiska, w którem życie przedstawiało się pod wymarzoną jego formą, i swobodny

a dumny przystawał przy stołach, okiem znawcy i miłośnika śledząc przebieg gry. Raz po raz targał jasny wąs, gładził łysiejącą czaszkę i, wplątany w zbity wieniec osób, okalających w żarliwem skupieniu stół *trente et quarante*, chodził wzrokiem po kulającem się złocie, wnikał w perypetye gry, notował je w myśli, chcąc gwałtem, jak tylu innych, doszukać się w fluktuacyach pewnych prawideł, odkryć ścieżynkę do zdobycia fortuny.

Aż uwagę jego pochłonęła młoda, przystojna Angielka czy Amerykanka. Grała bardzo wysoko; nie stawiała nigdy mniej jak tysiąc franków. Z garstkami pełnemi złota, pliką banknotów przed sobą bawiła się, jakby chodziło o orzechy. Spokój nie opuszczał jej na moment. Ani rumieniec nie zafarbował jej delikatnych lic, ani iskierka nie zamigotała w niebieskich źrenicach. Pan Feil widział ją kiedyś wychodzącą ze wspaniałego hotelu »paryskiego« i wyjeżdżającą jednym z najpiękniejszych samochodów w towarzystwie starszej damy. Z tego wszystkiego wywnioskował, że miał przed sobą milionerkę. Podziw podniósł się w jego piersi i odkrył, że była uderzająco piękna i ponętna.

Obok niej zajmowała miejsce mniej więcej czterdziestoletnia, dystyngowana szatynka o szlachetnym profilu, wyrazistych oczach, ale przywiędła i chuda. Poważne skupienie malowało się na jej misternie rzeźbionych rysach. Nie odrywała wzroku od zielonego stołu i kart w ręku krupiera. Widocznie całą

swą istotą była przy grze, włożyła w nią najintensywniejszy interes.

I ją pan Feil znał z widzenia. Od dwu dni spotykał ją przy stole obiadowym w niemieckim pensyonacie, gdzie mieszkał. Ale nie zbliżył się do niej, bo całem swem zachowaniem dawała do zrozumienia, iż nie pragnie znajomości. Właścicielka pensyonatu mówiła panu Feilowi, że była to baronowa szwedzka, która po raz pierwszy zjawiła się w Monte Carlo. Zresztą nie umiała nic o niej powiedzieć.

Z pustej ciekawości pan Feil przyglądał się jej grze i zauważył, że wkrótce po odejściu anglosaskiej milionerki Szwedka postawiła znaczną kwotę, wygrała i, zgarnąwszy szybko złoto, zerwała się i znikła, jakby uciekając.

Miejsce jej zajął natychmiast ktoś inny, gra toczyła się dalej jednostajnym rytmem, a pan Feil utkwił wyłupiaste oczy w jeden punkt sukna — na luidora, spoczywającego na czerwonem polu.

Pieniądz ten pozostał tam z piramidki złota, które kasyer podsunął grabkami baronowej. Snadź w roztargnieniu i pośpiechu nie podniosła go, czy też wysunął jej się z pełnej garstki na sukno. Dość, że został — zapomniany.

— *Rouge!* — oznajmiał raz wraz krupier.

Luidor wygrywał. Przykrywała go coraz większa grudka sztuk złotych, która rosła, spiętrzyła się w filarek, łyskając w oczach ex-porucznika jakimś piekielnym ogniem.

Przeszyła go szatańska chciwość, jak nigdy jeszcze

w życiu, przygwoździła go do posadzki, zaparła oddech w piersiach, obezwładniała tak, iż, zamieniony w słup, stał oszołomiony, czując jeno ogromny chaos w głowie.

Słyszał i rozumiał tylko jedno słowo: *Rouge!* które powtarzano co chwila. A za każdym razem dźwięk tego magicznego wyrazu uderzał w niego radosną fanfarą, jeszcze straszniejszy rodząc w nim zamęt. Blady, jak chusta, poruszał nerwowo palcami w drgawkach niemal histerycznych, z jednego tylko zdając sobie sprawę, że potrzeba mu w tej chwili ogromnej odwagi...

Atoli właśnie świadomość ta paraliżowała go zupełnie. Nie mógł podnieść ramienia, wyciągnąć ręki. Strach ściskał go za szyję, mordował. Niby w konwulsyach, przebierał ciągle palcami w powietrzu bezwiednie i wlepił ogłupiałe oczy w piramidki złota, obok którego leżała już plika banknotów.

— Czyja to stawka? — spytał wreszcie kasyer, operujący sprawnie, z precyzyą grabkami, spojrzał na siedzące najbliżej osoby, powiódł pytającem spojrzeniem po twarzach tych, którzy cisnęli się za rzędem krzeseł, niby muchy wokoło miodu.

Pan Feil poruszył się niespokojnie. Miał coś rzec, gdy kasyer bąknął:

— Gdzież ta dama?...

I w mgnieniu oka ściągnął pieniądze, które przenosiły niemal w dwójnasób najwyższą dozwoloną stawkę dwunastu tysięcy franków. Dlatego to kasyer oczekiwał, aby właścicielka albo zabrała wy-

graną, albo uszczknęła z niej tyle, aby obniżyć ją przynajmniej do dwunastu tysięcy.

Ale właścicielki nie było.

Prąd elektryczny obiegł stół dokoła, pewne poruszenie objawiło się wśród zebrania. Jeden spozierał na drugiego, wszyscy odczuli jakąś nadzwyczajną, lubo krótką przerwę, odczuli ją napiętymi nerwami i udzieliło im się uczucie, jakby zaszło coś niezwykłego.

I tak było w istocie. Kiedy karty padały na stół, nadkrupier podszedł szybko do kasyera, pogadał z nim coś szeptem i miał wrócić na swoje miejsce, gdy pan Feil zbliżył się do niego.

Odzyskał panowanie nad sobą z chwilą, gdy wygrana bez właściciela znikła mu z przed oczu.

— Znam tę damę, która postawiła te pieniądze — odezwał się do nadkrupiera.

— A ileż postawiła pierwotnie? — spytał tenże, patrząc w oczy eksporucznika.

— Luidora.

— Luidora?...

Nadkrupier zastanowił się, obliczał coś w głowie, poczem nachylił się do ucha kasyera, zagadnął go o coś i poprosił informatora z sobą do biura.

Oczywiście porucznik nie umiał podać nazwiska damy, o którą chodziło, lecz przyrzekł zawiadomić ją o tem, co zaszło, i przysłać do domu gry, gdzie odpowiedni kasyer będzie mógł stwierdzić tożsamość osoby.

Wyszedłszy niezwłocznie z kasyna, porucznik

wlókł się ku domowi pod wrażeniem niepamiętnego zdarzenia i, pogrążony w zadumie, mruczał pod nosem:

— *Donnerwetter*, *elfmal!*... *elfmal!*... Jedenaście razy!

II.

Tuf-tuf! Samochód jeden i drugi wysunął się z boku przed śnieżne, pałacowe progi i gościnne, poczciwe podwoje kasyna, biorące w objęcia wszystkich. Zabrał kilka osób, nie robiąc uszczerbku wypływającej i wpływającej ciżbie, zachrzęściał pneumatykami w żółtym, żwirowym kobiercu i posuwał się żółwio wzwyż palmami obwarowanych gazonów, niejako biorąc zapust. Defilował w pysznem tempie przed rojnem i strojnem obozowiskiem, oblegającem stoliki kawiarni i grupę czerwono wyfrakowanych muzykantów, aż wreszcie puścił, rozsiał pod nosy swąd benzyny i prysnął, tłumiąc chichot rubasznego sowizdrzała.

Fetorek automobilowy miał w junkierskich nozdrzach pana Feila jakby przymieszkę perfum. Więc porucznik zatrzymał się i lustrował dyszące wehikuły przez monokl, który zwykle wtłaczał na prawe oko podczas promenady.

Przez szkiełko to, wyposażone bodaj właściwościami magicznego pryzmatu, widział on wszystko w zielonym, różowym lub złotym kolorze. Na prawe oko był skrajnym optymistą.

Spostrzegłszy w jednym z samochodów »uroczą« anglosaską milionerkę, nietylko nie wątpił, że była istotną, kilkakrotną milionerką na wydaniu, lecz zrodziła się w nim myśl, że żądna tytułu Amerykanka, mogłaby nabyć go od pruskiego porucznika, von Feila. Przypuszczenie to uderzyło w niego tak radosną falą, że niby cygaro przygryzł w zębach koniec dużego palca i trwał w tej pozycyi bębna, zadumanego o niebieskich migdałach, przez długą chwilę, wsłuchany w czarowne tętno nadziei w swem sercu.

Ruszywszy dalej, zaklął siarczyście z chwackiem zacięciem, nawpół z radości, nawpół z żalu, że nie postawił wraz ze Szwedką luidora na czerwone pole i nie zapomniał go. Taki głupi luidor byłby bez różdżki czarodziejskiej w ciągu kilkunastu minut przemetamorfozował się w niegłupie dwadzieścia tysięcy i czterysta osiemdziesiąt franków i tak otworzył mu przystęp do przepięknej miliarderki amerykańskiej. A ponieważ grube ryby zamorskie są jaknajlepiej widziane na dworze berlińskim, zostałby potem koniuszym lub conajmniej szambelanem cesarskim.

Cóż może zrobić z przyzwoitego człowieka jedna idyotyczna, byle zacnie ulokowana sztuka złota!? *Ganz fabelhaft!* Bajeczne!

Rozcwałowana fantazya kawalerzysty wyłamała się z karbów wyścigowego toru i uniosła porucznika na zielone łany, po linii epuzerów i *rastaquouere'ów.* Dopiero osadziło ją na miejscu lewe oko, przez które widział rzeczy w świetle zdrowego rozsądku.

Zbliżył się do niego sprycik i zaczął szeptać mu na ucho:

— Czy miliarderka nie mogła poniechać wypłaconego luidora równie dobrze, jak zdenerwowana baronowa? Daleko prawdopodobniejsze. Może to ona pozostawiła tę fenomenalną sztukę złota, nie Szwedka?..

Ujrzał jakąś długą, niewieścią rękę, oplatającą kupkę złota, nie mógłby wszakże przysięgać, że nie była to rączka miliarderki...

Nawet krogulczy, wszechwiedzący kasyer tyle tylko umiał powiedzieć, że była to stawka damy, zajmującej krzesło mniej więcej w tem miejscu, co baronowa. Czy jednak siedziała tam baronowa czy Amerykanka, tego nie orzekłby stanowczo. Zwłaszcza, że w tym samym, co one, rzędzie umieszczony, nie widział ich twarzy z pod kapeluszy dokładnie.

Jeśli tak, to on, pan Feil, mógł swobodnie podsunąć dwadzieścia tysięcy franków jednej z tych dwu kobiet. Tem śmielej mógł wybierać między niemi, że, jak powiedział nadkrupierowi, nie znał ani osobiście, ani z nazwiska właścicielki wygranej sumy, że zatem nikt nie posądzi go o osobisty interes.

O ile korzystniej dla niego byłoby, gdyby oddał ją miliarderce? Cóż może ofiarować mu za przysługę jakaś baba, mieszkająca w tym samym, co on, chudopachołek, pensyonacie? Najwyżej tysiąc franków, których naturalnie nie przyjąłby przenigdy. Tymczasem miliarderka...

Wprawdzie dwadzieścia tysięcy nie przedstawia dla niej wcale kapitału, ale jednak ucieszyłaby się

niespodzianie spadającą wygraną, ubawiłaby się, jak nigdy w życiu, zadziwiła wszystkich znajomych opowieścią o swym fenomenalnym luidorze, wzbudziła tysiące lubych zazdrości w przyjaciółkach, rozgłosiła swe imię w dziennikach amerykańskich i — uczuła podziw dla dżentelmaneryi oficera, wdzięczność dla przystojnego, bardzo wytwornego i utytułowanego kawalerzysty.

Jak daleko i wysoko może zawieść znajomość, zawiązana w tak niezwykły, niemal romantyczny sposób?! Znajomość z miliarderką!...

Przyszedłszy do siebie, pan Feil nie bąknął ani słowa o luidorze do gospodyni domu, chociaż łączył go z nią zażyły stosunek. Ubrał się jak najstaranniej i po szóstej udał się do hotelu »paryskiego«.

Siadłszy w fajczarni przy oknie, pilnie śledził nadjeżdżające samochody. A gdy spostrzegł miliarderkę, wracającą z przejażdżki, dowiedział się w portyerni o jej nazwisko i posłał jej swój bilet wizytowy.

Długo czekał w przedsionku, zanim lokajczyk hotelowy, z polecenia panny Bricks, zaprowadził go do czytelni. A jeszcze dłużej przyszło mu tam wyglądać amerykańskiego zjawiska.

Nareszcie, po upływie pół godziny, stanęła przed nim miss Bricks z Montrealu, olśniewająca w prześwietnej, dekoltowanej sukni wieczorowej od Redferna z Londynu, ale odpychająca chłodnem zdziwieniem, które wiało od niej na nieznajomego.

Porucznik na wstępie uniewinnił się, że nie włada »dość biegle« angielskim językiem, zaczem oznajmił

jej po francusku o wszystkiem, twierdząc, że to ona pozostawiła na stole gry owego luidora.

Miss Bricks słuchała go ze wzrastającem zdziwieniem, a potem zastanowienie odmalowało się na jej marmurowych licach.

Wzruszyła lekko ramionami i wreszcie wyrzekła z mrożącym spokojem:

— *Je ne sais rien*... Jeśli pan i kasyer spostrzegli, że pozostawiłam luidora, to zapewne tak było. Możliwe. Ale dlaczego pan zaraz nie zwrócił mi na to uwagi, gdy odchodziłam od stołu?

— Czy pani oddala się do domu, czy staje poza krzesłami wśród innych graczów, nie mogłem odgadnąć. Zresztą luidor ten dopiero wtenczas zaintrygował mnie, gdy nikt po wygraną nie wyciągał ręki. Wówczas szukałem pani oczyma — napróżno.

Miss Bricks nie miała słowa.

— *Well. I don't know*... — bąknęła do siebie.

Oznajmiła, że uda się do biura domu gry, powtórzy, co słyszała w tej chwili, i podziękowała oficerowi za uprzejmość w dość wielu, zdawkowo brzmiących słowach.

Pan Feil odszedł kwaśny.

Przy obiedzie, nosząc sprawę luidora na ciemieniu, porucznik bezwiednie zwracał wzrok na baronową Fallstjerna, która zamieniała niekiedy z sąsiadkami banalne zdania o pogodzie, o sezonie w Monte Carlo i karnawale w Nizzy, a ile razy rozmowa przybierała ogólniejszy charakter, zamykała się w sobie. Nikt zaś nie wciągał w tok dyskusyi trochę wynio-

słej, nieprzystępnej, lubo sympatycznej osoby, a ona zdawała się żądać tylko, aby pozostawiono ją jej myślom.

W ciemnych źrenicach baronowej paliła się cicha namiętność. Na rysach szlachetnego oblicza i na zaciśniętych wargach spoczywała zimna determinacya, a całą jej postać, nacechowaną arystokratycznym stemplem, owiewał lekki obłok smętku.

W ciągu następnych dni porucznik widywał ją nieraz w kasynie grającą. Nigdy wszakże nie siadała już przy stole, przy którym zapomniała podnieść luidora. Snadź poczytywała go za niefortunny dla siebie.

Miss Bricks zjawiała się rzadko. Na ukłon pana Feila odpowiadała skinieniem głowy, nie zachęcającem do zbliżenia się. Jednakże pewnego razu porucznik, spostrzegłszy ją samą przy herbacie w oszklonej werandzie kasyna, podszedł do niej z tancmajstrowskim ruchem figury i, podkręcając wąs, ozwał się na jak najwytworniejszą nutę:

— Pani pozwoli...

Usiadł z drugiej strony stolika.

— Chciałbym dowiedzieć się z pustej ciekawości, jaki obrót wzięła ostatecznie ta sprawa, to jest, czy pani otrzymała swe wygrane pieniądze?

— Tak jest; wypłacono mi je uczciwie.

— To mnie bardzo cieszy.

Obrzucił ją snopem radosnych promieni.

Zapanowało milczenie.

Spuściwszy oczy, miss Bricks zamyśliła się.

— Zaciągnęłam wobec pana dług wdzięczności — wycedziła i, szybko wydobywając portfel safianowy, ciągnęła żywo: — Pan pozwoli, że ofiaruję mu dwa... trzy tysiące franków... Jeżeli pan uważa, że to niedostateczne...

— Przenigdy! Nie mógłbym... Nie sądzę, aby pani była mi cośkolwiek winna... Było mi miło oddać pani drobną przysługę, jeśli można to tak nazwać...

Pierwsze słowo wytrysło z naciskiem, niemal ze szlachetnem oburzeniem, lecz potem głos słabł, opadał oktawami, przechodził szybko w pomruk.

Tymczasem kilka banknotów spoczęło obok niego na marmurowym stoliku.

Miss Bricks powstała.

— Proszę to przyjąć... Dziękuję panu bardzo.

— Jeśli pani koniecznie obstaje... — wyszeptał oficer słabo.

Lecz kanadyjska milionerka nie słyszała już tego.

Tego wieczora pan Feil hulał na balu w *Casino Municipal*. On i szampan jego mieli niemałe powodzenie. Przytem porobił kilka obiecujących znajomości, mianowicie pokumał się z pewnym majętnym kupcem saskim. Wyłożył ziomkowi świetny swój plan gry w ruletę na spółkę. Gdy naiwne Niemczysko zgodziło się wypróbować nazajutrz ów »niewątpliwie dobry« system, powierzył go pieczy jednej ze służebnic erosa, pokręcił się trochę i poszedł.

Przed wyjściem »strącił« smak szampana kielichem koniaku, poczem ruszył do domu, świstając melodyjnego walca: *Quand l'amour meurt...*

Umarła miłość do zimnej milionerki, lecz Bachus rozmarzył mu głowę winnem gronem, nastroił go na nutę *dolce far niente*, wyróżowił cienie nocy bengalskim ogniem. Rozegrało i roztańczyło się w nim wszystko; nawet nogi, jakby nieco schwacone, zdradzały tendencyę do walcowych zygzaków. W cichą, jasną noc włoską płynęły powłóczyste, erotyczne, czasami czkawką przerywane dźwięki romansowego walca i ginęły w wachlarzach palm pióropuszystych.

Wielkie kasyno spało pod gwieździstym baldachimem. Spała olbrzymia skała hotelów zwartych, zaszyta w czerń, a po otwartej przestrzeni snuły się od ostatnich blasków elektrycznych jakieś szkliste widma, niby srebrne cienie po polach elizejskich. Nad uśpionym, gorączkowym światem królewskie milczenie rozpostarło pajęczynowe skrzydła.

Pnąc się pod górę uliczką w stronę *Rue des roses*, porucznik zdjął kapelusz, chłodził szczątki czupryny w nocnym zefirze, odżywianym tchnieniem morza, i nucił.

Mógł był spokojnie zgarnąć w kieszeń dwadzieścia tysięcy! Pies, kot nie byłby mruknął. Ale był uczciwym człowiekiem. Za uczciwym! A to nie płaci. Lecz gdy się kto urodzi junkrem... Trzy tysiące to skąpe wynagrodzenie. Podle skąpe. Ale zarobił je rzetelnie...

III.

— *Herr von Feil, kommen Sie, bitte...* — rzekła właścicielka pensyonatu tajemniczym półtonem do porucznika w kilka dni potem, gdy zastała go samego w jadalni przy późnem śniadaniu.

Udała się do zacisznego, maleńkiego pokoiku rachunkowego i, gdy pan Feil wszedł za nią, zamknęła drzwi szczelnie.

— Ach, jestem w rozpaczy! — wyrzuciła szeptem, niemal złamana, i splotła dłonie.

— Cóż takiego? Niech pani mówi!

— Wyobraź pan sobie! Ta szwedzka baronowa... Okropność. Nie zdarzyło mi się nic podobnego...

Odetchnąwszy głęboko, ciągnęła:

— Zwykle jadała śniadanie najpóźniej o wpół do dziesiątej. Dzisiaj dochodzi jedenasta, a jej niema. Trzeba uprzątać pokój. Potem pokojówka ma co innego do roboty. Pukam przeto do jej drzwi. (Zna pan pokój ten na pierwszem piętrze z balkonem). Nikt nie odpowiada, nie odzywa się. Drzwi zaryglowane. Pukam jeszcze. Cisza. Zdjęło mnie złe przeczucie. Kazałam posłać po ślusarza. Wchodzę do pokoju sama... Baronowa w łóżku, w pięknym negliżu, kredowo blada. Chwytam za ręce, dotykam twarzy: martwa, zimna. Myślę: udar serca! Piękna historya! Gdy się goście moi dowiedzą... Na stoliku przy łóżku widzę flakony, buteleczki. Między niemi laudanum... Otruła się dzisiejszej nocy!... Zostawiła pieniądze na moim rachunku i dwieście franków z dopiskiem: »na

mój pogrzeb«. Zresztą ani słowa. Listy i papiery jakieś popaliła na kominku. Nic... Ale przyszła do niej dziś rano depesza. Wczoraj sama wysyłała jakieś listy. Więc może kto uprzedzony o wszystkiem przyjedzie.

Podała mu depeszę, którą pan Feil ujął niechętnie dwoma palcami, jakby weksel do zapłacenia. Przejęło go uczucie mętne, głupie. Przez chwilę szukał po surducie monokla, snadź niezbędnego do odczytania pisma, a potem, bawiąc się nim w palcach nerwowo, otworzył depeszę z Paryża, która brzmiała:

»Proszę ostatni raz dziesięć tysięcy, albo żegnam. *Alfred*«.

— Dziesięć tysięcy... — bąknął porucznik głucho i kilka liczb przeleciało mu przez głowę.

A gospodyni wybuchnęła jękliwie:

— Co ja mam teraz począć, panie Feil?! Kto byłby spodziewał się tego? Taka dystyngowana osoba...

Wysłuchawszy obojętnie jej lamentów, porucznik polecił jej, aby samobójstwo baronowej pokryła tajemnicą, ale uwiadomiła o niem zarząd domu gry, który zapewne postara się o to, aby zwłoki baronowej wyniesiono w nocy, ukradkiem z mieszkania, tak, jak się to praktykuje w lecznicach dla suchotników. Zresztą nic go to nie obchodziło. Nie chciał o tem zgoła myśleć. Jedna baba mniej lub więcej na świecie...

Był bez humoru. Chmurny, jakby zgryziony, poszedł do podrzędnej kawiarni w Monako na piwo,

przetrącił piwo wódką, zapalił fajeczkę, czytał gazety i obliczał w myślach swe dość obfite plony, zebrane w ostatnich dniach.

Szczęściło mu się. Jednakże »boskie« Monte Carlo wydało mu się nagle jednostajną, nieznośną »dziurą«. Miał go dosyć. Zaczął myśleć o wyjeździe, jakby o wyzwoleniu z pętów. Coś go tu przygniatało, jak wspomnienie ułańskiego konia, który niepojętym rzutem myśli stanął mu teraz przed oczyma, rżąc, przyzywając go bodaj do siebie.

Wyjechać! Ach, wyjechać natychmiast, daleko!...

Na dnie duszy gryzł go jakiś robaczek, jak wówczas, gdy żegnał się z siwym wałachem. Uczepił się myśli wyjazdu i snuł różne plany, lecz... nie mógł jeszcze teraz pozwolić sobie na zaniechanie swego warsztatu. Gdyby miał w kieszeni chociażby dziesięć tysięcy...

Dziesięć tysięcy! Cyfra ta odbiła mu się gdzieś o uszy tego rana...

Wygra dzisiaj dziesięć tysięcy! Poniedziałek to jego szczęśliwy dzień. Czuje wenę, jakąś zdobywczą moc wewnętrzną...

Uśmiechnął się do siebie i poszedł grać.

LALKA PANA KOMENDANTA.

— U dyabła, cóż to za figura?! — wybucha każdy, tknięty zdziwieniem, kto ujrzy poraz pierwszy na ulicach Tulonu wpośród ciemnawych strojów spółczesnych i marynarskich granatów, na tle zszablonowanego tłumu, stonowanego w jeden akord kolorystyczny — krzycząco czerwone, rokokowe zjawisko, poruszające się na wzór baletnika czy linoskoczka.

Może w czasie karnawałowej arlekinady wzrok spłynąłby po niem chyżo, pogonił za pierrotami, dominami i różnemi farsowemi kreacyami trawestacyjnemi, lecz w biały i trzeźwy dzień amarantowy kawaler z XVIII wieku, ze szpadą przy boku, rzuca się w oczy, krzyczy tulipanową czerwienią kostyumu, zadziwia, śmieszy i wywołuje nieodzownie takie: »cóż to, u dyabła...«

Gdy maryonetkowa figurka około siódmej wieczorem sunie dość szybko pod platanami tulońskiego bulwaru, ludzie lustrują ciekawie trójgraniasty kapelusz z kokardą, wypudrowaną perukę z warkoczykiem, atłasowy surdut i kamizelę, lamowaną złotem,

piękny żabot z szpilką brylantową, pantalony z koronką, opadającą na cienkie nóżęta, srebrzystą powleczone pończochą, i wreszcie lśniące pantofle z klamrą i czerwonymi obcasami.

A on nie widzi nikogo. Lewą rękę trzymając przy szpadzie, prawą gładząc niekiedy bieluteńką napoleonkę i wąs, zadziera nos dumnie, chcąc bodaj wyrość ponad głowy przechodniów, zaznaczyć swą absolutną wyższość nad motłochem. Stąpa z elegancyą pazia, siódmy krzyżyk nosząc ze zdumiewającą elastycznością gumowego pajaca i sprawiając wrażenie filigranowego cacka, przystrojonego fantastycznie. Zda się, przespał coś dwa wieki na powiędłych liliach Burbonów i zbudził się, wyłonił na świat, by urągać grą barw wesołych szarocie burżuazyjnych kostyumów, tak wiernie malującej epokę zupełnej bezbarwności dusz i czasów.

Urąga stalowym połyskiem siwych oczu, marsowym wyrazem pargaminowej twarzy, siatką delikatnych zmarszczek powleczonej, i mija ludzi obojętnie, jakby drzewa, przechodzi obok kawiarni, wylewających się na chodniki, aż wreszcie znika we wnętrzu »Tawerny Alzackiej«, gdzie o tej godzinie czeka nań kilku znajomych i partyjka »*manille*« i »*écarté*«.

Zasiadając do marmurowego stolika, zarzuca rolę dworzanina, zatraca cechy swej pozy, i ot, nie różni się od przeciętnego pensyonowanego oficera.

Pan komendant Dufour wysłużył niemal trzydzieści lat w pułku »piechoty kolonialnej«, do której zawiodła go wojacka żyłka, głód awanturniczych wra-

żeń i chęć poznania egzotycznych ziem. Dosłużywszy się stopnia majora, wystąpił z pensyą dożywotnią i czerwoną wstążeczką legii honorowej, a z kolonii przywiózł sobie skłonność do paludyzmu, nieżytu kiszek i, jak twierdzą, bzika.

Jako żołnierz, był to wielki rygorysta, oficer chwacki, paradny. Lubo wyniósł z rodzinnego Chantilly tendencye i upodobania rojalistyczne, »*la France*« wymawiał przez trzy »*r*« z odcieniem gaskońskiej fanfaronady i *panache'm* Cyrana de Bergerac. Jako porucznik, kierował przez długi czas gimnastyką w pułku, uchodził bowiem za eksperta i autorytet na tem polu. A swą znajomość rzeczy unaoczniał nieraz w sposób arcyoryginalny. Zamiast chodzić po świecie, jak zwykły śmiertelnik, nieraz przed koszarami wywracał się na ręce i tak na dłoniach przechodził przez bramę obok żołnierza na odwachu, prezentującego broń przed nogami cyrkowca, i wstępował na piętro do izby oficerskiej, gdzie kapitanowie i pułkownik nie wiedzieli, czy pękać ze śmiechu, czy brać się za głowy nad jego wybrykiem.

Bywało, że w służbie obdarzał najlepiej gimnastykującego się piechura paczką papierosów, lecz odbierał mu ją, jeśli prześcignął go kto inny, i wręczał papierosy zwycięskiemu rywalowi. Ile razy »*le lieutenant Dufour*« pełnił służbę, sierżanci i szeregowcy byli przygotowani na jakąś niespodziankę, czy to na raptowny koziołek, czy na śmieszne przemówienie. Gdy pułkownik lub generał miał przyjrzeć się gimnastyce, Dufour kończył swe upomnienia w te słowa:

— Niech mi się nikt nie poszkapi! Zresztą niema się czego bać, pan generał nie ożeni się przecież z wami!

Nie mógł wystawić sobie okropniejszego dopustu niebios nad ożenek. Jakoż nietylko nie zdradzał matrymonialnych zamiarów, lecz unikał białoskórnych niewiast, jak ognia. W koloniach, zwłaszcza na odległych posterunkach w głębi kraju, nabywał murzyńską niewolnicę, którą traktował łaskawie, lecz jak psa do wszelakich posług — uważając, że tylko tak żołnierz, nasiąkły tradycyami napoleońskiemi, winien obchodzić się z białogłową. Wszelakie umizgi, gruchania, konkury i romanse kładł sumarycznie pod rubrykę: *bêtises*.

Zamiłowanie do gimnastyki nie opuściło go dotąd. Jeszcze obecnie rozpoczyna dzień od »chorągiewki«, t. j., wsparłszy się rękoma na krześle i wcisnąwszy łokcie pod klatkę piersiową, zadziera nogi do góry, poczem ostrożnie zstępuje na podłogę i przechadza się na dłoniach po pokoju. W ten sposób napędza prąd krwi do mózgu, budzi się. Następnie odbywa przez pół godziny szwedzką gimnastykę i dopiero potem zasiada do śniadania, przy którem stara prowansalka, imieniem Perrine, zastaje go w dobrym humorze.

Zajmuje on dwa pokoje z kuchenką w odległej części tulońskiego przedmieścia Mourillon, gdzie z okien ma rozległy widok na domki i wille, tonące w ogrodach, terasowo spadających na górzysty przylądek i półwysep, oskrzydlający od za-

chodu półksiężycem rozległe wody portowe, i na modre fale Śródziemnego Morza, poznaczone śnieżnemi plamkami piany, białemi żaglami i dymnemi wstęgami okrętów pancernych. Po śniadaniu komendant wychodzi do ogródka, w którym hoduje kwiaty i jarzyny, z najwyższą skrupulatnością pielęgnując każdą roślinę. Zaczem odbywa konferencyę z kucharką w sprawie zakupów i obiadu, a narady te kończą się niemal zawsze swarami, niezbędnemi panu komendantowi, zarówno jak jego słudze, do podniecenia tętna i urozmaicenia jednostajnego dnia.

Towarzyszką jego życia i najukochańszą istotą na ziemi jest »Madame«. Spędza ona dni na sofie, jak przystoi na wielką damę, w pozycyi leżącej, zalotnej, z głową usłaną na karmazynowej, tunetańskiej poduszce, na której bujne, złote jej kędziory i błękitny, koronkami obszyty negliż odznaczają się wspaniale. Do śniadania siada »madame« ubrana w elegancki »*tea-gown*«, a do obiadu w dekoltowaną suknię tej barwy, co świetny kostyum pana komendanta. Sam jaknajwytworniej odziany, usadza on dostojną damę na wysokiem krzesełku naprzeciwko siebie i bawi rozmową.

»Madame« jest pół metra wysoka i kosztuje całe jedenaście franków. W sklepie żądano za nią piętnaście franków, obrachowany komendant zaś ofiarowywał za nią tylko osiem. Długo nie mógł dobić targu, odszedł nawet, poprzysięgając, że nie da więcej nad dziesięć. Lecz postać ślicznej »Ninon« stała mu

jak żywa przed oczyma, powrócił zatem nazajutrz i ostatecznie postąpił o franka.

Niebawem przyszedł do przekonania, że »madame« jest zgoła nie do opłacenia, poprostu warta miliony. Nie dlatego, że ma duże, ruchome, niebieskie oczy, które zamyka do snu powłóczyście, lica pucołowate, rumiane jak jabłuszka, łapki pulchne, piersi wywatowane i grube nogi, ale dlatego, że kocha ją — kocha nad życie.

Kiedyś, pracując przy biurku nad artykułem w kwestyi gimnastyczno-hygienicznej na dobie, zerknął na figurkę Napoleona I, stojącą przed nim, potem popatrzył na Ninon, spoczywającą rozkosznie obok w fotelu, westchnął i wyrzekł, wznosząc wzrok na zwycięzcę z pod Jeny:

— Na to mi przyszło! Niepomny na »Ciebie«, zaprzedałem serce i duszę kobiecie!...

Lecz nagle, robiąc sobie wyrzuty, że skargą dźwięczącą w tych słowach obraził »madame«, odrzucił pióro, przykląkł przed nią na jedno kolano, pocałował ją w rękę z galanteryą, mówiąc czule, pokornie:

— Wybacz, najdroższa, niebaczne to słowo! Jam nie godzien ciebie, aniele!... Rozporządzaj mem życiem!

Wpatrując się w twarz pani swego serca miłośnie, bąknął po chwili:

— Chłodno ci, ukochana?

Osłonił jej nogi szalem i potem, siedząc u nóg jej niby średniowieczny rycerz, zalewał ją potokiem erotycznych tyrad.

Dnia tego, wychodząc na przechadzkę, umieścił »madame« w oknie, bo »w samotnych godzinach lub o zmierzchu lubiła rozkoszować się lazurami wspaniałego pejzażu, spozierać na mewy, na okręty, na zalesione wzgórza St. Maudrier, słuchać świergotu ptaków i śnić o miłości«.

Wróciwszy, pośpieszył zaraz po nią, by »nie zaziębiła się w wieczornym chłodzie«, lecz jakież było jego przerażenie, gdy nie ujrzał jej marzącej w oknie!

Wychylił się do ogrodu. »Madame« spoczywała twarzą na zagonie rezedy z rozczapierzonemi nieprzyzwoicie nogami, rozkrzyżowana rozpaczliwie.

Komendant załamał ręce, zadumał się i pokiwał głową smutnie.

— Rozumiem wszystko... Trubadur zakradł się pod twe okno, olśniony twą pięknością, i rozmarzył cię uwodną pieśnią, porwał blaskiem oczu natchnionych, płonących, ukołysał głosem i brzękiem gitary tak, iż upojona, wyciągnęłaś doń swe ramiona lube i... upadłaś.

Skamieniał w niemej boleści.

— Zemściło się na mnie... Nie kochałem, nie szalałem za lat młodych i teraz, na starość...

Jęknął, potem zbiegł do ogrodu, porwał ją w ramiona, uniósł do pokoju, usłał na sofie i gorącymi pocałunkami okrywał jej wymalowane policzki, zarzucając ją najczulszemi zaklęciami.

Na to weszła do pokoju Perrine i zabrała się do nakrywania stołu, nie dziwiąc się tej czułej scenie, jakiej nieraz bywała świadkiem. Ale pan komendant

był nierad, że brzękiem talerzy zakłócono mu erotyczny nastrój, rwano potok płomiennych zdań, których nie powstydziłby się książę de Ligne, ani żaden z wytwornych kawalerów wersalskiego dworu pani de Pompadour.

Podniósł się z podłogi zgryźliwy i, gdy zupa zadymiła się na stole, ozwał się do kucharki:

— Po ile to Perrine zapłaciła wczorajsze karczochy?

— Po dwanaście sous za tuzin.

— Hm, a w sklepie przy placu Puget rachują tylko dziesięć sous! Znowu Perrine przepłaciła!

— To się panu komendantowi śniło! Gdzieżby tam w sklepie...

— A na domiar złego były kiepskie!

— Już znowu pana komendanta coś ugryzło!

— Prawie tak były niesmaczne, jak te dzisiejsze pomidory faszerowane na śniadanie...

Talerz zadzwonił na stole.

— Jakto?! Pomidory złe?... To teraz panu komendantowi się przypomniało?! Niech pan sam sobie gotuje, kiedy tak...

— Nic innego pewnie nie pozostanie mi ostatecznie, bo coraz gorzej warzycie, Perrine, coraz gorzej.

Ten okrutny komendant wbił sztylet w serce kucharki, która, lubo przyzwyczajona do gderań, czuła się ciężko na honorze obrażoną.

Sapnęła, jak miech kowalski, zła, jak osa, i nie mając dość gromkiej odprawy, dość dosadnych wy-

razów oburzenia, trzasnęła drzwiami z furyą, klnąc w duszy »starego waryata« i poprzysięgając mu zemstę.

Gotowała coraz gorzej?! No, proszę... dwadzieścia lat jadł i nie struł się, a teraz... Żadna kucharka nie zadawałaby się z tym dziwakiem, nie spojrzała na tego pajaca! Poczekaj, ty dziadzie!

W srogim gniewie skamieniało jej serce i nazajutrz — znikła »madame«.

Gdy komendant wrócił z miasta na obiad i nie znalazł lalki, podniósł okropny rwetes, biegał po ogródku, po pokojach, wyrzucając wszystko z szafy, załamywał ręce, rozpaczał i lamentował. A kucharka z rękoma, usłanemi na brzuchu, przyglądała mu się z podełba.

— Niegodziwa, nędzna kobieto! — krzyczał pan Dufour z podniesionemi pięściami. — Ty w zmowie byłaś z nimi?! Przekupiona!... Zdradziłaś mnie i pomogłaś im do ucieczki! O, ja nieszczęśliwy!

Padł na sofę, ukrył twarz w karmazynowej poduszce i szlochał.

— *Ninon, ma rose blonde!*... Jedyna, ubóstwiana gwiazdo mego życia, czemuś zagasła? Czemuś podeptała me uczucia, tak długo hodowane dla ciebie? Za tyle miłości złamałaś mnie, zabiłaś... Niepomna chwil złotych, jakie prześniliśmy razem, serce przy sercu, dałaś się uwieść, niebogo, zwodniczym zaklęciom i poszłaś na srom, na srom, na zatracenie... Ach!...

Płakał, jak zawiedziony młodzieniec, jak mógł

był płakać nad tem, że nigdy w życiu nie miał powodu tak płakać, że nie zaznał róż miłości. Spóźniona fala uczuć, więzionych przez tyle lat, huczała w piersi starego dziwaka, tęskniącego za lalką. Wzgardzony eros pomścił się, sprawiając sobie bolesną igraszkę.

Tego wieczora komendant Dufour nie pojawił się w kawiarni i nazajutrz świecił nieobecnością w mieście. Jeden z dawnych towarzyszów broni udał się do jego mieszkania, gdzie zastał go w łóżku bardzo bladego, strawionego bezsennością i bólem.

— Nie pytajcie mnie o nic — mówił komendant. — Dość, że spotkało mnie nieszczęście... Jestem gotów na śmierć... Nie mam nic na świecie... Zostawcie mnie z moją rozpaczą!

Po wyjściu przyjaciela wsunęła się do jego sypialni Perrine z dość rzadką miną. Nie przypuszczała, że komendant weźmie sobie tak bardzo do serca »ucieczkę« madame, a wobec jego rozpaczy długo nie wiedziała, jak załagodzić wszystko bez wystawienia się na straszną scenę, której tym razem obawiała się. Poczęła bowiem podejrzewać, że miłość jego nie jest zupełnie czczą zabawką.

— *Monsieur le commandant* — poczęła nieśmiało. — Muszę panu powiedzieć nowinę... Zbliżyłam się do koszyka kotki za mem łóżkiem i nagle spostrzegłam...

— Co spostrzegłaś?

— »Madame« na gałgankach, na których sypia kotka. Snadź zawlokła ją tam w pysku, niby kocię.

— Gdzie jest »madame«?

— Położyłam ją na sofie.

— Ninon powróciła!...

Jednym susem komendant wyskoczył z łóżka, pobiegł do zbłąkanej bogdanki... przebaczyć jej, całować jej nogi, płakać z radości.

W dwa dni potem czytaliśmy w miejscowej gazecie:

»Dowiadujemy się z przyjemnością, że powszechnie znany pan komendant Dufour, który przez kilka dni niedomagał na zdrowiu tak, iż stan jego budził poważne obawy, przyszedł zupełnie do siebie. Z pewnością liczni jego przyjaciele przyjmą tę wiadomość z radością i miasto powita miłym uśmiechem dekoratywną, arcypopularną osobistość«.

V.

DWA MOMENTY PSYCHICZNE

PRZEBUDZENIE.

Pani Marta obudziła się wcześniej, niż zwykle. Było kilka minut po dziesiątej.

Rozwarła leniwie swe ciemne, inteligentne oczy francuskie na jasną, obszerną sypialnię i zefirowy uśmiech, jakby echo snu rozkosznego, musnął wązkie wargi w motylim locie.

Na marmurowym gzymsie kominka dygotał empirowy zegar, królujący wśród niebieskawych cacek porcelanowych, z Chin przywiezionych, pulsował cichuteńko, niby krew w organizmie, a dyskretne jego tyk-tak było jedynem przypomnieniem dźwięków w wysłonecznionej ciszy wysokiej komnaty.

Nasiąkła ciepłem łoża, z sennem rozmarzeniem w członkach, uniosła się na posłaniu i złamana wpół, splotła drobne, wypieszczone dłonie na kolanach, okrytych puchową kołdrą różową, odetchnęła głęboko z poczuciem skończonego, cielesnego *bien être*, rozpływającego się w żyłach eliksirem błogości. Czuła się taką wypoczętą, przepojoną pogodą zdrowia, kwitnącą w cichej radości życia.

I pozostała w tej pozycyi, zanurzona w toń bezświadomego, zwierzęcego zadowolenia – bryła jędrnego ciała wśród śniegów koronkowej bielizny nocnej i poduszek, z których wyrastała śniadawa, jakby ogorzelizną skażona, twarz dwudziestoośmioletniej kobiety, niepiękna, lecz bardzo żywa, z energią i finezyą rzeźbiona.

Druga połowa łoża była wolna, bo mąż jej, oficer marynarki, wyjechał dnia poprzedniego do Marsylii w sprawie służbowej, i poczucie, że jest sama, bez sąsiedztwa innego ciała i nie dzieli z nikim panowania nad wesołą atmosferą pokoju, przejmowało ją subtelną radością.

A przecież w czasie dwuletniej służby męża na wodach indyjskich i chińskich, owdowiała żona marynarza, zabijając nudę osamotnienia nałogową drzemką do południa, tarzała się nieraz, wiła lubieżnie na posłaniu w tęsknocie dojmującej zmysłów, które podsuwały jej przed oczy smukłą postać i wygoloną fizyognomię przystojnego *lieutenant de vaisseau*, komendanta kanonierki. Z jakiem serca biciem spozierała w pewien piękny dzień październikowy, chodząc po tulońskim *Quai de Cronstadt*, na zielonkawą, malachitową płytę wody basenowej, i wyglądała, żali nareszcie za dalekim wylotem portu ukażą się czarne kominy torpedowców, jako zwiastuny wracającej do kraju eskadry! Jak twarz jej drgała od złotych odbłysków rozsadzającej ją radości, gdy dwie łodzie podwodne, zaledwie wązkim paskiem wystające ponad wyzłoconą powierzchnię morza — coś niby ko-

mary delikatne, biegnące nizko przed stadem olbrzymich ptaków wodnych — wpłynęły pierwsze do zatoki portowej, gdy za niemi ukazała się flaga admiralska na maszcie potężnego pancernika i jakaś kobieta, jak pani Marta, żona marynarza, huknęła na głos:

— *V' là »La République« du vice amiral!!!*

Wszystkie oczy wyleciały ku trójbarwnym flagom, co, strojąc stalowe cielska potworów morskich, fruwały tryumfalnie pod błękitami nieskazitelnego sklepienia — wyleciały niby mewy głodne, na powitanie ukochanych, kochanków i mężów. Zagrała muzyka, zakipiała radość, zerwała się salwa oklasków i — pani Marta spoczęła, pijana szczęściem, w szczęśliwych ramionach kapitana.

I teraz wzrok jej brylantowy błądził po cudnym pejzażu portu tulońskiego, który hen nizko rozpościerał się przed ogromnem oknem domu w górnej, na stokach Mont Faron położonej części miasta. Poza płachtami dachów, przeplatanemi zrzadka wierzchołkami palm pióropuszystych i dumnych platanów, błękitniał czworobok wody, ujętej w ciemnopopielatą girlandę murów, porosłych kamiennemi budowlami straży portowej. Pod jedną ścianą basenu szeregował się rząd ponumerowanych torpedowców czarnych, nizkich, podstępnych, a na przeciwnym brzegu, do którego zbliżały się zabudowania arsenału, na milowej rozłożone przestrzeni, sterczały dwie odwieczne galerye drewniane — uhonorowane prababki, co ongi walczyły w ogniu bitwy trafalgarskiej, a teraz oślepłe,

nagie, szkieletowe, zionęły śmiertelną pustką z szeregów okien.

Mały parostatek pasażerski przecina wyzłoconą taflę »*Vicille Darse*«. Wypłynął z obrębu basenu, szybuje w błękity i szafiry przestworza portowego, rozlewającego się ogromną, miryadami blasków drgającą łuską wspaniałą. Grzbiet gór, świerkami parasolistymi porosłych, piętrzy się na zachodzie, oskrzydla osady malownicze i port opiekuńczem ramieniem, wydłuża się potem ku wschodowi w międzymorze piaszczyste, w półwysep wązki, najeżony lasem, i sierpem okala rozkołysane barwne wody, tworząc tak idealnie ochronną przystań.

Usłały się na niej w odstępach miarowych olbrzymie statki pancerne, za nimi krążowniki chyże, a wśród tej zbrojnej plejady uwija się, niby psiak żwawy, smukła pinasa, rozwożąca rozkazy admiralskie. W łonach stalowych twierdz wre życie, lecz zdala wydają się one wmurowanymi na wieczyste czasy kolosami, nutę posępnej powagi wprowadzającymi w pejzaż, wesołemi malowany barwami, uśmiechnięty, jak lica majowej dziewczyny, ciepłem promieniejący, czarowny.

Śmieją się do niego źrenice pani Marty, jakby ukołysanej panoramą z lazurów, błękitów i słońca gorącego utkaną, wyciągającą do niej ramiona namiętne.

Z poza ściany pancerników wynurza się krążownik, rusza ku wyjazdowi z portu. Zapewne na ćwiczenia strzeleckie, na zawody z działami ostoi nadbrzeżnych.

Może to »Fraternité«?... Na jego pokładzie odpłynie wkrótce jej Armand do Senegalu — na dwa lata...

O tym wyjeździe, wiszącym nad nim, o tej nowej, długiej ich rozłące mówi się i myśli nieustannie od kilku tygodni, aż do znudzenia. Bo zaprawdę, ów wyjazd, ów smok, grożący im od tak dawna, poczyna już nużyć panią Martę tak, iż w tej chwili — w chwili jasnowidzenia, uświadomienia i szczerości — ma w duszy słowa:

— Ah! niech już sobie jedzie!

Czemu? Przecież tylokrotnie wspominała o blizkiem rozstaniu z mężem pierwsza, i to z łezką w oku, która wydawała się jej szczerym serca wyrazem A teraz nagle czuje, że w ostatnich czasach był to dźwięk zdawkowy, konwencyonalny, przyuczony praktyką małżeńskiego pożycia, gdyż odjazd Armanda nie martwi jej, nie smuci, lecz przeciwnie raduje, niby — wyzwolenie.

Z czego? Przecież ona go kocha? Mówiła to sto razy jemu i sobie, uważa go niezmiennie za najlepszego męża, zasługującego na głębokie przywiązanie. Nie zdradziła go nigdy w czasie dwuletniego wdowieństwa. Nie widzi zresztą na swym widnokręgu żadnego mężczyzny, który przemawiałby do jej organizmu nerwowego i sercowego tak silnie, by przyćmić, zbanalizować, pognębić obraz męża, wyryty w jej duszy. Nie kocha nikogo innego, nie pragnie kochać, nie śni o innej, jakiejś egzotycznej miłości niezaznanej. Nie!

Tymczasem raptem zaziera jej w oczy zdumiewające odkrycie, że już nie kocha.

Jakto? Czyż tkliwe słowa, zaklęcia, uściski, pieszczoty i szały, jakimi darzyła go przez lat tyle, były fałszem, kłamstwem? Bynajmniej, płynęły odruchowo ze zdroju serca jej, atoli — zdrój wyczerpał się do dna, wysechł poprostu — bez zewnętrznego powodu, i tam, gdzie jeszcze kilka tygodni temu czerwieniły się róże gorące, bielą się nikłe kwiatuszki sympatyi. Zgasło, umarło uczucie...

Nigdy nie wiemy, kogo wypadek każe nam pokochać, ani dlaczego, ani jak długo żyć będzie to uczucie. Ma ono, jak człowiek, swą młodość własną, swe lato, jesień, swe letargi i długie sny zimowe, chłodne ranki i upalne wieczory. Ma swój koniec. Pędzi żywot zupełnie niezawisły od naszej woli, od naszego rozsądku. Czar miłosny, jak motyl kapryśny na kwiecie, siada na duszy, otula ją barwnemi skrzydłami i odlatuje, fruwa, kiedy mu się podoba.

W osłupieniu niemem spoziera pani Marta na powiędłe kwiaty w ogrodzie swej miłości. Nie może pojąć metamorfozy, jaka zaszła w składnikach jej serca, nie może zrozumieć, gdyż najtrudniej zrozumieć to, co jest skończenie, idealnie proste. Władze umysłowe w analitycznych zakusach rozbijają się o fakt, niby o głaz granitowy.

Mniemała bowiem — jak bodaj wszyscy ludzie, wyjaśnienia zjawisk duchowych szukający jedynie na zewnątrz, — że, jeżeli uczucie raz wkorzenione zamiera, rozwiewa się, dzieje się to na skutek przy-

czyny lub szeregu przyczyn zewnętrznych, pracujących nad tem uporczywie krecią robotą. Tymczasem daremnie wnika okiem sędziego śledczego w męża, w pożycie, w stosunki rodzinne, w poszukiwaniu czegoś, co poczytaćby mogła za powód, który odstręczył ją od niego, zdjął z niej czar i wyzwolił ją z pod hegemonii mężczyzny. Jedynie w sobie samej znajduje wytłumaczenie przeobrażenia. Bez woli, bez wiedzy wyemancypowała się z więzów miłości, wyrosła z niej, jak z krótkich spódniczek.

Dziwne to w przedziwnej prostocie.

Jakby przez kiry nocy głębokiej szła dotąd, w miłości powoje spętana, haszyszem jej oszołomiona, do tego wielkiego momentu w swem życiu duchowem — do tej wielkiej godziny przełomowej, etapowej. Szła, nie wiedząc, dokąd idzie, nie przeczuwając, że idzie ku narodzinom nowej w sobie wartości — człowieczeństwa, które wyniesie ją z wonnej wyspy Cytery i umieści na nowym gruncie.

Już raz przeżyła taki moment przetworzenia zasadniczych pierwiastków duszy i wzbogacenia wewnętrznego — gdy z dziewczęcia przekształcała się w kobietę. Wówczas w organizmie jej działy się dziwy, jakby nawałnic seryą spowodowane, lecz młody jej umysł nie zdawał sobie sprawy z żywiołowych przewrotów i tak wstąpiła nieświadomie w nową erę, w nowy świat wyobrażeń i pragnień. Teraz zaś, w pełni swej dojrzałości, w rozkwicie swych sił duchowych, w samotności wysubtelnionych, uchwyciła i zrealizowała moment przebudzenia.

Jak ów okręt, płynący sam na otwarte morze, czuje się teraz jednością, niezawisłą od innych. Odłącza się od nich, wynurza z obręczy błękitnego portu, wypływa...

Ani cień żałoby nie chmurzy wygładzonej cudownie powierzchni jej duszy, nie mroczy jej czoła, ani łza za minionem szczęściem nie tryska z wirydarza serca.

Nie kocha Armanda. To fakt, który zrodził się w niej, jakby dziecię z płodu. Gdyby danem jej było wydać na świat dziecko, powitałaby je słoneczną radością, objęła sercem rozegranem, i podobnie fakt ten, wykwitły z jej organizmu, przejmuje ją subtelną szczęśliwością pątnika, co wędrował długo do celu swych najszczytniejszych pragnień. Widzi w nim coś prawidłowego, przyrodzonego, na szlakach kosmicznych ręką przeznaczenia zapisanego. A jednocześnie coś, co nieci w niej nieznaną iskrę dumy. Dźwięki radosne przechodzą jak żefir po włóknach jej duszy i wydobywają z niej akord, któremu na imię: wyzwolenie...

Oddycha pełną piersią; zda się jej, że pęty, jakie nosiła przez wszystkie dni swego bytowania — pęty przeróżnych zależności, często miękkie i złociste, ale pęty — opadły nagle z jej nóg i skrzydła wyrastają u ramion.

Wznosi je, wyciąga do krajobrazu słonecznego, jakby przycisnąć go chciała do piersi, bo nigdy jeszcze barwnych tych przestrzeni morskich nie widziała tak

uroczemi, i jakby chciała wzlecieć i zanurzyć się w kryształowych falach wód, blasków i życia.

— Życie! życie! Przecudne życie!... — grają napięte struny duszy w cichej ekstazie bezprzedmiotowych, nieuchwytnych nadziei.

Przeszłość niknie, snem wydając się nierealnym, rozwiewnym, i teraz dopiero, gdy samoistnem okiem ogarnia przestwory, czuje, że otworzyły się przed nią podwoje do królestwa życia, a ona, z mgławic wynurzywszy się różowych, wychodzi niby oblubienica na spotkanie — szczęścia!

Życie! Co kryje się w szczelinach tego niebotycznego wykrzykniku — nie wie. Może znaczy to tyle, co wyżyć się do dna, czyli, ująwszy ster swój we własne dłonie, pokierować nim tak, by wszystkie drzemiące w nas potęgi uzyskały pełne swe zastosowanie, by wszystkie pragnienia napiły się w cudownej życia krynicy. Pragnienia te nienazwane wrą w niej, jak lawa, grożąca przelewem poza krawędź wulkanu. I z błogiego zamętu tryskają iskry nadziei fajerwerkowych — zwodniczych.

Kiedyś gadatliwa jej niańka prawiła, że człowiek zmienia się co siedem lat. Wzruszano nad tem ramionami. Jednakże ona stwierdza to na sobie teraz, że nie było to bajką, że w nieustannej przemianie materyi tkanki jej przeobraziły się w swych ramach i istota jej uległa metamorfozie. Spozierając wstecz, na przebyte pasmo bytowania, dostrzega na niem zwiędłe, pogubione liście pojęć, wierzeń i umiłowań, które, z soków jej zrodzone, były wówczas wszy-

stkiem, aż okazały się niczem — łupiną, opadłą z owocu, co dojrzewał w ukryciu I tak miłość zdała się ostatnim wyrazem, rtęcią jej duszy, aż zsunęła się z niej, niby mgła czarowna, bóstwo kryjąca, by odsłonić człowieka.

Jest wolna... Lecz jakim będzie jej stosunek do męża? Jaką jego rola w jej życiu? Z jakiem czołem powita go jutro wracającego i pożegna niebawem odjeżdżającego?

Wielkie jej odkrycie na zawsze musi być opieczętowane milczeniem. Nietylko dlatego, że on nie zrozumiałby jej zgoła i wyjechał z urazą, bólem, rozterką w duszy, lecz przedewszystkiem z tego względu, iż czuje, że sakramentalny moment taki, jako sprawa li tylko ją samą obchodząca i jedynie dla niej doniosła, musi pozostać świętą jej duszy tajemnicą. Nie umiałaby zresztą oblec w sylogizmy mistycznego uczucia, jakiego doznała, znaleźć formę dla wizyi, jaka ją rozświetliła, ni wyrazu dla przedziwnego nastroju radosnego, jak nabożny pielgrzym nie umie zdać sobie sprawy z dreszczu egzaltacyi w chwili podniesienia hostyi.

Więc wypadnie jej kłamać!... Grać rolę wczorajszej, umarłej żony, by nie domyślił się, że teraz już w czasie rozłąki nie będzie pławiła się we łzach tęsknoty, wzdychała za nim, jak niewolnica za panem, ciążyła ku niemu, jako ku osi swego jestestwa, ośrodkowi swej istoty. By nie domyślił się, iż odtąd jest sam i ona samą, że stanęła na własnych nogach, uniezależniła się od dominującego jego wpływu, gdyż

pierzchnął ów cień lęku, co drżał zawsze na dnie duszy jej w obliczu jego wyższości — męskości.

Dziś czuje się już nie żoną, lecz tylko towarzyszką, łączącą się z nim wizyą rozkoszy i różnych wspólnych im interesów. Może oddawać mu się, ale nie jak nałożnica, zakontraktowana na zawsze, jeno jako pani, rozporządzająca sobą swobodnie. A gdyby w jego nieobecności zbliżył się do niej inny mężczyzna... Kto wie? kto wie, co przyniesie jej jutro, należące teraz nie do niego, lecz jedynie do niej?

Pani Marta nie odpowiada sobie na zagadnienia, przesuwające się przez umysł, nie wnika w swe jutro, nie snuje planów, nie wyznacza drogi postępowania. Kąpie się w cichem, rozkołysanem morzu słonecznego zadowolenia, napina żagle, spoziera poza dzień wyjazdu Armanda śmiało i wesoło.

Światło bije z jej rysów, wzbogaconych teraz nowym wyrazem, ciepło wygodnego łoża przeszywa jej duszę, i w łonie jej dźwięczy potężna struna: wolna! wolna! wolna! wolna!

Drzwi poruszają się cichuteńko. Wchodzi garderobiana.

— *Madame* już nie śpi?

— Dopiero w tej chwili się przebudziłam...

TAJEMNICA CISZY.

(Kartki te znalazłem w papierach przyjaciela, znakomitego malarza, przedwcześnie zmarłego, i ogłaszam je drukiem ze względu na to, że zdają mi się odzwierciedlać ciekawy moment psychiczny).

Nie zapomnę tego nigdy...

Zwykle, gdy myśl nasza zabłąka się w uschłe zarośla przeszłości i pocznie szukać tam momentów, co na płycie pamięciowej zapisały się najtrwalszemi głoskami — okazuje się, że wszystkie chwile egzaltacyi zmysłów, upojeń, zachwyceń, oczarowań, które naonczas wydały się kwiatami paproci, postradały swe złote barwy, straciły swą woń rajską, rozkruszyły się w próchno.

Natomiast chwile, gdy góry nieszczęścia waliły się na głowę, gdy los katował duszę, torturował serce, gdy, wijąc się w męczarniach, gryźliśmy palce, darli włosy, klęli dni nasze i skłaniali się w ramiona śmierci-kostuchy — wychylają się do nas z pomroków prze-

szłości, stają przed nami w innej szacie, budzą w duszy przedziwne echa. Bo cierpienie jest najintensywniejszem z uczuć, sięgającem do rdzenia istności naszej, wyłonionej z cierpienia.

A cudne to echa! Z dawnego bólu uleciała ostra, gryząca treść, odpadła łupina i jedynie cała istota bólu powraca do nas, niby ptak biały, wspaniały, i, witając go, jakby niebiańskiego gońca, pojmujemy, że cierpienie jest święte — jest jedyną na ziemi świętością.

Nie lubię wspomnień... Duch mój młody, zapatrzony w tajnię jutra, wyzłoconą blaskiem nadziei, odwraca się od mar, majaków, złud, ucieka od przeszłości, jako od tego, co nie istnieje, co nie da się zużytkować już w silnych, żądnych pracy dłoniach, jako materyał do dzieła jutrzejszego. Ucieka, jak przed czemś, czego niema — czego może nigdy nie było...

Teraźniejszość tylko jest czemś w tym śnie dziwnym, co się zwie życiem.

A jednak pieszczę, jak kwiat marzenia, jedno wspomnienie... Myśl, syta karmu codziennego, znudzona wędrówką i włóczęgą po piaskach świata, odrywa się od prochów, fruwa, wzlata w złotą rubież wspomnienia tego. Niby pisklę, kryje się pod albatrosowe skrzydła jego, kąpie się w księżycowych odbłyskach tego błogosławionego stanu duszy, kiedy dane mi było wydrzeć Ciszy najwyższą tajemnicę — tajemnicę najwyższego szczęścia...

Już słaby odbłysk tej chwili boskiej wynosi mą

duszę na tęczę brylantową... A wiem, że kiedyś, może niedługo, raz jeszcze, przeżyję ów najpiękniejszy, największy fragment mego życia, że raz jeszcze będę tak niewypowiedzianie szczęśliwy i tak niewypowiedzianie wielki — w przedzgonnej mej chwili, u progów przeogromnej Ciszy.

To wiem.

Nigdy o tem nie mówiłem nikomu. Bo jakim cudownym środkiem naracyjnym czy suggestywnym możnaby przenieść swe nastroje w zimną pierś słuchacza? Czyż w lutni jego duchowej istnieją struny, które, obudzone i dotknięte, odpowiedziałyby sympatycznem zrozumieniem?

Nie! Nikt bowiem nie doznał takiego wrażenia, nie przeżył takiej chwili, nie śnił nawet o tem, że ją przeżyć można, nie przeczuwał, iż tak przedziwny brylant uczucia zabłysnąć może na skali uczuć ludzkich...

Mówiłbym do kamieni.

Ale opowiem to sobie, by z śnienia o słońcu wyssać, wziąć w duszę jak najwięcej blasków i w ich toni zapomnieć, zapomnieć...

Nad pejzażem wieczornym zawisła gołębica—Cisza przeogromna — najskończeńszy wyraz Boga...

Śnieżny statek »Italia« zakołysał się nieznacznie, roztoczył kręgi i wstęgi miękkich fałd na skamieniałej tafli jeziora Garda. Zatrzepotał pletwami, odsunął się od przegniłego pomostu i począł rozcinać łabędzią piersią kryształy soczystych szafirów — wszystko to spełniając w tak nabożnem milczeniu, by nie zakłócić,

nie kalać świątynnej ciszy, leżącej na wodach w całym przedziwnym majestacie.

Płynął pośrodkiem zwężającego się ku północy jeziora, między dwie strome ściany granitów potężnych, które, wysunięte niespodzianie na pasterskie niziny nadbrzeżne, stróżują nad modrą tonią wód, przeglądają się w zwierciedle, mroczą, pogłębiają jego błękity i szmaragdy, a z południowego brzegu majaczą, niby cieniste widziadła olbrzymów, zamarłych w posępnej zadumie. Płynął coraz więcej podobny do wielkiego ptaka, jakby apokaliptycznego, kurczył się w sobie, karłowaciał, zanurzał w niebieskawe przezrocza, co zdały się unosić oparami nad senliwą oddalą i owiewać stoki i zbocza cytrynowe gór chropawych.

Odpłynął gdzieś w ciszę, w błękit, w dal. A z nim odszedł odemnie wszelki interes dla tego, co ziemskie. Została samotność i — Cisza.

Desenzano, usłane na weroneskiem pobrzeżu jeziora, nie dawało znaku istnienia. Oddychało wieczorowym pokojem, dostrojone do królewskiego otoczenia, zapatrzone w misteryum piękna, ukołysane w sen anielski.

Opodal, na pomoście, czerniły się sylwetki kilku zastygłych w oczekiwaniu ludzi, z wędkami w rękach, lecz byłem sam z przyrodą, sam w łonie przygasającego pejzażu — z duszą jego w mistycznym zespole.

Zapadłem wzrokiem, duszą w kanwę barw pastelowych, w malarską treść obrazu i pasma idealnej,

skończonej ciszy spłynęły na wygładzoną powierzchnię duszy, otuliły ją pierzastą warstwą, opancerzyły przed odgłosami świata, skowytem niedoli ludzkiej. W tem aniołów spowiciu opadły łachmany bytowania codziennego, pyły znikomości, gałganki błahostek — kajdany cielesności i więzy ziemskości. Zacichło tętno serca, usnęło życie w piersi, usłało się na niemych wód szybie, na łonie Ciszy niepokalanej. Spłonęła wszelka myśl, wszelkie uczucie, wszelkie chcenie; przeciekło to przezemnie gdzieś, jak woda rdzawa, nieczysta przez sito, i ze skorupy cielesnej, umarłej w bezwładzie niepamięci, wyłoniła się jaźń kryształowa — w rzeczywistość, przetopioną w świat ideału.

Mocą zachwytu wszystkich w jeden kamerton zharmonizowanych czynników wewnętrznych dusza wyzwolona wzleciała ponad czas i przestrzeń, niby dźwięk arfy eolskiej czysta, w brylant łzy boskiej zaklęta i jakby rozświetlona czarem pejzażu i boskością Ciszy przeogromnej.

Niczem nie była dusza ta, jeno przecichem, w blask srebrny zamkniętem poczuciem absolutnej swej harmonii i jedności — czuciem, złożonem jak wianek na marmurowych stopniach świątyni Piękna.

Rozpięta na tęczy Spokoju, pochyliła się na krawędź Niepoznanego...

Słońce zapadało poza grzbiety gór, oskrzydlając roztopioną purpurą, niby wachlarzem, ostrą koronkową szarfę konturów górskich. Ściemniałe kolosy zrazu płonęły, zionęły ogniem krwawym — kratery, na chwilę zbudzone do życia wulkanów. Potem pro-

mieniowały wstęgami królewskiego, rozpalonego złota, koronując Przyrodę aureolą najwyższego majestatu. Wreszcie zadymiły się kadzielną kurzawą fioletów żałobnych, gasnących.

W naturze stawał się smętek.

Omroczyły się głowy Monte Tretto i Monte Pizzocolo, spochmurniały olbrzymie piersi Monte Baldo, i z łona gór, żalem wezbranych, wypłynęły smugi westchnień tęsknych — gazy perłowe, ociekające eterycznymi popiołami na wody. Rozpoczęła się gra barw szarych, popielatych, w milionowych przemianach i odcieniach — przedziwna symfonia światłocieni wieczorowych, rozlewając na świat bezmiary rezygnacyi i ukojenia. Powoli, powoli zasnuwały się siatką snu góry i wody — splecione w jedność — w marzenie wieczorne.

Wraz z pejzażem roztapiałem się w perłach, lecz popielaty smętek nie kładł się na duszy żałobnym akordem. Bo w tym krajobrazie południa był on snadź nasiąkły takiem morzem ciepłoty, był czemś w szarocie swej tak odmiennem od zwykłego nastroju kolorystycznego, czemś po dziennej orgii barw tak spokojnem, w zasadniczy ton zharmonizowanem i dzięki temu nad wyraz czarownem, że dusza oniemiała stanęła w zachwycie, przyjmowała go za błogosławieństwo, czerpała z niego nektarowe krople skończonego ukojenia i szczęśliwości.

Chociaż przez gazy te szła noc, szła śmierć...

Ani na mgnienie czasu jaźń moja nie drgnęła lodowatym dreszczem; odkąd Bóg-Cisza położyła świętą

dłoń na duszę człowieczą i zamieniła ją w kryształową gwiazdę Ciszy przeogromnej, nie było w niej lęku, ani żadnej rzeczy ziemskiej. Jak matowo stalowa szyba jeziora, usłana pod dżdżem popiołów, spoczywała w łonie Nieskończoności i przyjmowała nabożnie zrządzenie konieczności, jako najwyższe, jedyne dobro.

Cisza — śmierć. Pojęcia te odzwierciedliły się jako jedność w istocie mej, która, przygotowana do przyjęcia sakramentu, spozierała w oblicze Śmierci, jak święty w księżycową zjawę bóstwa.

Po udręce życia poraz pierwszy i jedyny spocząłem — u nóg bladolicej, w dyadem gwiazd strojnej mistrzyni życia: Śmierci — z poczuciem takiej zgoła niewysłowionej szczęśliwości, jakiej nie poznałem na ziemi nigdy, przenigdy...

Cudna, boska chwila spoczynku duszy.

Chwila wyzwolenia od życia.

Chwila zakrólowania nad życiem.

Chwila najwyższego uznania i najwyższej pogardy dla życia.

Chwila zenitowej mądrości i szczęśliwości...

Bo z łona Ciszy boskiej wyjąłem jej tajemnicę — kamień mędrców i prawdę prawd:

»Najwyższem szczęściem jest zrozumieć wszystkiemi tkankami istoty, że najwyższem szczęściem jest — śmierć!...«

VI.

RZECZY WIELKOPOLSKIE

GULIWER.

Krzywe to było chłopczysko, bo krzywe, ale dobre z gnatami.

A nic, prócz gnatów, nie uwydatniało się w jego chudej postaci, wyrastającej pochyłym słupem z pośród zgrai mniej więcej ośmio- czy dziewięcioletnich sekstanerów poznańskiego gimnazyum »*Ad Sanctam Mariam Magdalenam*«. Coś, niby straszydło na wróble, sterczące nad gaikiem rozkołysanych, pustych makówek — tem straszniejsze, że dołem odziane w krzyczące, jasno-żółte nankiny, porysowane w tak ogromne kraty ciemne, jakich dotychczas nie widziałem w życiu nigdy. Chyba na karykaturach angielskich.

Zachodzę w głowę, rozbijam ją sobie, niby o zagadkę czwartego wymiaru, skąd u dyabła ten człowiek wyrwał tak nieprawdopodobne spodenki! Zaiste, warto było żyć i siedzieć na ławie szkoły, aby oglądać takie cudo materyału sukiennego i — ich właściciela.

Z tych nadzwyczajnych krat, wachlujących wokoło chudych nóg, wyrastało rusztowanie gnatów w ciemnej powłoce, z długiemi śmigami ramion, z lewą łopatką niższą od prawej i czarną głową, stale i sympatycznie na lewo ciążącą. Cała figura zdradzała tendencyę do okręcania się na ociepkę, do zwinięcia się w psi kłębek i zaśnięcia. Gdy wprowadzał w ruch ten niedbały zespół kości, zdało się, że dźwignął się dopiero co ze snu, nie rozprężył członków jeszcze i za lada nieostrożnym krokiem tułów, nogi i wszystko rozpadnie się, rozleci, jak klocki drewniane, słabo spojone. Lecz chodził powoli, z powagą brytana, wśród hałaśliwych, czupurnych a psotnych psiaków, obskakujących, szarpiących go na wszystkie boki i czmychających sowizdrzalskim obyczajem.

Było to bowiem ulubionym sportem naszej szkoły, która wszakże, monopolizując go i uważając igraszki na koszt jego za wyłączny swój przywilej, przeciwko wszelkiej zaczepności ze strony ucznia innej klasy protestowała gwałtownie natychmiastowymi kułakami. W danym razie cała klasa, przez jakieś i w bandach rzezimieszków znane *esprit de corps*, była gotowa stanąć do walki o niego i o swe prawa. I zaprawdę stawała...

Jak się nazywał — nie pomnę zgoła. Dość, że zwano go powszechnie Guliwerem, w skróceniu Gulem, a miano to, snadź dobrze dobrane, tak do niego przylgnęło, że bywało, iż wobec błędnej odpowiedzi na najprostsze pytanie, profesor odzywał się w przystępie dobrego humoru:

— Nie wiesz tego? Toż nawet Guliwer cię pouczy...

Bo był on uczniem słabym, lubo pilnym. Zawsze cichy, niemrawy, zwieszał się nad ławą, jakby czapla nad stawkiem, słuchając uważnie i wykonywając zazadania najlepiej jak umiał. Tylko, że nie umiał.

W moich oczach wszelkie jego braki, jako ucznia, wynagradzała stokrotnie nieruchliwość jego szeroko barczystej figury, gdyż — i tego zazdrościł mi niejeden — za temi goliatowemi plecami mogłem robić wszystko, co zakazane. Dzięki tym zacnym plecom, wydoskonaliłem się w modnej grze w piórka, wycinałem scyzorykiem śliczne inicyały i arabeski na ławie, a mianowicie odbywałem awanturnicze podróże po dalekich lądach i morzach. A tak pięknych, nadzwyczajnych wypraw nie odbywał ani sam Jules Verne, ani chyba nikt, bo najpiękniejsze podróże — to podróże dziecięcej wyobraźni w bezmiary nieznanego życia, w słońce szczęśliwości nieistniejącej...

Na wspomnienie o Guliwerze taje mi coś w piersi, źrenica mgłą jakąś zachodzi...

Krzywe to było chłopczysko, bo krzywe, ale dobre z gnatami... Nigdy nie »babował« profesorom, chociaż nieraz zadawano mu różne męki. Najpopularniejszą zaś z nich było, gdy na komendę: »sera Gulowi!« banda urwisów rzucała się błyskawicznie z obu stron w jego ławę i, odpierając się co sił nogami, napierała nań, ugniatała go niemiłosiernie na placek, przyczem w dodatku walono miażdżonego po

czarnej łepetynie książkami, z okrzykami dzikich Indyan w puszczy leśnej.

Nasza klasa była — w cichem, dumnem przekonaniu każdego z nas — najhałaśliwszą, najniesforniejszą sekstą pod słońcem...

Przemieniała się jednakże w trzodę baranków na lekcyach profesora dr. Wojciecha J., który posiadał jakąś magiczną moc pacyfikacyjną nad nami, a to — jak dzisiaj rozumiem — poprostu dzięki temu, że... nas kochał. To, co inny nauczyciel byłby skarcił surowo, on przyjmował z wyrozumiałością, i przez reprymendę przeświecał złoty uśmiech dobroci, rozlewający się, niby oliwa po burzliwych bałwanach, prądem ciepłoty przedziwnej po fermentujących głowach, a nawet sączący w serca coś, niby blask.

Kochaliśmy pana Wojciecha.

Więc i w ów pamiętny piątek — w przededniu wakacyi wielkanocnych — w białych ścianach seksty wzorowy panował spokój, gdy na katedrze zaczerniła się długa postać pana Wojciecha.

Zrazu załatwiał on jakieś formalności, a ja akurat wyjeżdżałem ze wspaniałym, zbrojnym zastępem na walną rozprawę. Już po wstępnych szermierkach mieliśmy rzucić się w krwawe zapasy, zetrzeć na miazgę wrogów, gdy uderzyła mnie nieznana nuta w głosie pana Wojciecha i wyjrzałem z poza szlachetnych pleców Guliwera.

Chmura głęboka wisiała na brwiach profesora. Oczy miał spuszczone, twarz zagasłą, bolesną, gdy zacichły, niemal zmartwiały, zaczął cedzić cichuteńko:

— Jest to ostatnia moja lekcya z wami... i zarazem ostatnia wasza lekcya... w języku polskim...

Głos mu się załamał, utkwił w krtani i milczenie świątynne rozlało się nad nami.

Wszystkie oczy uwięzły w zmęczonem jego obliczu, wszystkie usta oniemiały, bo czuliśmy instynktownie, że w ostatnich jego słowach mieściło się coś bardzo ważnego, wielkiego i bolesnego. Przystąpiła do nas po raz pierwszy ogromna powaga życia, z pełni swej wysnuwając siną wizyę krzywdy i siała mistyczny lęk.

Długa upłynęła chwila, nim pan Wojciech odzyskał mowę:

— Jak pewnie wiecie, zostałem przeniesiony daleko stąd... w głąb Niemiec... do Westfalii. Tak postanowiono... A na moje miejsce przyjdzie profesor Niemiec, który nie będzie was może rozumiał, moi chłopcy... ale, niemniej, powinniście...

Nie mógł mówić. Rwało się w nim coś w kawały i szlochało, jęczało w duszy, lecz nagle podniósł się, przysiadł na katedrze, wyrastając w pomnikowy kolos.

— Odtąd będzie wszystko w języku niemieckim. Tak postanowiono... Nie będzie to dla was łatwo, moi chłopcy, ale musicie uczyć się tem gorliwiej, by nawet w niemieckiem prześcignąć tych... Niemców, którzy niebawem zasiędą tu, obok was, na ławach. A przytem...

Tu wzrok pana Wojciecha, jakby wyolbrzymiałego, przeszedł po twarzach naszych promieniem sło-

necznym, i sylaby, złotem jakiemś obciążone, poczęły kapać na struchlałą głowę seksty rosą brylantową:

— Nie wolno wam zapominać nigdy, że jesteście Polakami... Nie wolno wam zapominać nigdy, że... Polak musi być mędrszy i dzielniejszy od...

Głos, rozedrgany organów muzyką, upadł — w toń żałości. Przysłonił oczy dłonią i, skamieniały, siedział tak bez słowa. A my z zapartymi oddechami patrzyliśmy na pochyloną jego głowę i w sakramentalnym nastroju braliśmy w siebie jego łzy, niewypłakane może, ale przepalające zbiorową duszę małej czeladki ukropem wonnym.

— Nie zapomnicie tego... Prawda?

Z niemej, zahypnotyzowanej gromadki podniósł się donośny głos Guliwera:

— Nie zapomnimy nigdy!...

Pan Wojciech spojrzał na niego niezapomnianym wzrokiem i snadź błogie ukojenie wstąpiło w niego, bo uśmiech nieśmiały wykwitł mu na usta i — po długiem milczeniu przecudnem, które oby wiecznością było! — zagadnął go ojcowskim tonem, czy nauczył się wierszy polskich.

— Umiem ten wiersz, który pan profesor raz czytał! — zawołał Guliwer radośnie.

Wyszedł przed ławy i, zwróciwszy swą śniadą, dziwnie dobrą twarz do nas, mówił:

»Święta miłości kochanej ojczyzny!
Czują cię tylko umysły poczciwe,
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe...«

Mówił bez cienia patosu, ze skończonym spokojem rozmodlonego, gołębiego serca, jakby szepcąc pacierze. Zaczem zbliżył się do pana Wojciecha, pochwycił go za rękę i wykrztusił:

— Żegnamy pana profesora!...

— Żegnamy!... — ryknęła klasa i stało się coś niezwykłego.

W mgnieniu oka wszyscy stali dokoła nich, oblepili katedrę, jak rój much, garnęli się niby pisklęta do pana Wojciecha i składali na jego ręku gorące pocałunki. A on obejmował pochylone nabożnie głowy »swych« malców, tulił je do dygocącej piersi, do wezbranego serca, bierzmował je pocałunkiem, umacniał nas wołaniem cichem a wymownem:

— Pamiętajcie, chłopcy!...

Już nie wiem, jak skończyło się to »ostatnie polskie«, bo wszystko to potem skropliło się w mej duszy w jedną srebrną łzę harmonii przedziwnej...

W łzę świętą...

Łzę polską...

Lecz młodość — to uśmiech. Więc, gdy o czwartej wypadliśmy z klasy na plac Bernardyński, rozsypali się po zielonych ogrodach, grała w nas żywiołowa fantazya bez nazwy.

Tam, na Zielonych Ogrodach, spotykaliśmy się ze strumieniami niemieckich »gimnazyastów«, wychodzących z poblizkiej szkoły niemieckiej. Nieraz na nich wyładowywaliśmy zapasy młodzieńczej wojowniczości i przychodziło w otwartem polu do utarczek krwawych, które w kilka lat później zawiodłyby

malców polskich w mury więzienne, do zawziętych bójek, w których tornister służył za tarczę, pięść za taran, a gwóźdź za lancę.

Nagle któryś z nas rzucił w powietrze świst złowrogi i hasło ciche, zapalne jak iskra, przeszyło gromadki smyków:

— Dalej na nich!

I w jednej chwili mała seksta runęła falangą w potok napływających coraz większych i mocniejszych uczniów z szumem nawałnicy. Zwaliła się na nich z niesłychanym rozmachem jazdy zuchwałej, zwycięstwo niosącej w sobie, waląc kułakami, szturmując piórnikami, żgając gwoździami.

Zawrzał zamęt nie do opisania. Dwie wrogie fale stężały w sobie, zwarły się i skłębiły w wężowy, rozedrgany splot ludzki. Ramiona, pięści, nogi wystrzeliwały migawkowo z zagmatwanej, zażartej ciżby, trzepotały się w konwulsyjnych drgawkach i przepadały w ogólnym, zgiełkliwym rozhoworze. Jeden nieprzyjaciel, drugi, trzeci padał na ziemię, w sekundzie zsypywało się na grzbiet jego stado sokole, rozwichrzone, błyskawiczne, aby na chwilę zerwać się z pobitej kupy, wwiercić w nowy zwał ciał ludzkich, aby walić, grzmocić, siec, tłuc, kopać i rozpędzać.

Nie daliśmy im dnia tego ani chwili do oprzytomnienia i zorganizowania obrony. »Borussia« szła w rozsypkę, »fugała« w popłochu. Waleczna, lilipucia armia sekstanerów, wzmocniona z flanki przez kwintę i kwartę, przejechała się pysznie, »galantnie« po łbach pruskich...

A w pośrodku bojówki sunął nasz olbrzymi Guliwer, wymachując pięściami na oślep, więcej duchem, niż ramieniem działający. Unosił go rwący prąd, którego on sam był ojcem.

I on jeden poległ w tej walce...

Snadź, jako najwyższy, podpadł komuś z wrogów szczególnie. Nazajutrz przyszła denuncyacya z niemieckiego gimnazyum i — wydalenie Guliwera. Zginął dla nas chlubnie,

Już nigdy nie spotkałem go w życiu.

Ale pozostało chłopczysko to na kwiatach pamięci mej, w tajnym wirydarzu serca, jako pierwsza, a nie ostatnia ofiara systemu pruskiego, jaką znałem.

Jako pierwszy bohater...

Ale chyba nie ostatni...

POLONEZ OGIŃSKIEGO.

Wsparty na lasce, sędziwy fabrykant spozierał poprzez żelazne sztachety swego ogrodu na panoramę miasta, rozpostartego u podnóża patrycyuszowskiej dzielnicy przedmiejskiej, zasłanej willami i pałacykami, tonącej w bukietach zieleni zacisznej, drzemiącej w złotem słońcu beztroski.

Z posłania domów, zanurzonego w opalową topiel mgieł leciuteńkich, strzelał las kominów fabrycznych, zionął dymnymi kłębami, które powłóczystemi wstęgami płynęły uroczyście w słoneczne roztocze, kalały brutalną czernią lazurową toń sklepienia, jakby rozwiewając się w chorągwie tryumfalne i uzmysławiając światu panowanie przemysłu na tej niemieckiej ziemi.

Okiem wysłużonego admirała patrzał starzec na to morze, po którem żeglował pół wieku, na maszty kominów dumnych, na okręty warsztatów fabrycznych, na ogromną flotę pracy ludzkiej, i muskał dłonią białe bokobrody *à la Kaiser Wilhelm I*, rozpoznając

wśród lanc olbrzymich swój komin i cielsko swej, synowi przekazanej fabryki.

Chętnie karmił wzrok tym dobrze znanym widokiem, gdyż bezwiednie ssał z niego eliksir ogromnego zadowolenia z siebie, ze swej stalowej wytrwałości, mocą której młody przybłęda bez grosza, bez stosunków, wyrósł jako istotny *self mademan* na dostojną firmę, na potentata przemysłowego. Z prochu wzniósł się na szczyty miasta, które nazwisko radnego: *Herr Joseph Falkowski* wymawiało niejako z pokornym pokłonem uznania i czci.

Potem wzrok jego przeszedł na ulicę, defilującą przed tą częścią ogrodu — na aleję pustą, żółtą, niby szafranem starannie wysypaną, gdzie właśnie odnawiano jedną z poblizkich will, i stwierdził, że nawet w nowej szacie nie zaćmi ona bogatej jego siedziby, która między dwoma skrzydłami ogrodu przedstawiała się wspaniale, jako może najcenniejsza perła w naszyjniku klejnotów. Zaczem skrył się do ulubionej altany, oskrzydlonej od strony ulicy gęstwiną bzów, i spoczął w fotelu, w błogosławionym pokoju słonecznej starości, w ciszy dnia letniego, którą niekiedy przerywały mile młode głosy, dolatujące z boiska tennisowego, niby ptaków urwane świergoty.

Za drzewami mignęła biała sukienka, wypadła tęga, hoża dziewczyna z rakietą w ręku i skoczyła do ojcowskiej »Laube'y«.

— *Papachen, soll ich dir etwa ein Glas Bier holen? Ja?*

— *Nein, danke, mein Kind* — odparł Falkowski,

ojcowskiem okiem całując rozróżowione lica najmłodszej córki.

Panna Klara zdała sprawę z perypetyi gry, poprosiła ojczulka, by zechciał popatrzeć na młodzież, ucałowała go głośno i frunęła. A on odprowadził ukochaną szczebiotkę czułem spojrzeniem, myśląc, że pewnie niebawem zabierze mu ją przystojny lejtnant-artylerzysta. Potem zostanie sam na powiędłych liściach wspomnień...

Rozwinął gazetę i wnet pochłonęły go sprawy miejskie, gdy raptem głos trąb przeszył powietrze, rozdarł spokój.

Już znowu wędrowni muzykanci! I nie mogli nie częstować ludzi modnym walczykiem, który w ich wykonaniu zdał się niedźwiedzim tańcem. Snadź front willi budził w nich ufność i nadzieję hojnego datku; w grupę zwarty kwartet rozstawił przed nią pulpity na żwirówce i poczynał koncertować na dobre. Po tym skocznym wstępie przeszedł do poważniejszej, lepiej brzmiącej muzyki. Zaintonował dyskretnie coś, jakby marsza uroczystego.

Zrazu muzykalne ucho starca czuło się nieco obrażone rykiem nieszczególnych instrumentów. Cisnął w stronę grajków gniewliwe spojrzenie, opędzał się od natrętnych tonów, niby od much, lecz na dźwięk marsza na sympatycznych rysach przez wiek zoranej maski zawisło zastanowienie. I wzrastało, pogłębiało się, kamieniało.

Cóż oni grali? Co to za marsz, natchniony ogromną powagą — dumny, pompatyczny, wspaniały

grandezzą heroiczną? A nie tryumfalny — raczej smutny, przepojony bezbrzeżną żałością załzawionych serc... Przy tej muzyce kroczyć musieli bohaterowie jacyś w toń niedoli czarnej...

Gazeta zsunęła się na ziemię, stary Falkowski oplótł dłonią czoło, zacisnął mocno, jakby chciał wydobyć z czaszki gwałtem odpowiedź, bo melodya ta, znana mu skądś, kiedyś dawno posłyszana, uderzyła w najtajniejszą strunę duszy jego, wstrząsnęła nim do głębi i czuł, że musi dowiedzieć się, co to za...

Polonez! Oczywiście! Jak można było nie poznać natychmiast? Ale bo dawno nie słyszał już poloneza...

Przymknął powieki, opuścił się w głąb fotelu i został tak, wtopiony w tony, dziwnie wzruszony pod królewskim pochodem poloneza, który zabrał go, wywiódł nieznacznie gdzieś w inne światy, w dni młodości dalekiej, na zapomniane łany nadwarteńskie... I nagle skuł czaszkę w kleszcze rąk drżących, przysłonił oczy, pełne łez, i cichy jęk rozpętanego serca wypłynął z ust jego łzawym strumieniem...

Polonez Ogińskiego...

Zerwało się coś w wezbranej piersi, stargało. Zaszlochał, rozdarty wspomnieniem, co wyczarowane z świetlnych wstęg muzyki, zaświeciło przed nim obrazem świętym...

W wysłonecznionej ciszy pokoju, na białem łożu postać mężczyzny, skończenie blada, skończenie zacichła... Gaśnie, niby gwiazda, co żyła potężną iskrą miłości ojczyzny... Słońce jego ziemi kadzielnemi smugami pada w zacisze świątynne pokoju, kładzie u stóp

łoża złote wieńce uznania, całując martwą rękę żołnierza... A zdala, poprzez otwarte okna, jakiemś cudownem, boskiem losu zrządzeniem płyną fortepianowe dźwięki... tego poloneza...

Les adieux à la patrie... W nich żegna żołnierz ojczyznę, odchodząc nie borem, nie lasem... daleko. Nie! W nim teraz ojczyzna wdzięczna składa mu na czoło ton hołdu, żegna wiernego swego syna... I z ostatnim tej muzyki akordem, cień siny przesuwa się gazą po licach, po szyi, ramionach. I spada zasłona na życie ciche, czyste i... polskie.

Boże! Wielki Boże!... Skąd muzyka ta dawna przyszła do niego, odnalazła go na obcej ziemi?... Czemu wkradła się w morze niemczyzny, w które rzucony, niby szczeniak na zagładę, pogrążył się tak doszczętnie, że utopił w niem ojcowskie ideały i ukochania gorące?... Czemu wstąpiła do wirydarza jego serca, targnęła rozdartą lutnią?...

Straszny wyrzut granitem uderzył w pierś starca tak, iż złamany, stoczył się, runął twarzą na ziemię... do stóp śmiertelnego łoża ojcowskiego i zatarzał się w żrących łzach rozpaczy...

Boże! Przeszedł czystą nogą przez kałuże i ciernie życia, zbudował krwawicą szczęście rodziny i spoczął w hamaku uznania ludzkiego, pewien, że przeżył owocne swe życie dobrze i zaszczytnie... Aż raptem odkrył, iż w tej wędrówce pogubił, zaprzepaścił najpiękniejszą schedę ojcowskiej duszy, wykoleił się z linii, przez niego wytkniętej, iż wyrzekł się, zaparł ojca i... swej biednej, bardzo biednej ojczyzny.

Więc ten polonez nie zagrał mu nutą hymnu dziękczynnego, lecz uderzył w pierś renegata gromem potępienia... Może duch ojca zesłał mu na smugach tej drogiej muzyki zwiastuna śmierci z echem swej klątwy?...

Renegat! Zaprzaniec!... Nikczemnik!...

W śmiertelnem przerażeniu dziewczyna przypadła do ojca, leżącego na ziemi, w morzu boleści ogromnej.

— *Um Gotteswillen, Papa!...*

Umilkła — wobec dziwnego wyrazu jego bladej twarzy. Usadziła go na fotelu, przylgnęła do jego nóg miłośnie i spozierała w jego oblicze natchnione.

A on przycisnął jej głowę do piersi, dygocącej kurczowo. Może pragnął, by nie mąciła nastroju mową niemiecką, by uciszyła rozdrgane serce, zamknęła je całe w wianek swej miłości, przysłoniła mu wszystko...

— Później ci powiem...

Szept eteryczny uleciał z warg posiniałych i milczenie katedralne zawisło nad ich głowami głębokimi cieniami.

Wreszcie starzec drgnął i wyjął z głębin duszy bolesne wyznanie szeptem umierającego grzesznika:

— *Mein Kind...* Ja źle żyłem, źle... Opuściłem matkę w niedoli...

Cisza.

Hen, w oddali, zabrzmiał znów polonez Ogińskiego...

PIĘŚĆ MARCINA WILCZKA.

Cieniom Bolesława Prusa.

I.

Pociąg zadudnił wesoło, załopotał wszystkiemi ogniwami, przeleciał niby wąż potworny między kamienicami, skręcił na ociepkę z rozmachem parobczaka, zajeżdżającego czwórką i, nimbyś z bicza chlasnął, wpadł na peron poznański.

Zasapał się porządnie. Ze spracowanych płuc wydobył się świst długi cichym, żałosnym sykiem zakończony. Splunął obficie na bok i odetchnął sobie. Zasłużył na półgodzinny wypoczynek.

Noc była głęboka. Koło dwunastej. Ale na peronie rojno było, niby na targowisku, i chór pisklliwego, babskiego rozgwaru powitał szumnego parobczaka, jakoby drużbę. W mig, kiejby czubate kury na grzędzie, zszeregowały się wzdłuż pociągu różnobarwne, pstre chustki, nad któremi piętrzyły się garby ogromnych tłomoków, i nuże cisnąć się do niego, napierać tak, że ani sposobu wydostać się z wagonów.

Więc konduktor jeden i drugi wpadł w stado niewieście z pełną gębą i począł odpędzać baby, które ustępowały, acz opornie. W wędrówkach za chlebem nabyły takiej nieufności do niemieckiego plemienia, że podejrzewały, iż odgarnia je na złość od cugu, co miał je zawieźć do domu, na Kujawy.

A okrutnie im się chciało do domu. Toż całe pięć miesięcy marnowały się hen, na Saksach, harowały w pocie czoła na obcej roli, więc nie dziwota, iż śpieszno było sierotom na ojczyste śmieci.

»Wszędzie dobrze, a najlepiej w domu« — mówi przysłowie, choć też nie całkiem po prawdzie, boć na obczyźnie to im wcale nie było dobrze. Tyle, co uciułały trochę groszyczka. Słota, nie słota, pracuj człecze, niby bydełko pociągowe, a gdy nastanie godzina wytchnienia, pilnuj się, kobieto, trzymaj kupy, by jaki zbereźnik nie napadł cię, nie poturbował, nie okradł. Lada jaki bursz patrzy na polską dziewkę, kiejby na zwierzynę, którą każdemu wolno upolować. Każdy, byle fajkę w gębie miał, wobec polskiej niewiasty hardy jak zbój, że to z Polakiem robić można, co się komu chce.

Kobiczka tedy na krok się nie odstępują. Wieczorem, pod dachem strawy uwarzą, zjedzą, pośpiewają trochę: »Kto się w opiekę« i, zamknąwszy drzwi na zamki i kłódki, spać.

Tera nareszcie do domu! Bojały się kobiety, że cug je ostawi. Wyczekały się za nim bez cztery godziny, a tu konduktor poczyna robić im jakieś wstręty. Szwargoce cosik, że mają takie wielgachne

tobоły, że to z tyloma piernatami wsiadać nie wolno.

Szwargoce i szwargoce. Baby patrzą się na niego, chustki na głowach poprawiają, nosami kręcą, bo jakże bez betów mają wracać do chałup?

Poszedł konduktor do innych urzędników. Gadają, radzą, żaczem podchodzi znowu do pstrokatej czeladki.

— *Nicht erlaubt!* — powiada. Że to niby nie wolno z tobołami.

— O! laboga!

Baby gwałt podnoszą.

— To my tu chyba, niebożęta, bez noc się ostaniemy!

— Co poczniema, kobiety?

— Żeby ich wciornaście!...

Jedne lamentują, mamrocą, pomstują, inne stoją zgłupiałe, w stadko zbite, niby kuropatwy, co, echo strzału posłyszawszy, przykucły, skuliły się i bezradnie czekają, co będzie. Dwie, czy trzy prześcibłe dzieuchy, poszeptawszy coś między sobą, szarpnęły jedna drugą za kiecki i cichaczem smyknęły do wagonu, myśląc, że ich konduktory nie dojrzą. Ale wnet jeden ozoczył je. Dopada, krzyczy, odgania, jakby czujny kundel, oszczekujący bydło, by w szkodę nie wlazło.

Już raz gwizdnęli. Jeszcze chwileczka, a cug pryśnie do Gniezna, do Inowrocławia. Straszna markotność zdejmuje kobieciska, serce im się ściska, gdy wtem jedna, niby koza, wyskoczy i krzyknie:

— Kobiety!! Porzućta tłomoki i jazda!

Dzieucha, jak się patrzy. Włosy bujne, jak len, oczy, jak chabry, gęba gładka. Rosła, szykowna, kiejby huzar, a sama w sobie tak, że się pod korcem kartofli nie zegnie.

Więcej od słów przykład pociąga kobiety. Gdy Marynka ćpła swój tłomok na peron i skoczyła do wagonu, inne dalej za nią owczym pędem. Porzucały toboły i drą co sił do cugu. Tłoczą się jedna bez drugą prędziutko do czwartej klasy, językami trzepiąc.

Świsnęli drugi raz, ale pociąg ani drgnął. Albowiem baby, kłopot z siebie zrzuciwszy, zwaliły go na karki urzędniczej zgrai, która teraz stoi nad furą betów i po łbach się skrobie, nie wiedząc, co z tym fantem począć. Przecież babska będą się upominać o swoją chudobę! Co to będzie skarg, pisaniny! A niechże je! Niech już sobie!...

Wpadają konduktorzy do przedziałów i nakazują zabierać bety prek.

A babom tego dwa razy powtarzać nie trzeba. Zrywa się stado, bieży po piernaty i nimby człek zmówił zdrowaśkę, już wszystko w wagonach z tłomokami.

Powaliły toboły na środku przedziału. Jedne powtulały się w szpary, niby między snopy, reszta dookoła obsiadła czworokątną klatkę, a wszyćkie śmieją się z radości, że aż...

Pociąg żachnął się. Snadź zły, że polskie kobiety

na swojem postawiły. Zderzył się żelaziwem groźnie, ale rusza.

Jadą! Jadą z betami do doma...

II.

— A niechże cię, Marynka, toś dobrze wymyśliła!

— Niech ci Pan Bóg da zdrowie!

Mówią kobiety kontentne, a Marynka dumna. Raduje się w sobie tak, że nie wie, co powiedzieć, jeno chichoce się zcicha, niby trzpiot, któremu udał się figiel.

Gorący rumieniec tryska na lica dziewczyny, gdy nagle z kąta odzywa się męski głos cywilnie:

— Zadała panna Niemcom orzech do zgryzienia i wszyscy do kupy mu nie poradzili...

Marynka zerkła z podełba na kmiecia, z miejska przywdzianego, który, wsparty na żółtej, blaszanej walizce, nie spuszczał z niej figlarnych oczu.

Znudzony babskiem trajkotaniem w Poznaniu, wyjrzał przez okno na peron i był świadkiem konszachtów z urzędnikami.

Marynka czuje, że coś trza odrzec, by chłop nie myślał o niej, że to ona gapa, więc po namyśle odzywa się szczerze:

— Gdy widzę, cug już ruszy, ścisnęło mnie cosik na dołeczku, tak, że nie mogłam się ostać.

— A dokąd droga?

— Do Szymborza.

— Do Szymborza?... — powtarza poruszony chłop. — A dyć-ć to podle mojej wsi. Może panna słyszała o Marcinie Wilczku z Jaksic?

Marynka ciekawem spojrzeniem ogarnęła kujawskiego sąsiada.

Chłop niewielki, niższy od przeciętnego Kujawiaka, ale barczysty, pełen krzepy w kościach i hardości w postawie. Twarz pociągła, z przystrzyżonym wąsem, jakby z kamienia wykuta, chłodna, spokojna i otwarta, w świat jasno patrząca i rozwagą wielką nacechowana. Snadź chłop ma nerwy jak postronki, siłę niepomierną i głowę nie od parady.

Jak wszelki naród kujawski hardy i twardy, karku nie ugina przed byle kim. Dawniej do wypitku bardzo był skory, a do bijatyki jeszcze więcej, bo takie już raz kujawskie nasienie. Jak się do szklanicy przysadzi, »zdrowo« pije, fantazyą junacką strzela i do bitki wnet się bierze. Ale jak sobie powiedział: »dość gorzałeczki!«, z równą zaciętością omijał okazye i ani kieliszka powącha.

Taki Kujawiak długo się zastanawia, nim postanowi, ale kiej na kieł weźmie, to wal weń toporem, nie piśnie, nie skrzywi się, nie ugnie, nie złamie, jakoby dąb, z drzew polskich najmocniejszy. Wyrosło to na ziemi nie byle jakiej, jeno na pierwszoklasowej, pszennej i buraczanej, wyżywiło się na bujnej piersi matczynej, więc mocy nabrało niespożytej, skórę ma niezdartą, odporność i uporczywość okrutną, i na innych z góry patrzy. Boć to Kujawiak!

Marynka też miarkuje sobie, że jaksicki gospodarz, to nie chudopachołek. Przypomina sobie, co o Wilczkach słyszała i mówi:

— Zna pan Wilczkową Małgosię?

— To była moja kobieta. Zmarło jej się na św. Wojciecha, będą już trzy roki. Ostał się po niej Wojtuś. Spory chłopak. Gęsi już pogania.

— Małgosię znałam, kiedym jeszcze była skrzat. Nieraz ze mną, smarkatą dzieuszką dokazywała, bo mieszkała kole moich ojców, wtenczas w Łojewie: Jakóba Krzypczaka.

— Jakóba?

— A Jakóba.

Marcin głową pokiwał. Ciepło mu się zrobiło na wspomnienie znajomej twarzy i stron rodzinnych, jakby powiał nań wiaterek od kujawskich rżysk kochanych, jędrne niosąc zapachy.

Inne kobiety w przedziale — że to pochodziły albo z Pałuk, ode Żnina i Gąsawy, albo z Kujaw, od Bachorzy i Gopła — coś niecoś o Wilczkach słyszały. Niejedna wiedziała, że Marcin siedzi na trzydziestu pięciu morgach nolepszej gleby, skiba w skibę buraczanej. Były takie, co znały go i matkę jego, z ojca Ślimaka zrodzoną, która po śmierci Wilczkowej gospodarzyła mu jako najtęższy chłop. Strasznie baba gospodarna.

Tak tedy poczęto gwarzyć o tem i owem, a szczególnie o urodzajach, zwyczajnie, jak to sąsiedzi. Ale Marcin mało co wiedział, bo prawie gościem bywał w swej chałupie. Jakoś krótko po śmierci żony po-

szedł na robotę do Westfalii i odtąd rok w rok tkwił na obczyżnie, pieniąchy zgarniał, w kasach szparował, a w domu jeno na czas zasiewów i kole żniwów się pokazywał.

Kobiety ciekawe, więc pytały, czemu to Marcin chociaż nie święta, ni w polu pilna robota, jechał do Jaksic. Ale on tylko coś niecoś półgębkiem na to bąknął tak, że mądre z tego nie były. Za to na Marynkę często oczy podnosił i sam chętniej pytał, niż odpowiadał.

Wiele kobiet śpik zmorzył, inne z Wilczkiem i Marynką gadały sobie jeszcze, gdy wszedł do przedziału urzędnik od biletów, jakiś kwaśny, jakby się zgniłych jabłek najadł. Może nie widziało mu się, że kobiety tobołami dokuczyły urzędowi, a tera gadają sobie z polskim chłopem. Począł baby budzić, żądając okazania biletów.

Wilczka już o kartę nie pytał, bo przedtem ją ostemplował, ale przed wyjściem zagadnął go:

— *Wohin fahren Sie?*

Wilczek, powoli głowę uniósłszy, popatrzył się nań, jakby mówił: »a tobie co do tego, kiejżeś mój bilet dawno oglądał?« Chwileczkę tak gapi się na niego, jakby do cna nierozumiejący, i odpowiada po polsku:

— Jadę do Inowrocławia.

— *Wohin?*

— Do Inowrocławia.

— *Wohin fahren Sie?* — rozdziera się urzędnik, zły, że chłop odpowiada po polsku i, co gorsza, niby

to nie wie, że Niemcy Inowrocław na »Hohensalza« przechrzciły.

— Jadę do Inowrocławia — brzmi spokojna odpowiedź.

— Hohensalza?

— Do Inowrocławia.

Rozczerwienił się urzędnik i poczyna szwargotać, a Wilczek, ku cichej uciesze Marynki i innych, jakby ani krzty nie rozumiejąc, ani gadania tego do siebie nie biorąc, patrzy ospale w inną stronę. Potem, pięść swą do oczu zbliżywszy, ogląda ją długo, uważnie, jakby się w nią skaleczył lub raczej jakąś zgoła rarytną rzecz miał przed oczyma.

Kamienny Wilczka spokój i pięść jego, wielce okazała bulwa, wzburzyły krew urzędnika, który bełkotał, mruczał, ale, nie wiedząc, co począć, na ostatku wzion i poszed, drzwiami trzasnąwszy. Tyla go było.

Tera Marynka śmiechem parsknęła, a w śmiechu miała gębę niepomiernie miłą i słodką, że chciało się zara ją chwytać i ucałować. Inne baby w śmiech za nią, boć doskonale rozumiały, że Wilczek gwary niemieckiej świadom, głupiego udawał i »Inowrocław« pod nos niejako pięścią podetknął, niby mówiąc: »wy zwijta kujawską stolice, jak chceta, dla mnie to jest i ostanie Inowrocław«.

— A wej! Toście się zataili! — rzegotała się Marynka, zęby nieco do Wilczka szczerząc. — Toście wy tera Miemcowi orzech dali do zgryzienia i utruli psiom juche!

Chłop uśmiechnął się od ucha do ucha, potem

ze spokojną gębą, jakby nigdy nic, począł tak nucić na starą kujawską nutę, ku okrutnistej uciesze babskiej czeladki:

»Szed pies bez sad,
Ogonem wywijo,
Użar Miemca w... udo,
Kujawsko bestyjo...
Oj, da — da...«

III.

Leci wieczór nad światem, niby bociek, co za dnia brodzi skrycie po moczarach, wyławia żaby w stawkach, aż wynurzy się kędyś niepostrzeżenie, rozwinie wielgachne skrzydła i płynie cichuteńko. Napowietrzny król siół zniża się nad ziemię i zapada w gniazdo, na spoczynek.

Leci wieczór, wytrząsa ze skrzydeł nieprzebrane wory popiołów. Słońce wlazło pod śnieżną pierzynę obłoków, z pod których wydzierają się jeno ukośne promienie złociste — pręty prościuteńkie, namacalne — smugi jasności zgoła cudownej, boskiej. Rzekłbyś, Bóg-Ojciec lustruje świat, przegląda wszystkie dzienne sprawy.

Już ziemia czarna, niby smołą polana, już tuman zmierzchu ponad nią, lecz za przyczyną złocistości niebieskich widać milami płaszczyzny niezmierzone, rozlewne, wygładzone. Niejako widać samo powietrze, jakby oddech ziemi kujawskiej, nasiąkły smętnymi

blaskami. W oświetleniu tem wieczorowem płaszczyzny te — jak mówią: jednostajne, nagie — dziwnych nabierają czarów tak, że nagle odkrywasz niepomierne ich piękności. Przestwory zaludniają się rzędami szklistych postaci. Zda się, pobudziły się piastowskie, opiekuńcze duchy, wypłynęły na korowody i w królewskim pochodzie spozierają na dół, żali wszystko tu po dawnemu, żali język lacki i obyczaj panują w prapolskiej kolebce nad Gopłem.

Pan Bóg w takiem miejscu ustawił tę kolebkę, że, kędy zwrócisz się, masz przed sobą gładziutkie bezmiary łanów żyznych. Więc patrzaj się, człowiecze, i dziwuj, jak wielką, nieogarnioną jest ta ojcowizna twoja. I miarkuj sobie, żeś wśród tych obszarów ogromnych, mrówczych, jeno marnym robaczkiem, co z ziemi wyrósł, w niej tkwi i w nią się zapadnie. Miarkuj to sobie, chyl czoło kornie przed tą ziemią, co cię wydała i wykarmiła, i miłuj ją czystem sercem.

Patrzy się Wilczek na świat kujawski, stojąc w opłotkach swej zagrody, wita dawno niewidzianą matkę.

Chłop to światły, a zatem wszędzie nosi głowę wysoko. Ale nigdzie nie jest tak pełnym dumy ze swego człowieczeństwa, jak śród ojczystych obszarów. Chłop krzepki, ale nigdzie nie stoi tak mocno na nogach, jak na swej roli i takie w nim uczucie, jakby z tą ziemią stanowił jedność nierozerwalną.

Wyrósł z niej, kiej ta wierzba krępa, nad stodółką stróżująca, głęboko w ziemię wryta rosocha-

tymi korzeniami. Nie sięga głową wysoko, nie pyszni się bogatymi konarami, ale co wiosna świeże wypuszcza witki, zieloną koroną mai łeb twardy, którego żadna nie obali wichura.

Patrzy się Wilczek na pola swego królestwa. Ujął się pod boki, niby wielki pan. Ma przecież trzydzieści pięć morgów ziemi bez długu i nie byle jakiej. Kujawskiej! Szlachetnej, przesławnej. Czarne w niej skiby, niby węglem posypane, tłuste, niby oliwą nasączone, i taką dziwną mają moc w sobie utajoną, którą człek próżno chciałby wszczepić gdzieindziej. Jak koło każdej szlachetnej rzeczy, trza umieć chodzić wokoło niej i jeszcze są lata gdzieindziej dobre, gdy sobie pokaprysi i nie plonuje, jakby od takiej rozrodczej matki można oczekiwać. Ale jak za to pofolguje sobie, to ziemia stęka. Miasto owsa, pszenicy, lasy wyrastają gęste, kłosiste, w których chłop skryć się może calućki, nie zniżając. Toć też ziemia kujawska pierwsza wśród ziem polskich i pierwszym wśród naszych mieni się — Kujawiak.

Trzydzieści pięć takich morgów — piękny szmat ziemi. Daj to, panie Boże, każdemu Polakowi. Wszelako Wilczkowi mało. Chłop na ziemię łakomy i hambitna sztuka. Ot, tak grosze zbiera, by odkupić dwudziestomorgowe gospodarstwo od Olszynowej wdowy, co siedzi tuż obok jego zagrody. Tych dwadzieścia morgów spać mu nie dają.

Olszynowa, że to stara, sama i cherlawa, dawno mu chciała przedać gospodarstwo, ale Marcin ociągał się, mówiąc, że skoro w pierze obrośnie, dobrą

cenę jej da i ostawi jej chatę, w której od małości mieszkała. Mógł był odkupić od niej gospodarstwo zaraz. Cóż, kiedy taka chłopska natura, że wszelakiego długu się boi. I tak Wilczek wzdrygał się przed zaciąganiem pożyczki na swe gospodarstwo, co zrobićby musiał, chcąc spłacić Olszynową.

Na tem tedy stanęło, że poczekają. Aż tu jednego razu stara Wilczkowa pisze, że Olszynowa chce gospodarstwo przedać, że przyjechał do niej nijaki Pietrzykiewicz z Inowrocławia od »Nowego Banku Parcelacyjnego«. Sześćset pięćdziesiąt marek za morgę. Pieniądze na stół.

Na to Marcin poskrobał się po łbie, pomyślał i ruszył do domu.

Pogadał ze starą Wilczkową, wetknął piernik Wojtusiowi, co mu się wkoło nóg plątał, obejrzał inwentarz, popatrzył długo na pola, podumał i zaszedł do Olszynowej.

— Niech będzie pochwalony... — ozwał się w progu izby, gdzie stara sporządzała pod oknem watówkę.

Łysnąwszy siwemi oczyma przez okulary, rzekła:

— Na wieki wieków... To wy, Marcinie?

— A jo, matko.

Zmilczała, niechętnie widząc Wilczka, o którego przybyciu już była posłyszała. Dawniej niby to chciała oddać mu gospodarstwo, bo o kupca nie było tak łatwo, ale teraz bolała ją myśl, że Wilczek, i tak piękne, większe od niej mający gospodarstwo, ma

jeszcze zagarnąć jej ziemię. Jakby to swego nie miał dosyć! Dopiero zadzierałby to nosa!

Siadłszy opodal na stołku, Marcin miął długą chwilę dłonie, nim bąknął:

— Gadają, że gospodarstwo przedajecie...

— Prawdą a Bogiem, krzywdy przy was, sąsiedzie, nie miałam... Wilczkowa zawdy mi przypominała, kiedy trza płacić procenty, bywało, konia do roli pożyczała... Ale córka pisze cięgiem: niech matka przeda!... A tu pieniądze na stół kładą co do groszyczka...

— A gdzie się podziejecie?

— Do córki pojadę, do Bydgoszczy.

— No tak jak z groszem przyjedziecie, to córka będzie rada... Dzieciaków ma huk... A zaś potem od córki?...

— Ostanę się przy niej.

— Miasta wam się zachciało na stare lata... Jaksice rzucicie i to jeszcze tak...

— Czemu »tak«?

Stara łysnęła oczyma niespokojnie, a Wilczek, przysunąwszy stołek do niej, zajrzał jej w źrenice bystro.

— Znacie wy, matko, tego Pietrzykiewicza?

Olszynowa poczęła coś gadać mętnie, aż wybuchła:

— Czy nie wierzycie, że mi te pieniądze wypłaci?

— Zapłaci, choć ich niema.

— Nie mo!

— Ni. Ale... Niemcy mają, co chcą dostać się do Jaksic z waszą pomocą...

— Jakie Niemcy?

— Jakie? Jakie? Pytacie, jakby o drogę do Inowrocławia. Nie czytaliście, co latosiego roku pisali w »Kujawiaku«, że kolonizacya tera idzie na Kujawy, idzie kupować gospodarstwa w wielkich wsiach gospodarskich, chłopów z ziemi rugować, choć po jednemu, aby, raz się w wieś wmaniwszy, potem pomalućku całą zagarnąć, chłopów gotowizną łakomiąc.

— Toć Pietrzykiewicz kupuje!

— Pietrzykiewicz dla kolonizacyi.

— Przecież on ma bank!

— Bank! Są takie banki, co mają pieniądze i takie, co nie mają, ino taki pyszny napis: »Bank«, by głupi myśleli, że mają pieniądze. A oni mają »Bank«, ale pieniędzy nie.

— Tak mówicie?

— Tak wam powiadam i mówię, to sobie dobrze miarkujcie: Pietrzykiewicz z Niemcami trzyma, dla nich ziemię kupuje, sam nic nie mając.

— A skędy wy to wiecie, Marcinie?

— Škędy? — odparł Marcin z uśmiechem w oczach. — Nie na darmo do Inowrocławia przyjechałem. Ludzie mi tam dużo o Pietrzykiewiczu mówili i powiadam wam: oszukańczy bank.

Olszynowa głową kręciła.

— Pieniądze wszyćkie weźmiecie po sprawiedliwości, ale wam one kością w gardle staną, bo Niemcy

do Jaksic wnijdą. Wszyscy ludzie będą ciskać na was kamieniami.

— O! laboga! Co ja pocznę! — westchnęła Olszynowa.

— Co poczniecie? Ja wam powiem. Mnie gospodarstwo przedacie, jak było mówione, i w chałupie sobie ostaniecie, prosięta chować będziecie, po miejskich kątach się nie poniewierając.

— Ale Pietrzykiewicz...

— Czy to ja wam do trzech czwartych barówką na stół nie położę? Czy to ja chudopachołek?

— A ile?

— To się rozmówimy, pogodzimy. Pójdę po sołtysa. Starego waszego kum. Od małości go znacie. Przy nim wszyćko spiszemy, potem do notaryusza pojedziemy.

Baba się wystraszyła, że Marcin tak raz, dwa, trzy chciał wszystko ukuć na krótkiem toporzysku i powiada, że trzeba pisać po zięcia, że Pietrzykiewicz zara po niedzieli przyjedzie i kontrakt chce robić. Gdyby to nie było kupca, co wszystkie pieniądze na stół kładzie, to co innego...

Marcin dobrze miarkował, jak rzeczy stoją. Idąc w wieś po sołtysa, medytował, jakby dla swej sprawy zjednać jego i zięcia Olszynowej. A nadewszystko myślał, jakby rozprawić się z Pietrzykiewiczem i aż go dłonie świerzbiały.

Ale wobec przeciwności frasunek wielki go nie trapił, bo taka już była w nim moc, że się niczego nie bojał i zawdy spokojnie szedł naprzód, gdzie go

droga wiodła. A tera zaprzysiągł sobie, że nie dopuści do wydania Olszynowej ziemi w ręce niemieckie, i pomrukiwał:

— Niedoczekanie wasze! Niedoczekanie, pókim żyw...

IV.

W niedzielę, po mszy świętej, Marcin, słodkiego wina kupiwszy butelkę, sołtysa do siebie zaprosił i Olszynowej zięcia. Przy kieliszku we trójkę dogadywali sobie bardzo pięknie, tak prawiąc, jakoby nic nie stało na przeszkodzie targom Marcinowym o gospodarstwo sąsiadki. Ugodzili się o cenę ziemi, o spłaty i wszyćko, chociaż wiedzieli, że ostatnie słowo samej Olszynowej, która ociągała się z niem, zwłóczyła, oczekując na przyjazd Pietrzykiewicza.

Po obiedzie Wilczek kazał Staśkowi stajennemu założyć do wozika gniade, dwa spaśne i żwawe koniki, i sam, najlepszą katanę wziąwszy, począł czuprynę przeczesywać grzebieniem.

A stara Wilczkowa pyta:

— Dokąd to, Marcinie?

— Do Szymborza.

— Bez co?

— A-no, do Marynki Kasprzaka.

— Do Marynki?... — powtórzyła Wilczkowa, ze zdziwienia gębę jak szczupak otwierając. — Gdzieś ty ją widział?

Tera dopiero Marcin, skąpy w słowa, opowiedział

starej, jak to od Poznania z Marynką jechali, jak się zabawiali, i na ostatku tak mówi:

— Wezmę ją... Bez kobiety do cna mi się przykrzy.

Stara głową pokręciła. Nie w smak jej to było, boć gospodynią była, co się zowie bez to, że Marcin kobiety nie miał. Ale zmilczała, wiedząc, że jak Marcin powie »tak«, to tak być musi.

Zresztą myślała sobie dawno, że skoro Marcin Olszynową zagrodę kupi i na swojem osiędzie na dobre, wnet obejrzy się za kobietą. Bo jakże chłopu bez niewiasty? Jeśli po świecie się włócząc, nie poszuka sobie kobiety, to miru nie ma, po knajpach łazi, kiejby pies, złamanego ogona szukając, pieniądz zapracowany marnuje, i nic z tego dobrego ani dla ludzi, ani dla Boga.

Podrapała się Wilczkowa za uchem i mówi:

— A jakże będzie z tą Jagusią Królika?

Bo Marcin na Wielkanocne święta w domu będąc, jakoś Jagusi w oczy zaglądał. Ale tera odrzekł:

— E! tam z Jagusią!

— Gospodarska córka...

— I Marynka gospodarska córka!... A jednak na robotę jedzie, na Saksy... Głowa nie od parady, gęba gładka...

— I Jagusia niczego.

— Jagusia jak ta gęś: biało, tłusto, głupio!

— Już coś do onej Marynki cie ciongnie...

— Bo jest do czego.

Nic więcej nie mówiąc, Marcin nowy kapelusz

na głowę włożył, wsiad na wózik, ładnie odmalowany, i jazda.

Jedzie szosą, z biczyskiem w ręku. Obok niego Stasiek, też wyniedzielony. Koniki poczyszczone świecą się. Prychają sobie wesoło, jakby rozumiały, że pan ich do panny jedzie.

Już zdaleka widnieje wieś Szymborze, czerwienią się dachy domostw, podle szosy rozsiadłych grzędą — domostw dostatnich, otynkowanych, o dobytku świadczących i statku.

A tu przed Marcinem, bokiem żwirówki posuwają się dwie plamy: chłop i niewiasta w błękitnawej spódnicy, ciemnym szalem osłonięta, z ponad którego wyrasta jasnowłosa głowa. Na nogach trzewiki skórzane i kaloszyki, bo droga trochę wilgotna. Na rękach niciane rękawiczki, bo co przedniejsza Kujawianka nie gorsza od miejskiej pannicy.

Chłopiec przy niej też schludnie odziany, jak świeca prosty, tak, że go się Marynka wstydzić nie potrzebuje. Idą sobie statecznie. Pewno ze spacerzu. Dzieucha nogi stawia składnie, aż kiecki jej wachlują w prawo i w lewo.

Coś Marcina tknęło. A tu dzieucha odwraca się, turkot posłyszawszy.

Rychtyk! Marynka!

Aż się chłopu gorąco zrobiło. Ale nic, jedzie jeszcze kawałek, potem kapelusza przed nią uchyla, Pana Boga pochwala. Dzieucha zaś kraśnieje aż pod białka oczu, bo nasienie niewieście takie prześcibne, że wnetki odgadnie chłopa zamiary.

Zerknąwszy z podełba na parobczaka, Marcin złazi z wózika i rękę do Marynki wyciąga:

— Takie zrządzenie, że was spotykam. Rychtyk, do was jadę. Jakbyśta naprzeciw mnie wyszli... Ale z kawalerem.

— Z Józkiem Jankowiakiem. Na spacerzu my byli.

Marcin pomilczał chwileczkę. Popatrzył jeszcze na kawalera, potem w twarz Marynki, i ślepie mu się zaiskrzyło siarczyście, gdyż wydała mu się okrutnie smakowita. Bestyjka oczy w dół spuściła, lekki uśmiech mając na jagodach.

— Hm — krząknął Marcin i rzecze: — Nagadaliśta i nachodziliśta sobie razem. Niechby tera ten kawaler mnie miejsca przy was ustąpił... Z Jaksic nie na darmo przyjechałem...

Józek głowę nieco zadarł w górę i spojrzał w stalową twarz Wilczka, który, wpijając się w niego wzrokiem, ozwał się:

— Tera ja z Marynką pochodzę, a zaś potem do doma wózikiem odwiozę.

— A gdzieżbym ja miała z wami bez wieś!... — wybuchła Marynka i srodze się znów zaczerwieniła,

— Niechby ludzie widzieli, że ze mną jedziecie i że taką Kujawiankę wiozę.

— O! laboga, ni!

— Już my się pogodzimy. Ale... we dwoje. Niechno ten kawaler ustąpi prek.

Józek, jakby całkiem gapowaty, języka zapomniał i nic bodaj nie rozumiał.

A Wilczek postąpił krok naprzód tak, że ich prawie przedzielał i głosem trochę podniesionym rzekł twardo:

— Ustąpcie się, czasu nie tracąc!

— Co?? — prysnął Józek, niby ze snu zbudzon, i strzelił w niego złem okiem.

Marcin w jednej sekundzie rozpiął katanę tak, by ją mógł zrzucić z siebie jednym odmachem i, jak byk rogami, godząc w niego zimnem spojrzeniem, podsunął mu szybko pod nos pięść, jak maczugę.

— Idźta prek! Mówię raz jeszcze! — wykrztusił.

I Józef chłop był nie ostatni, ale omdlał na duchu i w osłupieniu patrzał na pięść Wilczkową.

Stojali tak dobrą chwilę, bez ruchu, pałką Kujawiaka przedzieleni, aż Józek zwinął się jakoś, mruknął cosik pod nosem, zaklął i ku domowi przodem ruszył.

Marynka zcicha parsknęła.

— Okrutnie ślicznie Marynko wypatrujecie, kiej was śmiech bierze — rzekł Marcin i lekko rękę dziewczyny ujął, jak pisklę.

— Boje się was...

— Niema czego.

Ręki nie cofając, zerknęła mu w oczy trwożliwie, kiejby słonko z pod chmury, tak, iż chłopa ciągoty zdjeny, aż zaniemówił bez chwileczke.

Maluczko, a bez wieś jechali sobie społem, jakoby para, do Kasprzakowej zagrody. Pośmiewali się nieco do siebie, a konie prychały i rżały.

Do domu wróciwszy, Marcin rzekł do matki zwięzłowato:

— Po Bożem Narodzeniu weselisko.

— A jak Olszynowego gospodarstwa nie dostaniesz?... — spytała stara, patrząc weń ciekawie.

I Marcin spojrzał na nią, ale tak, jakby mówiąc: »co też ty pleciesz, kobieto?!« Ani słowem gęby sobie nie psując, poszedł do komory na spoczynek i wnetki smacznie chrapnął.

V.

Skorno słonko wzeszło, Marcin oczy otworzył. Dzionek robił się taki jasny i pogodny, jakoby dobrą wiózł wróżbę i lato ludziom przypominał słoneczne.

Podniósłszy się, gospodarz podjadł sobie kaszy i chleba i wyszedł na podwórze. Krzątał się kole porządków gospodarskich, oglądał to i owo, ale leniwie. Raz, że nic pilnego nie było, a głównie, że myśli kołem chodziły mu po głowie. Bo jakże? Dnia tego miał Pietrzykiewicz przybyć ze zadatkiem do Olszynowej i ostatecznie targu dobić. Olszynowa zaś niby to godziła się przedać Wilczkowi, ale ciągiem coś mamrotała. A to, skąd jagieł i ziarna weźmie, w chacie swej nadal mieszkając, a to czy świnie trzymać będzie mogła. Więc Wilczek miarkował, że baba kręci, by zwłóczyć sprawę, i że jeśli Pietrzykiewicz hojnie zaliczy, wszystko stracone.

Chodził tedy mrukliwy i z zagrody Olszynowej oka nie spuszczał, kiejby piesek, przed złodziejem chaty pilnujący. A kole ósmej puścił się gościńcem w stronę Inowrocławia pomalućku.

Tak idąc, ujrzał furmankę, od miasta nadjeżdżającą, a w niej poza woźnicą trzech miejskich asanów. Po niemiecku gadali.

Jeszcze Marcina nie minęli, gdy on zawołał:

— *Halt!* Czy do Olszynowej?

— Tak, do Olszynowej — odparł po polsku obrosły silnie mężczyzna.

— Pan Pietrzykiewicz?

— A o co to?

— Idę z ważnem słowem... *Etwas sehr wichtiges!* — ozwał się chłop uroczyście, podchodząc do wózka.

Obejrzał sobie dwóch Niemców, i nagle języka, którego w wagonie do cna zabaczył, używając, mówił płynnie, jakoby z przestrachem:

— Dobrze, że panów spotykam... Nieszczęście nad wami wisi. Wydało się we wsi, że pan Pietrzykiewicz nie dla siebie targuje Olszynowe gospodarstwo, jeno dla obcych ludziów... Strasznie lud wszystek w Jaksicach na to oburzony, i jeśli na wieś nogą wstąpicie, to nie wiedzieć, co was czeka... Dzień sądny nastanie...

— Jakto? — wpadł rozsierdzony Pietrzykiewicz, bojąc się, by mu się interes z ręki nie wysmyknął. — Czy mnie kupować nie wolno, jakie chcę, gospodarstwo za dobre pieniądze?

— Nie wolno! Powiadają ludzie we wsi, że nie wolno.

— A ciekawym czemu?

— Bez to, że obcych we wsi nie chcą.

— Nikt mi nie zakaże!

— Jaksice całe panu zakazują...

Pietrzykiewicz sapał, jakoby miech kowalski. Zaś inni pytali, czemu to Wilczek wyszedł naprzeciwko z ostrzeżeniem.

— Strach mnie zdjon — odparł chłop — że straszna bójka będzie w Jaksicach, krew się poleje. A potem Bóg wie, jakie kary spadną od sądu. Mówię wam i powiadam: wracajcie i nosa w Jaksicach nie pokazujcie... Wczora, po mszy świętej, ludzie okrutnie się na was zawzieni. Wracajcie! Może bez dwie, trzy niedziele uspokoją się we wsi. Wtedy zajrzeć będzie można bezpieczniej...

Miemcy zastanowiły się, a Wilczek zawołał:

— Patrzcie!

Pięść swoją arcyszlachetną wysunąwszy z za pazuchy, postawił ją niejako przed nimi, ciągnąc:

— Takich ze sto pięściów wygrażało wam wczora przed kościołem, przysięgając, że żywo z Jaksic nie wyjedziecie... Takich sto pięściów.

Zagapili się na pięść Wilczkową, widząc w niej całego kujawskiego chłopstwa hardość i odporność, i szacunek przeszedł ich po łydkach, jak mrówki, poczem ustanowili rzecz o Olszynowe gospodarstwo na pewien czas odłożyć. Tak pogadawszy, zawrócili do Inowrocławia.

Uciecha zatlita się w oczach chłopa, lecz jeno bez moment. Patrzył za nimi długo i czegoś markotnie.

Znużył go troche wysiłek swady, znużyło łganie, więcej niż młócka cepami. Odpędziwszy ich od Jaksic, mógł być i był pewnym swego, czuł się panem na pięćdziesięciu pięciu morgach, ale to uczucie nie przynosiło mu na razie należytej ulgi, ni radości. Bo kotłował w nim gniew na Pietrzykiewicza i kompanów jego podstępnych, co podkopywali się pod Jaksice i kujawskie strony. I łapy świerzbiały go niepomiernie. Jezusinku, jakby chętnie pięści swej spróbował. Choćby raz, Jezusinku, choćby z raz!...

Głupio mu było na sercu. Pan Bóg pięścią obdarzył go najprzedniejszą, okazyja była taka, do jakiej próżno chłop kujawski tęskni, okazyja taka, jakby przez niebo zesłana, a tu jednak hamuj się, człecze, leż przy ziemi i ani warknij! Popatrzył na swój kułak, westchnął głęboko, niby z żalu za dawnemi, dobremi czasy, potem splunął na drogę i mruknął:

— Siakrew, podłe czasy...

SPIS RZECZY.

I. NOWELE RÓŻNE: Str.

Lekcya etyki 3
Nagroda 14
Coś wesołego! 26
Ukryty skarb 31
Wśród grobów 37
Błazen 49
Gwóźdź 61

II. DWIE AKWARELE:

Godzina flirtu 83
W gondoli londyńskiej 97

III. Z ALBIONU:

Z monoklem 115
Oszust z miłosierdzia 125
Morderca 141
Gałązka jemioły 150
Przekupień gazet i myśli 161

IV. NA LAZUROWYM BRZEGU:

Na złotej skale 179
Szwyna 194

Str.
Zapomniany luidor 205
Lalka pana komendanta 224

V. DWA MOMENTY PSYCHICZNE:

Przebudzenie 237
Tajemnica ciszy 248

VI. RZECZY WIELKOPOLSKIE:

Guliwer 257
Polonez Ogińskiego 266
Pięść Marcina Wilczka 272

71

13773

411

420
160
260

250
80
60
50
440
25
415

20 } [illegible]
30 }
30 T
20 m
40 [illegible]
30 do [illegible]
170

215

110